LEKARZ BEZ MASKI
Wciąż się udaje, nie wiem, jak długo

TACA ZDALNA
Jak parafie przetrwają kryzys

SPOSOBY NA WIRUSA
Od zaufania po rygor: ile krajów, tyle strategii

BLISKO ZIEMI
Bieg, wiersz i życie pszczół

FRAJDY
Używaj żywiołów

Kraków 19 kwietnia 2020 nr 16 (3693) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Solidarność i samotność

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

#wygodniej
Czytaj cały rok!

Zawsze jest czas na rozpoczęcie prenumeraty! Teraz czy w kolejnych miesiącach najwygodniej dostawać pismo do domu, a do tego czytać „Tygodnik" na tablecie, komputerze lub telefonie.

Promocja #wygodniej to:

- **52 numery** „Tygodnika Powszechnego" z dostawą w cenie i pod wskazany adres

oraz

- **natychmiastowy roczny dostęp online** o wartości 150 złotych*, czyli dostęp do bieżących wydań oraz do stale powiększającego się Archiwum (ponad 60 tys. tekstów) na stronie TygodnikPowszechny.pl

~~520 pln~~ → **370 pln za rok!**

- **GRATIS** – wydanie „Tygodnik Powszechny Historia. Raport z przyszłości" **ORAZ** unikatowy notes „Książka do pisania. Jerzy Turowicz" **

Sprawdź szczegóły promocji i zamów pod adresem:
powszech.net/wygodniej

Kontakt w sprawie prenumeraty:

Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 668 479 075
lub e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl
– wydania drukowane

Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
lub e-mail: kontakt@powszechswiat.pl
– wydania cyfrowe

Regulamin prenumeraty i promocji na
powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

* dostęp zostanie uruchomiony do kilku godzin po zaksięgowaniu wpłaty
** notes i wydanie wysyłamy do trzech dni roboczych od zaksięgowania wpłaty
UWAGA! oferta dotyczy prenumeraty #wygodniej, nie łączy się z innymi zniżkami

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Przywileje*

Kościół w czasach koronawirusa nie oczekuje żadnych przywilejów. Wbrew inicjatywom różnych nadgorliwców.

Cierpliwie i ze zrozumieniem przyjmujemy coraz to nowe przepisy ograniczające nasze swobody. Czasem coś nas zaskoczy, np. mandat nałożony na panią, która szła ulicą „bez wyraźnego powodu". Jednak bulwersujące okazały się nie restrykcje, a ich – przejściowe zresztą – rozluźnienie, planowane zwiększenie (od 12 kwietnia) dopuszczalnej liczby uczestników obrzędów religijnych.

Wywołało ono sprzeciw i mnóstwo zjadliwych komentarzy. Pytano, dlaczego od 12 kwietnia 2020 r. do odwołania – mocą rozporządzenia ministra zdrowia z 31 marca – w obrzędach religijnych może uczestniczyć łącznie 50 osób, kiedy w kolejce do sklepowej kasy mogą stać tylko 3 osoby. Nawet sam prymas Polski abp Wojciech Polak rozporządzenie skrytykował i w rozmowie z Radiem Zet wyraził nadzieję – faktycznie w końcu spełnioną – że minister wyda nowe zarządzenie. Zapewnił też, że zapis zwiększający dopuszczalną liczbę wiernych nie był konsultowany z Konferencją Episkopatu. Z kim więc był konsultowany?

Czytałem gdzieś, że zmiany wprowadzono na życzenie „części księży i hierarchów", i że Antoni Macierewicz w Telewizji Trwam uznał ograniczenie dopuszczalnej liczby obecnych na mszy osób do pięciu za „uderzenie w naszą tradycję, a także w naszą odporność". Wcześniej protestował Bogusław Rogalski, były europoseł Ligi Polskich Rodzin, obecnie szef Zjednoczenia Chrześcijańskich Rodzin. Jego argumentacja – że skoro obostrzenia powinny być jednakowe dla wszystkich, a w autobusie może podróżować 25 osób, to ograniczenie liczby gromadzących się w kościele jest dyskryminacją katolików – uderzała głębią logiki i przenikliwością.

Ksiądz Prymas podważył insynuacje, jakoby Kościół (oczywiście z chciwości, bo chodzi o tacę!) wystąpił do rządu z tym nie najszczęśliwszym pomysłem. Przypomnijmy: Kościół w Polsce, z nielicznymi, co prawda, ale jednak, wyjątkami, dostosował się do restrykcji, których sens jest oczywisty. Kościół pamięta słowa Chrystusa odnoszące się do prawdziwej czci Boga: „nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. (...) Nadchodzi jednak godzina, owszem, już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec" (J 4, 23).

Zastanawiam się nad motywacją autorów pomysłu rozszerzenia limitu pięciu osób. Może rzeczywiście chodziło im – jak wyjaśniano – o pogrzeby? Może Macierewicz i Rogalski rzeczywiście chcieli się Kościołowi i wierzącym przysłużyć? Może chcieli dobrze i wyszło jak zwykle?

Wyszło jak zwykle. Eksplodowała długo gromadzona irytacja na Kościół. Prymas pomysł skrytykował, ale w pamięci ludzi zostało, że w kontekście wciąż zaostrzanych restrykcji, wbrew logice walki z wirusem i właściwie nie wiedzieć czemu, Kościół znów zabiegał o to, by być beneficjentem przywilejów.

Piszę o tym, choć sprawa jest zamknięta. Zarządzenie z 31 marca – 9 kwietnia odwołano. Sprawa ta jednak pokazuje, jak fatalną przysługę oddają Kościołowi ci, którzy zabiegają o przywileje dla niego, albo te przywileje nadają. W PRL-u wielki autorytet Kościoła wynikał m.in. stąd, że był wciąż szykanowany przez władzę. Był po tej samej stronie, co bici.

Oczywiście, nie życzę Kościołowi szykan, a tym bardziej prześladowań. Jednak nie życzę też sukcesów rozumianych jako przywileje. W rozmowach z władzami Polski ludowej i w kazaniach polscy biskupi (np. abp Wojtyła) powtarzali, że nie oczekują żadnych przywilejów, a tylko chcą, by respektowano prawa ludzi wierzących. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Już od środy 22 kwietnia podwójne wydanie „Tygodnika Powszechnego" na majówkę, a w nim:

Moja i twoja nadzieja – ks. Adam Boniecki w rozmowie z Anną Goc

oraz

Natura przez okno, okno natury | Krowy napiszą naszą historię | Kwarantanna więcej kosztuje kobiety
Polityka w służbie folwarku | Podglądaj ptaki bez ryzyka mandatu | Epidemie, które zmieniały Kościół
Świat kontra wirus | Uleczy nas Czułość | O czym śpiewa ocean | Jak założyć własny rezerwat

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Myślałem, że będzie gorzej
ROZMOWA Z FILIPEM PŁUŻAŃSKIM, LEKARZEM REZYDENTEM:
Nasz system ochrony zdrowia działa tylko dlatego, że zrezygnowaliśmy ze wszystkich zabezpieczeń. Wszystkich.

34 Taca w chorobie
MARCIN CHODUŃ
Czy epidemia zmieni system finansowania Kościoła w Polsce?

50 Manhattan umiera ze strachu
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA
Już teraz mówią w telewizji, że respiratory nie będą marnowane na starych ludzi. A ja nie chcę skończyć w ciężarówce chłodni. Boję się takiej śmierci.

78 Z lodu, powietrza i ognia
JUSTYNA BARGIELSKA
Aby pokonać strach, jesteśmy gotowi na wiele. Aby osiągnąć przyjemność, gotowi jesteśmy pokonać strach.

64 Byłam przy początku i końcu
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ LEBDĄ, POETKĄ:
Kiedyś tata wrócił z pasieki i powiedział, że nie ma pszczół. W domu zapanowała żałoba. Nie mówiło się „zwierzę zdechło", tylko „zmarło" albo „odeszło".

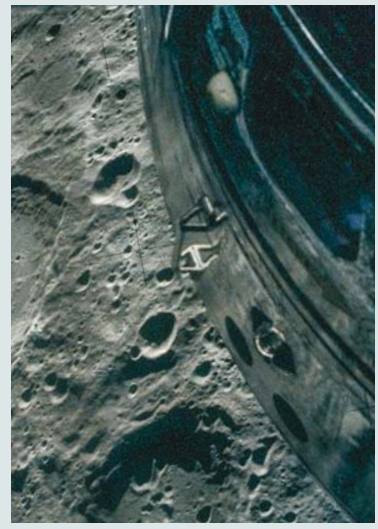

60 Niedoszła katastrofa
PIOTR STANKIEWICZ
Pięćdziesiąt lat temu swoją sześciodniową odyseję przeżyła załoga Apolla 13. Dlaczego o tym ciągle pamiętamy?

ARCHIWUM PRYWATNE // ROBERT WOŹNIAK / FORUM // ROZALIA FURGAŁ // NASA // SZYMON MAKUCH // PABLO MONSALVE / VIEW PRESS / GETTY IMAGES

6 Niejeden krok za daleko
JAROSŁAW FLIS

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Myślałem, że będzie gorzej
ROZMOWA Z FILIPEM PŁUŻAŃSKIM

24 Dzieci bez podwórka
KRZYSZTOF STORY: *Dom nie dla wszystkich jest bezpieczny*

26 Los biedaprzedsiębiorcy
ROZMOWA Z DANIELEM DZIEWITEM: *Epidemia obnażyła słabości systemu*

REPORTAŻ

30 Chrystus w przechowalni bagażu
STANISŁAW ZASADA *o odnalezieniu płótna van Dycka*

WIARA

34 Taca w chorobie
MARCIN CHODUŃ

38 Przełożeni mają wiedzieć
ROZMOWA Z PROF. MACIEJEM GUTOWSKIM, PRAWNIKIEM: *Kościół powinien chronić dzieci przed krzywdą, a nie siebie*

40 Wiara stopniowana
JÓZEF MAJEWSKI: *Nie we wszystko, co słyszymy w Kościele, z równą mocą powinniśmy wierzyć*

ŚWIAT

44 Orbán w koronie
ANDRZEJ SADECKI Z WĘGIER: *Premier chce jeszcze bardziej umocnić swoją dominację*

TEMAT TYGODNIKA

ARCHIWUM PRYWATNE

12 Solidarność i samotność
Z EWĄ BIŃCZYK, FILOZOFKĄ, ROZMAWIA MICHAŁ OKOŃSKI:
Nasza planeta i nasze życie na niej nie mają przyszłości, jeśli szybko czegoś nie zmienimy. A my nie umiemy wytrzymać nawet tego, że koronawirus odbiera nam przyszłość na kilka miesięcy.

FELIETONY

29 ANNA DZIEWIT-MELLER **63** ANDRZEJ STASIUK
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ZESPÓŁ TP_ONLINE
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

Szanowne Prenumeratorki, Szanowni Prenumeratorzy!

W najbliższych tygodniach mogą powstać problemy z dostawą „Tygodnika Powszechnego" do Państwa skrzynek. Dokładamy wszelkich starań, by druk i spedycja odbywały się bez opóźnień, jednak nie mamy wpływu na cały łańcuch dystrybucji. Prosimy serdecznie o wyrozumiałość oraz cierpliwość.

47 Między normalnością a stanem wyjątkowym
AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

50 Manhattan umiera ze strachu
MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

53 Szwedzka ruletka
PATRYCJA BUKALSKA

54 Kiedyś pójdę na drugą stronę
MAREK RABIJ: *Pandemia odcięła od zleceń Bangladesz, szwalnię świata*

HISTORIA

56 Salto mortale Episkopatu
BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *70 lat temu Kościół w Polsce podpisał z komunistami umowę*

NAUKA

60 Niedoszła katastrofa
PIOTR STANKIEWICZ

KULTURA

64 Byłam przy początku i końcu
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ LEBDĄ

68 Kulturowe kontrrewolucje
PIOTR KOSIEWSKI *o prawicowych artystach*

72 Nowa fala disco
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Kuba Karaś i Piotr Rogucki nagrali album słodki jak ciociosan, ale bezwzględny niczym ciosy mistrza karate*

74 Pożegnanie z wczoraj
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Żegnaj, mój synu"*

76 Historia dzielenia
LEKTOR *o książce „Wodospady" Eliota Weinbergera*

ZMYSŁY

78 Z lodu, powietrza i ognia
JUSTYNA BARGIELSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
W przeciwieństwie do COVID-19, na nadchodzący kryzys ekonomiczny mamy szczepionkę. Ale grupy interesu, które nie chcą, byśmy po nią sięgnęli, są potężne – pisze **RAFAŁ WOŚ** w autorskim cyklu **tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy**

Rozmowy o byciu razem [Podkast Powszechny]
„Ma pani wiele sióstr i braci. Jestem pani siostrą" – powiedziała Ewa Woydyłło i to przebiło się przez całą magmę myśli. Zabłyszczało – opowiada **KATARZYNA NOSOWSKA** w cyklu o tym, co daje i dawać będzie fakt, że stanowimy wspólnotę **powszech.net/rozmowy-razem**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

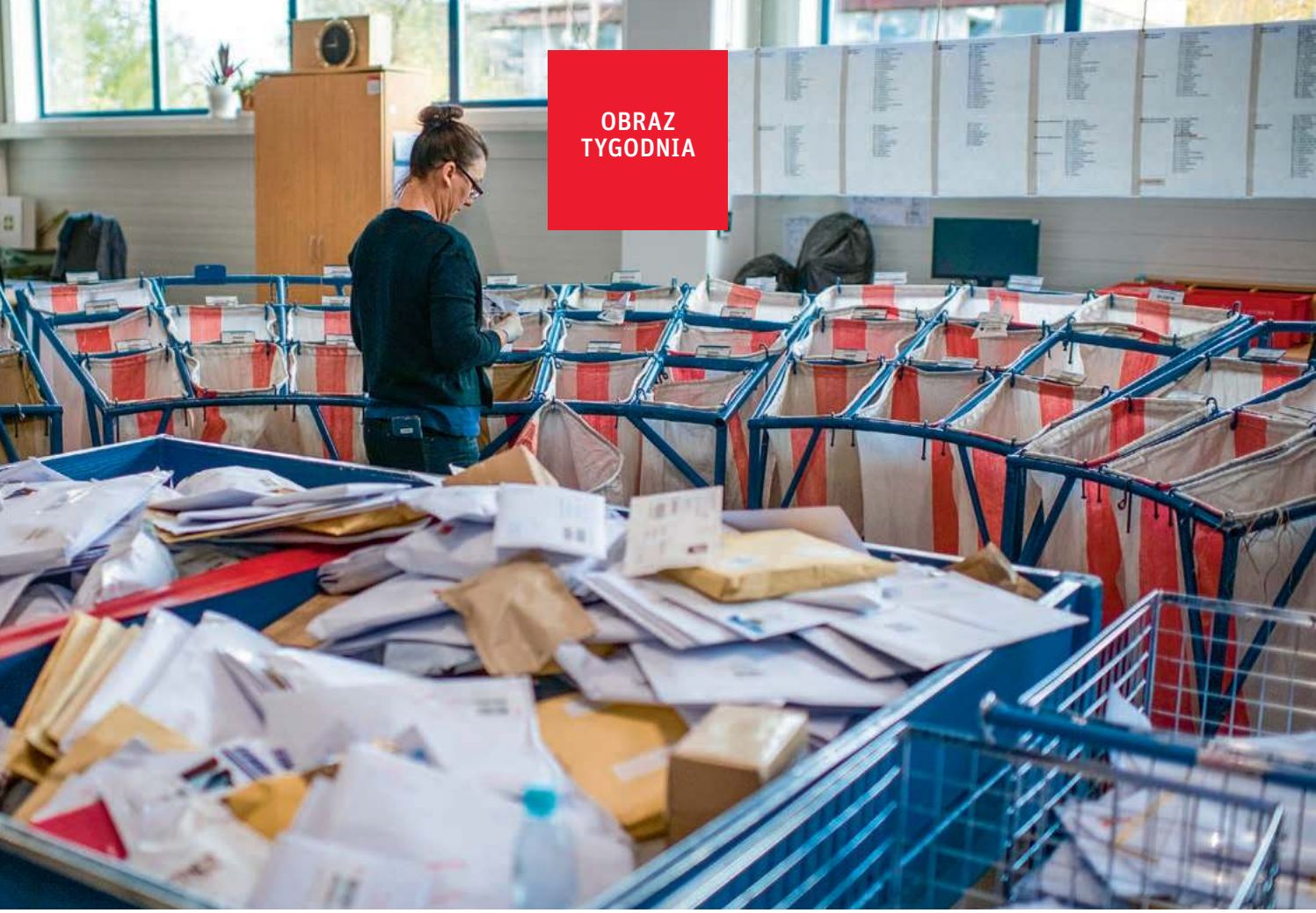

OBRAZ TYGODNIA

AGENCJA WSCHÓD / FORUM

Sortownia Poczty Polskiej w wynajętej hali w Białymstoku, październik 2019 r.

NIEJEDEN KROK ZA DALEKO

PiS nie zmniejsza presji na organizację majowych wyborów. Wypada mieć nadzieję, że katastrofa spadnie tylko na tę partię, nie zaś na nas wszystkich.

JAROSŁAW FLIS

Lista powodów, dla których to się nie powinno dziać, jest tak długa, że wymaga uporządkowania.

ZAGROŻENIE ZDROWIA. Wybory, niezależnie, tradycyjne czy pocztowe, prowadzą do liczonych w miliony bliskich kontaktów między ludźmi. Dane z Bawarii, gdzie w marcu przeprowadzono wybory lokalne, pokazują, że to śmiertelnie poważna sprawa.

NIERÓWNA KAMPANIA. Społeczny wstrząs i ograniczenia narzucone przez walkę z epidemią uniemożliwiają opozycji prowadzenie kampanii, za to na jakiś czas uprzywilejowują sprawujących władzę. Jak widać, pokusa łatwego zwycięstwa pozbawia nie tylko moralnych hamulców, ale i rozumu.

ROKOSZ SAMORZĄDU. PiS to nie cała władza. Dla lokalnych włodarzy pomysł przeprowadzenia wyborów w takich okolicznościach był od początku abstrakcją. Są wszak ustawowo zobligowani do troski o zdrowie nie tylko urzędników, lecz i mieszkańców. W obliczu narastającej fiksacji władz centralnych poczuli się w obowiązku zgłosić sprzeciw – w praktyce uniemożliwiający całą operację.

PRAWO „POZA TRYBEM". Spodziewając się, że opór ministra zdrowia i samorządów względem zwykłego głosowania będzie nie do prze-

zwycięzenia, PiS wpadł na nowy pomysł: wybory mają się odbyć „zaocznie", siłami poczty i urzędów wojewódzkich, z pominięciem samorządów. Przegłosowanie nowelizacji kodeksu wyborczego odbyło się ze złamaniem obowiązujących dotąd reguł parlamentarnych.

STANDARDY POCZTOWE. Koperty z ważnymi kartami do głosowania miałyby być wrzucane do skrzynek „w ciemno", na podstawie danych adresowych formalnych lokatorów. Głosy miałyby być oddawane – nieważne przez kogo – przez wrzucenie ich do stojących na ulicach skrzynek. Tożsamość głosującego byłaby weryfikowana tylko na podstawie nadesłanego pocztą oświadczenia. Każdy z tych pomysłów oddzielnie obniża drastycznie wiarygodność wyników. Wspólnie robią z nich farsę.

KARKOŁOMNY KALENDARZ. Nowe prawo nie wejdzie w życie przed pierwszą dekadą maja – o ile w ogóle. Już teraz przeszło minimalną większością. Zanim wróci z Senatu, z powodu koronawirusa umrze kilkaset osób, zachorują tysiące. Czy nikt z 230 głosujących teraz „za" nie zmieni zdania? Wicepremier Sasin nie zawaha się, gdy trzeba będzie podjąć działania podyktowane nieobowiązującą ustawą, lecz czy zrobią tak komisarze i sędziowie z okręgowych komisji wyborczych? W 2014 r. cała PKW podała się do dymisji po kryzysie znacznie mniejszym od teraz możliwego.

ORGANIZACYJNA PROWIZORKA. Nawet tak niewiarygodne złamanie wyborczych wyobrażeń nie daje się przeprowadzić bez jeszcze większych zmian w wewnętrznych procedurach wyborczych. Wiadomo na razie tyle, że oddane głosy miałyby być liczone przez jedną komisję na gminę – w miastach nawet kilkudziesięcioosobową. Dotąd np. w Krakowie robiło to 450 komisji, liczących w sumie 4 tys. osób. Nie podano, jak miałoby wyglądać przygotowanie pakietów wyborczych (dla Krakowa to 600 tys. sztuk, skompletowanych z 3,6 mln elementów). Nikt nie wie, jak będą wyglądać skrzynki mogące pomieścić setki kopert zwrotnych oraz kto, gdzie i kiedy je ustawi.

Każdy z tych powodów mógłby być podstawą do unieważnienia wyborów. Co byłoby dla rządzących klęską znacznie poważniejszą niż ogłoszenie stanu klęski żywiołowej i przesunięcie wyborów na spokojniejsze czasy. ©

KATARZYNA SZYMIELEWICZ:

Trzeba grać w otwarte e-karty

MAREK RABIJ: Ostrzeżenie Fundacji Panoptykon, że w świecie cyfrowym łatwo przekroczyć granicę między nadzorem a inwigilacją, to zawoalowany komunikat, że ten Rubikon polski rząd przekroczył?

DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

KATARZYNA SZYMIELEWICZ: Na razie przypominamy o zasadach, których rząd musi przestrzegać, nawet w walce z pandemią. Domagamy się m.in. tego, by dla każdego nowego narzędzia i sięgnięcia po dane istniał konkretny cel. Po co państwo przekracza kolejne bastiony nadzoru?

To jasne: by walczyć z epidemią.

Ale to jeszcze nic nie znaczy. Mamy prawo wiedzieć, po co rząd chce kontrolować nasze położenie albo zbierać zdjęcia naszych twarzy. Pod przykrywką walki z epidemią władza może łatwo przyznać sobie szerokie prerogatywy. Musimy pilnować, by tak się nie stało. W obecnej sytuacji rozszerzenie skali cyfrowego nadzoru jest uzasadnione. Ale nie na zasadzie „im więcej danych, tym lepiej". Jeśli celem jest spowolnienie tempa rozprzestrzeniania się wirusa, potrzebujemy narzędzi do wykrycia, czy gdzieś w lesie nie przesiaduje w jednym miejscu kilkadziesiąt osób. Ale nie musimy ustalać tożsamości każdej z nich. Jeśli władzy nie wystarczają zanonimizowane dane, zapewne chodzi nie tyle o kontrolowanie ruchu ludzi, ile o ich ukaranie.

Kontrola bez kar bywa iluzoryczna.

Nie w tym rzecz. Mamy prawo wiedzieć, w co gra z nami władza. Rząd to nie korporacja, która zbiera dane o klientach na zapas. To fundament zaufania do państwa i jedna z konstytucyjnych zasad. W tej chwili trwają prace nad aplikacją ProteGo, która ma odtwarzać historię naszych interakcji i szacować ryzyko zarażenia. Żeby takie narzędzie mogło skutecznie zadziałać, potrzebne jest właśnie zaufanie i dobrowolna współpraca. Nie powinniśmy się teraz władzy bać. ©℗

KATARZYNA SZYMIELEWICZ *jest prezeską Fundacji Panoptykon.*

SOS dla DPS

TRAGEDII NIE DA SIĘ JUŻ UNIKNĄĆ, jest tylko pytanie o skalę – mówi „Tygodnikowi" Adam Zawisny ze Stowarzyszenia Instytut Niezależnego Życia i Komisji Ekspertów ds. Osób z Niepełnosprawnością przy Rzeczniku Praw Obywatelskich.

Stan na 9 kwietnia: ok. 25 placówek (głównie Domów Pomocy Społecznej) z ponad 300 zarażonymi i kilkunastoma zmarłymi. Wszyscy – także zdrowi – w kwarantannie. Często wycieńczeni, fizycznie i psychicznie. „Tykająca bomba", mówiono jeszcze tydzień temu. Teraz to bomba eksplodująca: w polskich DPS-ach, Zakładach Opiekuńczo-Leczniczych i innych placówkach może przebywać ponad 200 tys. osób. – Zbieramy plon modelu instytucjonalnego – ocenia Zawisny. – Cenę za niego płacą Hiszpanie i Francuzi: w niektórych regionach nawet co druga ofiara COVID-19 to mieszkaniec placówki całodobowej. Inną drogą poszły np. Szwecja, Finlandia czy Słowenia, stawiając m.in. na asystencję w miejscach zamieszkania czy mieszkalnictwo wspomagane. W Polsce przez trzy dekady nikt na serio nie podjął takiej próby.

Czasu nie da się cofnąć także o kilka tygodni. To wtedy kierujący placówkami zaczęli alarmować, że potrzebują środków ochrony, procedur i że szczupleje kadra. Czy spisano ich na straty? – Być może, choć sytuacja zaskoczyła wszystkich: Francuzi z powagi sytuacji zdali sobie sprawę, gdy z DPS-ów zaczęły wyjeżdżać trumny – mówi Zawisny. – Na pewno początkowo placówki nie były priorytetem działań. Teraz muszą się nim stać.

Środowisko osób z niepełnosprawnościami i seniorów domaga się m.in. szybkiej ścieżki testów, uzupełnienia kadr (być może o zasoby Wojsk Obrony Terytorialnej), organizacji izolatoriów zewnętrznych, by oddzielić zarażonych od zdrowych mieszkańców. – To już nie „tylko" kwestia praw człowieka – podsumowuje Zawisny – ale sprawa życia i śmierci.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Więcej o sytuacji placówek w czasie epidemii w wywiadzie z geriatrą prof. Jerzym Gąsowskim na tygodnikpowszechny.pl

KRAJ W SKRÓCIE

WIARA
Jarosław Gowin, sprzeciwiający się organizacji wyborów prezydenckich w maju, podał się do dymisji ze stanowisk rządowych, deklarując chęć dalszej służby „Najjaśniejszej Rzeczypospolitej" jako poseł. Partia Porozumienie rządu nie opuściła – nowym wicepremierem została rekomendowana przez Gowina Jadwiga Emilewicz.

NADZIEJA
Trybunał Sprawiedliwości UE zobowiązał Polskę do natychmiastowego zawieszenia stosowania przepisów dotyczących Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, a I prezes SN Małgorzata Gersdorf wezwała w związku z tym członków Izby Dyscyplinarnej „do natychmiastowego powstrzymania się od jakichkolwiek czynności związanych z rozpoznawaniem spraw". Wielkich nadziei na wykonanie orzeczenia TSUE nie ma: rząd chce skierować je do Trybunału Konstytucyjnego.

MACIEREWICZ
Jak co roku, Antoni Macierewicz ogłosił, że raport w sprawie katastrofy smoleńskiej jest gotowy, tylko jego przedstawienie się opóźni. Były szef MON nie twierdzi już, że do tragedii doszło z powodu sztucznej mgły, rozpylenia helu nad lotniskiem czy „obezwładnienia" samolotu na wysokości 15 metrów. Ostatecznie (?) stanęło na tym, że tupolewa zniszczyły dwie eksplozje na pokładzie.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ, autor tekstu o kryzysie w Bangladeszu (s. 54), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia Tok FM, w czwartek 16 kwietnia, o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL:

To wszystko skończy się w sądach

MARCIN ŻYŁA: Zgadzam się na ograniczenie moich praw i wolności w czasie epidemii, ponieważ wierzę, że nasze solidarne działanie może pomóc. Ale też się boję: że po wszystkim nie odzyskam ich w całości. Czy słusznie?

PROF. WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Mnie też towarzyszy taka obawa. Zmieniane ustawy nie są ściśle powiązane ze stanem epidemii. A wiele zmian proponuje się na stałe. Chodzi o przepisy dotyczące prywatności, prawo wyborcze oraz zaostrzenie kar, które wykracza poza zakres tego, co konieczne.

ADAM STĘPIEŃ / AG

Na przykład?
Kobiecie idącej na cmentarz policja grozi kilkutysięczną karą. Nagrania z takich interwencji stają się dzisiaj wiralami. Z przerażeniem obserwuję na Twitterze aktywność rzecznika prasowego policji, który szczyci się tym, jak – stosując przymus bezpośredni – doprowadza się obywateli do porządku. Jeśli tak dalej pójdzie, ludzie, działając na przekór, przestaną stosować się do zakazów.

Które przepisy to tylko demonstracja siły?
Na przykład zakaz wchodzenia do lasu, który nie ma podstaw prawnych. Faktyczny problem tłumów w miejscach rekreacji w Warszawie nie wymagał takich kroków. Tak działa państwo, które chce zastraszyć.

Jak zareagować, jeśli nie złamałem prawa?
Mandatu nie trzeba przyjmować. Wtedy sprawa idzie do sądu, w którym można przedstawić swoje racje. Kłopot w tym, że równocześnie policja ma prawo skierować sprawę do sanepidu. Są bardzo wysokie kary pieniężne, zaczynające się od 5 tys. zł, wymierzane przez inspektora sanitarnego pod rygorem natychmiastowej wykonalności. Oczywiście, koniec końców i te sprawy znajdą się w sądach.

Co to dokładnie znaczy?
Sądy będą rozstrzygać, czy zakazy miały podstawę ustawową i czy wolno było wymierzać mandaty. Będą też badać wysokość kar. W sądach cywilnych będą się toczyć sprawy dotyczące ograniczenia działalności gospodarczej. Ludzie będą dochodzić odszkodowań.

Mam nadzieję, że ktoś się zreflektuje, iż takie prymitywne zastraszanie nie działa. Że dziś podcina się gałąź, na której na razie siedzimy w dyscyplinie. Przecież społeczna akceptacja tego, co rozsądne, jest ogromna. Do 9 kwietnia na ok. 150 tys. przypadków kwarantanny zanotowano tylko ok. 300 jej naruszeń. Można powiedzieć, że sankcje są niepotrzebne, bo ludzie sami stosują prawo. ©℗

DR HAB. WŁODZIMIERZ WRÓBEL *jest profesorem w Katedrze Prawa Karnego UJ oraz sędzią Sądu Najwyższego.*

List do maturzystów i ósmoklasistów

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Mógłby go napisać, dajmy na to, jakiś cyniczny nauczyciel WOS-u. W ramach zdalnego nauczania, które, zgodnie z najnowszym raportem ministra edukacji, idzie doskonale.

„Pewnie od ostatniego czwartku zadajecie sobie w swej młodzieńczej naiwności pytanie: właściwie po co minister edukacji zwlekał aż do 9 kwietnia z decyzją o odłożeniu egzaminów? Po co ta tortura jeszcze na dwanaście/dwadzieścia pięć dni przed ważnym dla nas dniem? Czy stres związany z zamknięciem w czterech ścianach, newsami o epidemii, nauczaniem zdalnym to mało? Po co to czekanie, skoro każdy śledzący – przepraszam za wyrażenie – »krzywe rosnące« wiedział doskonale, że to się nie może udać?

Tak, takie pytania może zadawać tylko ktoś tak naiwny jak Wy. Zostaliście zakładnikami ministra, który jest zakładnikiem premiera, który jest zakładnikiem prezesa. Nie dziwcie się tym zanadto, proszę: najwyższa władza – której częścią jest minister od Waszych szkół – zmuszona była znowu zadbać o dobro Polski, czyli zaszachować będącą przeciw temu dobru opozycję. Gdyby trzy tygodnie temu przełożyła egzaminy, opozycja rzuciłaby się jej do gardła: »Egzaminy odwołane, a wyborcy idą do urn?!«.

Głowa do góry: co Was nie zabije, to Was wzmocni. Zresztą są na tym świecie rzeczy ważniejsze niż przelotny stres nastolatka. Im szybciej to zrozumiecie, tym szybciej wkroczycie w dorosłość". ©℗

RADOVAN STOKLASA / REUTERS / FORUM

NA SŁOWACJI NIE ZABRAKŁO PISANEK, także we wsi Soblahov w powiecie Trenczyn (na zdjęciu). Jednak i tu Wielkanoc była inna. Aby dalej powstrzymywać epidemię, rząd rozszerzył stan wyjątkowy: wyjść z domu (na zakupy i spacer) można tylko w miejscu zamieszkania, spotkać się zaś tylko w gronie domowników. Opornym groził mandat – ponad 1600 euro. Policja prowadziła kontrole na granicach powiatów. Przed świętami w kraju było tylko 700 infekcji i jedna z najniższych w Europie liczba zgonów na milion mieszkańców: 0,4 (w Czechach: 10). Niepokój budziły jednak zakażenia w romskich osadach na Spiszu, gdzie są złe warunki sanitarne i wirus może szerzyć się szybko. ©℗ PB

Królowa o nadziei

DO PRZYWÓDCÓW, którzy wygłaszają orędzia na czas epidemii – jak Angela Merkel, Emmanuel Macron czy austriacki prezydent Alexander Van der Bellen – dołączyła Elżbieta II. W swoim wystąpieniu – dopiero czwartym takim w jej 93-letnim życiu – przypomniała to pierwsze: z II wojny światowej. Wtedy, jeszcze za panowania ojca, razem z siostrą, księżniczką Małgorzatą, mówiła przez radio do dzieci ewakuowanych z Londynu i tęskniących za rodzicami.

Nawiązała do tamtego momentu, bo – jak mówiła – wielu ludzi przeżywa dziś podobne emocje: „Mam nadzieję, że w latach, które nadejdą, wszyscy będą mogli być dumni z tego, jak zareagowali na to wyzwanie. A ci, którzy przyjdą po nas, powiedzą, że Brytyjczycy tego pokolenia byli tak samo silni. Że samodyscyplina, spokojna pogodna determinacja i współodpowiedzialność za innych wciąż charakteryzują ten kraj”. To nadzieja na spotkanie po złych czasach, zakorzeniona w brytyjskiej kulturze (starczy przypomnieć wojenne piosenki Very Lynn), była głównym motywem przemówienia.

©℗ ŻYM

Austriacki plan na wychodzenie z restrykcji

JAKO PIERWSZY W EUROPIE rząd w Wiedniu łagodzi restrykcje w związku z epidemią. Kanclerz Sebastian Kurz ogłosił, że szczegółowo rozpisany plan wchodzi w życie po Wielkanocy. Stopniowo łagodzone będą przepisy dotyczące handlu i usług (przy zachowaniu rygorów, jak noszenie masek, dezynfekcje i ograniczenie liczby klientów). Do połowy maja zamknięte będą szkoły i restauracje, a do końca czerwca imprezy masowe – z końcem kwietnia rząd zdecyduje, jakie złagodzenia są tu możliwe. Od 14 kwietnia otwarte są parki, choć z pewnymi ograniczeniami. Rozszerzono natomiast obowiązek noszenia masek: dotyczy on teraz właściwie całej sfery publicznej (kto ich nie ma, może używać szalika). Plan ten wywołał poruszenie w Europie – także dlatego, że w marcu Austria jako jeden z pierwszych krajów wprowadziła ostre zakazy. O tym, że potrzebny jest plan na wychodzenie ze społeczno-gospodarczej „zamrażarki”, dyskutuje się w wielu państwach. Podkreśla się, że obywatele potrzebują takiej perspektywy – ona działa też motywująco, by stosować się teraz do kwarantanny. Pod koniec minionego tygodnia także rządy Szwajcarii i Czech ogłosiły, że od końca kwietnia chcą stopniowo łagodzić restrykcje (o sytuacji w Szwajcarii piszemy w dziale Świat).

Kanclerz Kurz zastrzega, że jeśli złagodzenie restrykcji doprowadzi do wzrostu infekcji, rząd może w każdej chwili użyć „hamulca awaryjnego” i je przywrócić. ©℗ WP / KRONE, NZZ

Donbas coraz dalej od Ukrainy

WOJCIECH KONOŃCZUK

PANDEMIA DAŁA PRETEKST DONBASKIM separatystom, aby pogłębić samoizolację od reszty Ukrainy. Jeśli wierzyć ich samozwańczym władzom, aż do początku kwietnia tzw. republiki ludowe (doniecka i ługańska) były wolne od koronawirusa. Wiele sygnałów wskazuje jednak, że przypadki infekcji i śmierci są systematycznie ukrywane, a wirus przybył tam z Rosji wraz z migrantami zarobkowymi. Oficjalny brak chorych nie przeszkodził separatystom w zamknięciu już w drugiej połowie marca przejść na tzw. linii rozgraniczenia z pozostałą częścią Ukrainy, uznaną przez nich za rozsadnik wirusa. Całkowicie wstrzymało to intensywny wcześniej ruch ludności i uniemożliwiło donbaskim emerytom wyjazdy po świadczenia socjalne na tereny kontrolowane przez Kijów. Również misja monitoringowa OBWE została pozbawiona możliwości wjazdu na obszar obu parapaństw. Z własnej woli Donieck i Ługańsk odcięły się od Ukrainy. Natomiast na granicy z Rosją wprowadzono tylko częściowe ograniczenia.

Jednocześnie Moskwa oskarżyła Kijów oraz Berlin i Paryż, że próbują storpedować rozpoczęcie prac tzw. rady konsultacyjnej – powołanego miesiąc wcześniej organu, który miał być platformą bezpośrednich kontaktów władz ukraińskich i separatystów. Jednym z kluczowych celów Kremla jest bowiem doprowadzenie do tego, by jego donbaskie protektoraty zaczęły z Kijowem bezpośrednie negocjacje, co potwierdziłoby rosyjską (fałszywą) tezę, że konflikt ma charakter wojny domowej.

Zamknięcie granicy – wraz z masowym wydawaniem rosyjskich paszportów – ma wytworzyć dodatkową presję na Kijów i Zachód, aby przystały na rozwiązanie konfliktu na warunkach Moskwy. Sygnał jest czytelny: w miarę upływu czasu i pogłębiającej się izolacji Donbasu doprowadzenie do pokoju będzie trudniejsze. Jak na razie, oba parapaństwa zderzają się z pandemią, do czego są zupełnie nieprzygotowane. ©

Kardynał Pell zwolniony

EDWARD AUGUSTYN

Sąd Najwyższy Australii uchylił wyrok skazujący kard. George'a Pella na 6 lat więzienia za wykorzystywanie seksualne nieletnich. Jednogłośna decyzja wydana 7 kwietnia kończy trwający od sierpnia 2018 r. proces oraz 13-miesięczny pobyt kardynała w więzieniu. Ale nie kończy sprawy.

Watykański sekretarz ds. ekonomii i doradca Franciszka został oskarżony o przestępstwa seksualne (w tym gwałt) popełnione 23 lata temu na dwóch chłopcach z katedralnego chóru w Melbourne. W 2018 r. stanął przed australijskim sądem (na prośbę papieża zrezygnował z chroniącego go immunitetu i wyjechał z Watykanu), który skazał go na 6 lat więzienia. Sąd apelacyjny utrzymał wyrok w mocy.

Proces hierarchy, a zwłaszcza osadzenie go w więzieniu, wywoływał zrozumiałe emocje. Wielu uznało go za „polowanie na czarownice" i element walki z Kościołem. Budził też kontrowersje: pierwsza ława przysięgłych, która nie mogła osiągnąć jednomyślności, została rozwiązana, świadkowie nie potwierdzali wersji oskarżenia, sąd apelacyjny też nie był jednomyślny. Jednak obie instancje uznały zeznanie ofiary za wiarygodne. Sąd Najwyższy uznał, że to za mało, by orzec o winie z niezachwianą pewnością. Wyrok uchylił.

Ci, którzy rok temu oskarżali sąd o uleganie presji, dziś chwalą jego niezawisłość. Ci, dla których Pell był potworem, dziś mają go za męczennika. Nieliczni tylko przypominają, że wyrok oznacza uniewinnienie w jednej tylko sprawie, a na kardynale ciążyło więcej zarzutów o niemoralne czyny (prowadzony równolegle drugi proces został przerwany z powodu śmierci świadka) i ukrywanie pedofilii.

Wkrótce po ogłoszeniu wyroku papież modlił się „za osoby niesłusznie skazane". Ale oficjalny komunikat Watykanu był powściągliwy: wyrażał zadowolenie z decyzji sądu i zapewniał, że Stolica Apostolska nie ustanie w walce z wykorzystywaniem nieletnich.

Nie wiadomo, czy będzie kontynuowany proces kanoniczny, wstrzymany na czas świeckiego. Kongregacja Nauki Wiary nie musi sugerować się wyrokiem państwowym, choć z pewnością będzie musiała wziąć go pod uwagę. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

DIAKONAT KOBIET
Papież powołał nową komisję, która ma przestudiować historyczne świadectwa istnienia diakonatu kobiet. Wśród dziesięciu powołanych członków znalazło się pięć kobiet (z Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Francji, Szwajcarii i Włoch) – specjalistek różnych dziedzin teologicznych. Komisją pokieruje kard. Giuseppe Petrocchi. Pierwsza komisja, powołana w 2016 r. na prośbę przełożonych żeńskich zakonów, nie przyniosła rozstrzygnięć. Do kontynuowania badań wezwał papieża synod poświęcony Amazonii.

RENATA DĄBROWSKA DLA „TP"

KLAUZURA W DOMU
„Tego jeszcze nie było, żebyśmy my, mniszki klauzurowe, stały się nagle ekspertami pytanymi przez świeckich, jak żyć. Ale pytania płyną – mnóstwo porządnych ludzi znalazło się nagle w czymś całkiem podobnym do klauzury. Nie bardzo sobie z tym radzą i chcieliby skorzystać z naszego doświadczenia: jak my sobie radzimy" – mówi s. Małgorzata Borkowska w filmie nagranym przez benedyktynki z Żarnowca. Nagranie oraz porady znanej zakonnicy, historyczki i powieściopisarki, znaleźć można na stronie klasztoru.

BIOETYKA ZARAZY
Według Zespołu Ekspertów Konferencji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych „próby kwalifikowania pacjentów do korzystania ze środków ratunkowych wyłącznie według samych kryteriów medycznych rodzą poważne zastrzeżenia etyczne". Kościelni eksperci uważają, że najważniejszym kryterium przydzielania środków ratunkowych jest kolejność przyjęć do szpitala.

Jak wspierać w parafii

„IDEA WSPÓLNOT POMOCY sprawi, że jej autorzy będą na pewno krócej w czyśćcu, bo to fantastyczny pomysł" – tak chwali w internecie ten pomysł znany z działalności charytatywnej ks. Mieczysław Puzewicz z Lublina. Liderzy specjalizujących się w działaniach pomocowych Fundacji Most Solidarności, warszawskiego KIK-u oraz Fundacji Pracownia Badań i Innowacji Społecznych Stocznia – Marta Titaniec, Jakub Kiersnowski i Kuba Wygnański – zaproponowali parafiom wsparcie w inicjowaniu i koordynowaniu pomocy osobom potrzebującym podczas epidemii COVID-19.

Chodzi o zbudowanie trwałej, możliwie gęstej sieci lokalnych wspólnot pomocy opartych na parafii, która miałaby łączyć potrzebujących (zagrożonych, izolowanych, samotnych, ubogich) z wolontariuszami i instytucjami gotowymi nieść im pomoc materialną, psychologiczną czy duchową. Wspólnoty pomocy zapewnią m.in. procedury, wzory umów z wolontariuszami oraz środki ochrony osobistej dla zaangażowanych we wspieranie innych.

W akcję włączyły się już niektóre parafie w stolicy, poparł ją metropolita warszawski kard. Kazimierz Nycz. Więcej informacji na wspolnotypomocy.pl ©℗ ARTUR SPORNIAK

Bóg przebacza zawsze, człowiek czasami, natura nigdy

TO PRZYSŁOWIE zacytował Franciszek w wywiadzie udzielonym Austenowi Ivereigh i opublikowanym m.in. w „The Tablet" – spytany, czy pandemia jest szansą na „nawrócenie ekologiczne". Zauważył, że mało kto myśli dzisiaj o takich wydarzeniach, jak pożary trawiące Australię: „Nie wiem, czy katastrofy są zemstą natury; z pewnością natomiast są jej odpowiedzią".

Pandemia jest według papieża czasem, w którym powinniśmy dostrzec ubogich. „W Rzymie niedawno pewien policjant powiedział do spotkanego człowieka: »Nie możesz być na ulicy, wracaj do domu«. Odpowiedź brzmiała: »Nie mam domu. Mieszkam na ulicy«". Pytany o napięcie między instytucjonalnością i charyzmatycznością Kościoła, opowiedział o włoskim biskupie, który, odwiedzając szpitale, udzielał „z korytarza" absolucji ludziom leżącym w salach. Ponieważ kanoniści twierdzili, że tak nie można, zapytał Franciszka. Usłyszał od niego: „Czyń swoją księżowską służbę".

©℗ MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

BILET KUP TERAZ
a wykorzystasz go później, gdy już będzie można wychodzić z domu. W ten sposób o wsparcie proszą widzów kina studyjne w całej Polsce, a „zawieszone" bilety można kupić na stronach placówek. Księgarnie z kolei zorganizowały akcję „Książka na telefon", dzięki której kupimy nowości wydawnicze bez wychodzenia z domu.

PIOSENKARKA LADY GAGA
we współpracy z WHO zebrała 35 mln dolarów na walkę z pandemią. Zorganizowała także charytatywny koncert „One World: Togetherat Home" poświęcony pracownikom szpitali na całym świecie, który odbędzie się o północy 19 kwietnia naszego czasu. Wystąpią m.in. Andrea Bocelli, Billie Eilish, Elton John, Paul McCartney, Alanis Morissette i Stevie Wonder.

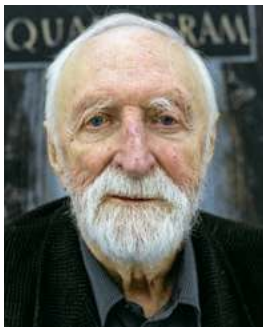
MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

SMUTNE WIEŚCI Z SUWAŁK
9 kwietnia zmarł Andrzej Strumiłło, malarz, grafik, fotograf, rzeźbiarz i pisarz, były kierownik pracowni graficznej Sekretariatu Generalnego ONZ w Nowym Jorku. Trzy lata temu w rozmowie z Justyną Dąbrowską na łamach „Tygodnika" mówił: „Największą siłą motoryczną wszechświata jest miłość. Potrzeba stwarzania siebie poprzez innych to najważniejsza historia w naszym życiu" (czytaj na powszech.net/strumillo). Artysta miał 93 lata.

MONIKA OCHĘDOWSKA

DOMOWY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

ZACZNIJMY OD JAJA – albo całego tuzina ogromnych złotych jaj znajdujących się na dachu Muzeum Salvadora Dalí w Figueres (Katalonia). Dalemu sprawiało ponoć przyjemność, gdy jego sztuka określana była jako „jadalna", stąd ściany budynku pokryte są żółtymi, ulepionymi z gipsu chlebkami, a figurki spoglądających z dachu rycerzy noszą na głowach bagietki. O tym, co skrywa smakowita muzealna fasada, warto się przekonać dzięki wirtualnemu spacerowi po surrealistycznych wnętrzach: salvador-dali.org

WYSTARCZY KWADRANS, by przysiąść na podłodze londyńskiej galerii Tate Modern i wysłuchać kuratorów retrospektywnej wystawy prac Andy'ego Warhola. Oprócz krótkiego wprowadzenia w życie i twórczość ojca pop-artu Tate proponuje wycieczkę przez 12 pokoi dzielących twórczość artysty na komplementarne tematy, od „Snu" po „Ostatnią wieczerzę": tate.org.uk

MARVEL UNLIMITED

ZANIM DO KIN WEJDZIE „Czarna Wdowa" ze ***Scarlett Johansson*** w roli głównej, z aplikacji Marvel Unlimited pobrać można nie tylko komiks z jej przygodami, ale też kilkanaście innych – od „Avengersów" po „X-Mena". Tytuły dostępne są także na należącej do Amazona platformie Comixology.com.

A JAK WYGLĄDAŁ pierwszy animowany film o przygodach Supermana z 1941 r., można sprawdzić dzięki stronie Voleflix: vole.wtf/voleflix. Żadnych nowości, produkcje z Frankiem Sinatrą, Shirley Temple i Garym Cooperem, stare horrory i klasyka sci-fi, np. „Cat-Women of the Moon".

PODRÓŻ W FOTELU PILOTA statku kosmicznego NASA możliwa jest z kolei dzięki projektowi „NASA at home". To materiały edukacyjne i rozrywkowe dla całej rodziny od konspektów lekcji przez wykłady, wirtualne spacery po niesamowite zdjęcia pokazujące, jak eksploracja kosmosu wpłynęła na rozwój nauki. Szczegóły: nasa.gov ©℗

To nie jest cudowny lek

PO TYM, GDY USŁYSZELI W TELEWIZJI, że hydroksychlorochina (HCQ) ma być lekiem na SARS-CoV-2, pewne starsze małżeństwo z Arizony postanowiło zażyć środek do czyszczenia akwarium – miała w nim znajdować się wspomniana substancja. Obecny w preparacie fosforan chlorochiny, choć podobny, jest jednak związkiem o innych właściwościach od leku. Kobieta jest w stanie ciężkim, jej mąż nie żyje.

To nie jedyny przykry efekt doniesień o skuteczności hydroksychlorochiny w zwalczaniu koronawirusa. Prezydent USA Donald Trump wielokrotnie mówił o skuteczności tego leku i potrzebie stosowania go w profilaktyce zakażeń. Optymistyczne wieści krążą w internecie, co, jak zauważają stowarzyszenia pacjentów chorych na reumatoidalne zapalenie stawów i toczeń, w których to chorobach jest to jeden z podstawowych leków, doprowadza do braku chlorochiny w Europie i USA. Trump miał nawet namawiać w rozmowie telefonicznej premiera Indii, jednego z głównych producentów, by zniósł zakaz eksportu leku.

Tymczasem dane z badań klinicznych nie są jednoznaczne. Niektóre badania wskazują na skuteczność tego leku w przypadku zakażenia koronawirusem, inne na jej brak – ale jedne i drugie obejmują niewielkie grupy pacjentów i mają znikomą wartość dowodową.

Zainteresowanie HCQ wzrosło po publikacji w połowie marca wyników francuskich badań, w których lek otrzymywało jedynie 20 osób. Wyniki były obiecujące, jednak opierały się tylko na obecności wirusa w wymazie z nosogardła. W innym, chińskim badaniu chorzy na COVID-19 szybciej dochodzili do zdrowia i lżej gorączkowali po podaniu HCQ. Kolejne prace z Korei Południowej, Francji i USA również przynosiły pozytywne wyniki. Lek skutecznie hamował także replikację wirusa w warunkach *in vitro*.

Jednak w innym niewielkim badaniu HCQ okazała się mniej skuteczna. Z 11 pacjentów jeden zmarł, ośmiu wciąż miało pozytywne wyniki, a u jednego przerwano terapię ze względu na objawy uboczne – ryzyko arytmii. Lek ten nie jest bowiem pozbawiony efektów ubocznych. Tym bardziej nie ma danych sugerujących pozytywne efekty zażywania go profilaktycznie.

© BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

SOLIDARNOŚĆ I SAMOTNOŚĆ

EWA BIŃCZYK:

Nasza planeta i nasze życie na niej nie mają przyszłości, jeśli szybko czegoś nie zmienimy. A my nie umiemy wytrzymać nawet tego, że koronawirus odbiera nam przyszłość na kilka miesięcy.

MICHAŁ OKOŃSKI: Chciałbym najpierw zapytać, co Pani widzi z okna?

EWA BIŃCZYK: Pokażę panu. Tylko chwileczkę, muszę te wszystkie kable poprzesuwać.

Dobrze nie widzę... Ogród, jakieś drzewo na końcu, tam, przed ogrodzeniem.

Bardzo ładny mam widok. Tamto drzewo to brzoza, jest ich więcej. Od 12 marca siedzimy z mężem w Borach Tucholskich, gdzie kilka lat temu kupiliśmy domek. Nie ma tu pralki ani ogrzewania, ale jest kominek.

Jest też zasięg telefonu i internetu. Da się żyć.

Co więcej: żyć w sposób uprzywilejowany. Ta epidemia pokazała przecież, że do starych form uprzywilejowania doszły nowe: masz psa – możesz z nim wyjść na spacer. Masz domek – możesz uciec z miasta. Można przynajmniej wyjść do ogrodu. I popatrzeć przez płot na sosnowy lasek oraz bagno, gdzie kiedyś były bobry – dopóki się nie pojawiliśmy i trochę ich jednak nie wypłoszyliśmy. Zwłaszcza pies, który teraz wygrzewa się w słońcu.

Pani widzi brzozę. Olga Tokarczuk w felietonie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" opisuje widzianą przez okno białą morwę. I kawałek cichej wrocławskiej ulicy.

Tak, czytałam ten tekst.

Pamięta więc Pani zakończenie: „Na naszych oczach rozwiewa się jak dym paradygmat cywilizacyjny, który nas kształtował przez ostatnie dwieście lat: że jesteśmy panami stworzenia, możemy wszystko i świat należy do nas. Nadchodzą nowe czasy".

Nadchodzą, niewątpliwie. Pandemia – jak zauważyła Olga Tokarczuk – wpłynie na rozumienie relacji człowieka z przyrodą. Nie tylko dlatego, że mamy do czynienia z wirusem odzwierzęcym, którego pojawienie się można wiązać z utratą bioróżnorodności, pociągającą za sobą także utratę naszej odporności na choroby odzwierzęce.

Od dekady zajmuję się tematyką marazmu wywołanego tym, że cywilizacja zachodnia reprezentuje z uporem maniaka postawę *business as usual*. Chociaż naukowcy obserwujący zmiany klimatyczne alarmują, chociaż nawet wśród ekonomistów podnoszą się głosy, że dłużej nie da się już żyć w ramach dotychczasowego systemu, nadal usiłujemy go podtrzymywać.

Zamykamy oczy na kryzys antropocenu.

MAREK M. BEREZOWSKI

Przypis dla czytelnika: antropocen to nazwa nowej epoki geologicznej. Propagujący ją naukowcy dowodzą, że zmiany dokonywane przez człowieka na planecie są głębokie i nieodwracalne. Chodzi właśnie o zanik bioróżnorodności, ocieplenie klimatu, zanieczyszczenie.

Kiedy piszę o marazmie, dręczy mnie poczucie, że nie umiemy się zmienić – mimo płynących zewsząd poważnych ostrzeżeń.

I akurat pandemia miałaby nas zmienić?

Niewątpliwie pandemia wnosi pewną ważną okoliczność. Coś się rozmontowało. Znany świat pękł, a mówiąc ostrożniej: przeszedł w stan hibernacji co najmniej na kilka tygodni, a pewnie miesięcy. Dzięki temu może się znaleźć przestrzeń do pomyślenia na nowo. Inaczej.

O relacji człowieka z przyrodą?

Nawet szerzej: ku jakim celom zmierza nasza cywilizacja. Wielu obserwatorów

Kilkunastokilometrowy korek na moście granicznym w Świecku. 19 marca 2020 r.

mówiło, że nasza wyobraźnia w XXI w. karleje. Ciągle tylko wzrost i wzrost. Produkujemy i konsumujemy coraz więcej. Stawiamy na uciechy indywidualne, wysokoemisyjne rozrywki. To wszystko zostało nagle zahamowane. W tym stanie zawieszenia zrodzić się może dużo rzeczy.

Także negatywnych.

Nie przeczę. Ale ja pierwszy raz widzę, jak skostniały schemat postępu rozumianego wyłącznie materialnie troszeczkę się rozszczelnia. Proszę zobaczyć, o ile łatwiej w ostatnich dniach mówi się o tzw. postwzroście.

To pojęcie też musimy wytłumaczyć.

Teorie postwzrostu, funkcjonujące na marginesie głównego nurtu ekonomii, mówią o redukcji produkcji i konsumpcji. O tym, że w pościgu za wzrostem PKB nie możemy pożerać zasobów Ziemi, bo one są ograniczone. Tracimy żyzne gleby, zużywamy za dużo wody pitnej, niszczymy plastikiem oceany, doprowadzamy do wymierania gatunków, zanieczyszczamy atmosferę. Musimy coś radykalnie zmienić, bo grozi nam planetarne ekobójstwo.

Dopóki naszymi decydentami kierowała logika *business as usual*, nie umieliśmy myśleć o innym świecie. A dziś inny świat z całą mocą wkroczył do naszych domów. Ba: zamknął nas w domach.

Kogo zamknął, tego zamknął.

Ci, którzy wykonują pracę taką jak przedtem – sprzedają leki i żywność, zapewniają transport publiczny, dyżurują w szpitalach – są bohaterami obecnego czasu. To zresztą jeden z jego paradoksów: jedni cierpią z powodu zamknięcia w domu, inni dlatego, że nie mogą być zamknięci i ryzykują własnym zdrowiem.

Wrócę jednak do postwzrostu. Tutaj dobrobyt rozumie się jako jakość życia. A celem jest społeczeństwo postpracy: takie, w którym jest więcej czasu wolnego i w którym można dbać o relacje. Gdzie przestajemy się kręcić jak chomiki w kołowrotkach.

Właśnie przestaliśmy. I wcale nie jest nam dobrze.

Pierwszy tydzień to była euforia, prawda? Później jednak czas wolny zaczął nam ciążyć. Intymne relacje z najbliższymi odsłoniły poukrywane dotąd problemy. Na łonie rodziny poczuliśmy się jak w więzieniu. Pojawiła się dezorientacja. Chcemy jak najszybciej wrócić do kołowrotka.

Boimy się o własne zdrowie. I o byt. Czy będzie z czego żyć. Czy ktoś nam pomoże w razie kłopotów.

Ale to wszystko nie uchyla pytania, czy w kontekście epidemii coś zmieniło się w horyzoncie mentalnym i teoretycznym naszej cywilizacji?

Mnie się wydaje, że wciąż dominuje postawa: zaciśniemy zęby, przetrzymamy, a potem zrobimy wszystko, żeby było po staremu. Pootwieramy fabryki, rozkręcimy konsumpcję.

Może tak być. Ale skoro pan mówi o przyszłości: obecny kryzys, przymusowa kwarantanna pokazały, jak ważna jest dla nas jej perspektywa. Człowiek jest istotą wychyloną w przyszłość, pisał Heidegger. Musi do czegoś zmierzać. Planować. Dziś wszyscy mówią: „Gdybyśmy wiedzieli, ile to będzie trwało, byłoby nam lżej". Nawet gdyby to miało trwać rok. Dlaczego? Bo chcemy planować. Musimy planować. Wartość odpowiedzialności, zobowiązań moralnych, zależy od horyzontu przyszłości.

No i tu muszę wrócić na swoje podwórko, bo kontrast jest wyjątkowo silny. Specjaliści od zmian klimatu pokazują, że przed ludzkością, która kontynuuje pogoń za wzrostem, generując przy tym wysokie emisje, nie będzie przyszłości w perspektywie kilku dekad lub końca tego stulecia. I apelują do decydentów, by w końcu zaczęli uwzględniać ograniczenia planety, w imię już nie interesu naszych wnuków, ale dzieci. To wyzwanie było dotąd niemal ignorowane. Mamy wprawdzie europejski Zielony Ład, zakładający osiągnięcie neutralności klimatycznej do 2050 r., ale z paryskiego porozumienia klimatycznego, również ↦

↦ zmierzającego w stronę neutralności, wycofały się Stany Zjednoczone. Nie wygląda to optymistycznie.

Tylko co to ma wspólnego z koronawirusem?

Nigdy jeszcze ludzkość nie stała przed takim wyzwaniem jak kryzys klimatyczny. Empirycznie udokumentowanym w tysiącach badań. Nasza planeta i nasze życie na niej nie mają przyszłości, jeśli szybko czegoś nie zmienimy. A my nie umiemy wytrzymać nawet tego, że koronawirus odbiera nam przyszłość na kilka miesięcy. Tamtym się nie przejmujemy, to nas kompletnie rozbija. Ranga problemu taka sama, bliskość perspektywy wszystko zmienia.

Marazm też jest ten sam. I tu, i tu mam poczucie, że tak naprawdę niewiele mogę zrobić.

Nie mam wątpliwości, że obecny kryzys wywoła nowe formy napięć i podziałów. Ja, podobnie jak mój mąż, jestem zatrudniona przez państwo na etacie uniwersyteckim. Nasza przyszłość wciąż wygląda stabilnie, mamy psa, ogród i książki. W sumie mogłabym powiedzieć, że marzyłam o takiej przerwie. Jeżeli poradzę sobie z różnymi psychicznymi niedogodnościami, związanymi z izolacją, jeżeli nie zachoruję oczywiście, mogę przez kryzys przejść suchą nogą. Ale oznacza to tylko tyle, że jestem w nowej klasie uprzywilejowania. Wie pan, jeden ze studentów napisał mi po ogłoszeniu zakazu wstępu do lasów, że jego koledzy są o krok od palenia samochodów na ulicach. Bo rząd odebrał im wiosnę i dostęp do przyrody. Powie pan, że to głupie?

Powiem, że ja też źle znoszę zakaz wstępu do lasu. I że go nie rozumiem, skoro obowiązuje mnie nakaz trzymania dwumetrowego odstępu od każdego napotkanego człowieka.

Wielu naukowców twierdzi, że wszystkie przyszłe konflikty światowe będą miały w tle środowisko. Dostęp do wody. Brak żywności. Suszę.

A temu Pani studentowi chodzi o środowisko czy o wolność osobistą?

Myślę, że obie rzeczy grają rolę. Akurat młode pokolenie, o czym świadczą choćby Młodzieżowe Strajki Klimatyczne, bardzo serio traktuje problem zmiany klimatu. A zakaz wstępu do lasu wydaje się faktycznie absurdalny. Państwo demonstruje siłę, a chyba nie o siłę państwa chodzi w czasie epidemii, tylko o jego sprawność. Nie wiem, czy rządzący dziś Polską rozróżniają te dwie kwestie.

Bo tak w ogóle to zaczęliśmy potrzebować państwa.

O tak, i podkreślają to nawet bezkrytyczni zwolennicy poglądu, że najlepiej ureguluje wszystko wolny rynek. Ci, którzy zawsze domagali się ulg podatkowych albo obniżenia podatków, żeby móc radzić sobie samemu, nagle żądają sprawnych instytucji.

Potrzebujemy silnej tkanki społecznej.

I opieki socjalnej dla najsłabszych. Myślenia o gospodarce w kategoriach innych niż ciągły wzrost i maksymalizacja zysku.

Dziwi to Panią?

Trudno w tych czasach nie trzymać kciuków za sprawne państwo – takie, które reguluje także wolny rynek i ma wpływ na przykład na zachowania korporacji transnarodowych, wymuszając na nich dostosowanie się do lokalnych regulacji. Które kreatywnie wspiera biznes, pokazując, do jakich celów, jego zdaniem, powinien dążyć. Epidemia pokazuje, że na takie państwo warto solidarnie się składać. Jeżeli chcemy mieć dobrą opiekę medyczną czy edukację, musimy mieć świadomość związanych z tym kosztów.

Cała dyskusja o kryzysie antropocenu jest w rzeczywistości dyskusją o takich właśnie sytuacjach. I o tym, że one będą powracały. Długoletnie susze, powodzie, anomalie pogodowe, epidemie. Pojawia się pytanie, kto będzie w stanie temu zaradzić.

Państwo tego nie zrobi. Ono może nas zamknąć w domach czy w swoich granicach. Ale problemy, z jakimi się mierzy, przekraczają te granice. Wirus nie jest „chiński", nie jest „włoski" czy „polski".

No to spróbujmy spojrzeć na ten problem pozytywnie. Wielu politologów ubolewało, że nie ma planetarnego „my". Wie pan, jakie są największe wyzwania stojące przed ludzkością?

Chyba już Pani mówiła: katastrofa klimatyczna.

I utrata zasobów. I dramatycznie narastające nierówności ekonomiczne. O tym, jak bardzo nie jesteśmy sobie równi, pisze nie tylko Olga Tokarczuk, wspomina o tym także papież Franciszek w encyklice „Laudato si". Z 7,8 mld ludzi na Ziemi miliard najuboższych nie emituje do atmosfery prawie nic – bo prawie nic nie konsumuje, głodując. Naprawdę potrzebujemy w tej sytuacji planetarnej solidarności.

Tokarczuk pisze: „Wirus przypomniał nam przecież to, co tak namiętnie wypieraliśmy – że jesteśmy kruchymi istotami, zbudowanymi z najdelikatniejszej materii. Że umieramy, że jesteśmy śmiertelni. Że nie jesteśmy oddzieleni od świata swoim »człowieczeństwem« i wyjątkowością, ale świat jest rodzajem wielkiej sieci, w której tkwimy, połączeni z innymi bytami niewidzialnymi nićmi zależności i wpływów. Że jesteśmy zależni od siebie i bez względu na to, z jak dalekich krajów pochodzimy, jakim językiem mówimy i jaki jest kolor naszej skóry, tak samo zapadamy na choroby, tak samo boimy się i tak samo umieramy".

Epidemia może pokazać, że Amerykanie nie mogą po prostu wypiąć się na resztę świata. Podobnie Polacy. A dlaczego? A dlatego, że egzystencjalnie, na skórze każdego z nas, czujemy, że przeżywamy to samo.

Tylko że jedni mają więcej testów, inni mniej. Albo maseczek. Albo respiratorów.

Ale zagrożenie, z którym się mierzą, jest takie samo. Podobnie jak strach. Mogą też współpracować – jak laboratoria z całego świata nad szczepionką. Takich miejsc szukania wspólnego, ludzkiego „my" chciałoby się odnaleźć jak najwięcej.

„Chciałoby się" jest z porządku myślenia życzeniowego.

Znam analizy mówiące, że obecny kryzys może z nas wydobyć nie to, co najlepsze, ale to, co najgorsze. Że czekają nas populizmy, autorytaryzmy, czas odgradzania się jednych od drugich. A wtedy pod koniec stulecia czeka nas okres barbarzyństwa. Cywilizacja przestanie istnieć. Jako filozofka jednak uparcie szukam pozytywów.

Czyli co jeszcze widzi Pani przez swoje okno?

O katastrofach w świecie nauki mówi się, że multiplikują zagrożenia. Każda katastrofa powoduje, że dotychczasowe problemy potężnieją, a małe bolączki urastają do poważnych. Trudno się nie obawiać o najsłabszych. W Polsce na przykład trudno nie myśleć o Ukraińcach, którzy stracili nagle pracę w wielu naszych domach. Albo o naszych rodakach zatrudnionych na umowach śmieciowych w branżach, które zrobiły się nagle nierentowne. O tych, którzy stali się, jak to nazwał Zygmunt Bauman, „ludźmi-odpadami" globalizacyjnych procesów. Dlatego tak ważne są różne oddolne akcje, jak #empatyczneinnowacje. Można dzięki nim, nie czekając na rząd, wesprzeć swoich usługodawców, fryzjerów itp.

I co nam to wszystko mówi?

Że potrzebujemy silnej tkanki społecznej. Że neoliberalizm, ze swoją ideologią nastawioną na zysk, nie może dalej degenerować społecznej spójności. Że potrzebujemy opieki socjalnej dla najsłabszych. Że musimy być solidarni.

Autorytety neoliberalnego świata mówią już podobnie. „Konieczne będzie przedstawienie radykalnych reform odwracających kierunek polityki ekonomicznej przeważający przez ostatnie cztery dekady. Rządy będą musiały przyjąć bardziej aktywną rolę w gospodarce, postrzegać usługi publiczne jako inwestycje, a nie obciążenia, oraz szukać sposobu, by zwiększyć zabezpieczenia na rynku pracy. Na agendę wróci redystrybucja, pod znakiem zapytania staną przywileje starszych i bogatych. Koncepcje do niedawna uznawane za ekscentryczne, takie jak dochód podstawowy albo podatek od bogactwa, będą musiały być częściami składowymi". To, uwaga, edytorial „Financial Times" sprzed paru dni, o tym, że wirus obnażył kruchość naszego kontraktu społecznego.

Mówiłam, że coś się rozszczelnia. Są badacze, którzy pokazują, że bogaty świat Zachodu faktycznie stać już na zapewnienie powszechnego dochodu podstawowego – na danie ludziom minimalnego bezpieczeństwa socjalnego nie jako darowizny czy gestu dobroczynnego, ale jako prawa człowieka. Przyjęcie takiego podejścia pozwala na zachowanie godności, której utrata wiąże się często z sięgnięciem po pomoc społeczną, no i zmienia warunki pracy, której wykonawca przestaje we wszystkim zależeć od kogoś, kto go zatrudnił.

Ale nie chodzi tylko o kontrakt społeczny. Wirus obnażył także inne cechy naszej cywilizacji. Na przykład, dosadnie mówiąc, owsiki w jej tyłku.

Tokarczuk pisze: „Pokazał nam, że nasza gorączkowa ruchliwość zagraża światu".

Dużo ładniej. Okazało się w każdym razie, że ruchliwość nie jest niezbędnym warunkiem naszego funkcjonowania. Że nie wszystkie konferencje czy narady muszą się wiązać z koniecznością przejazdu, a tym bardziej przelotu kilkuset kilometrów. Że część pracy można odbyć zdalnie. Powiedzenie sobie, że w świecie postpracy mogę pracować cztery, a nie pięć dni w tygodniu, z czego dwa w domu, brzmi jakoś mniej szokująco.

Nie tak łatwo to idzie. Żeby z Panią porozmawiać, musiałem wynegocjować godzinę dostępu ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

19 KWIETNIA TO ROCZNICA POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

W tym roku obchodzimy ją w odosobnieniu, ale łączy nas pamięć i symbol rocznicy – żonkil.

Pokażmy, że pamiętamy!

W bieżącym numerze „Tygodnika Powszechnego" znajdziecie 6 naklejek z rocznicowymi żonkilami.

Przyklejcie je w widocznym miejscu, podzielcie się z innymi oraz pokażcie w mediach społecznościowych, że #ŁączyNasPamięć!

Ksiądz Adam Boniecki – Ambasador Akcji Żonkile od 2016 roku.

19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

TYGODNIK POWSZECHNY

do komputera z dziećmi, które mają szkołę online.

A w polskich warunkach fakt, że macie komputer z dostępem do internetu, wciąż można traktować jako kolejny przejaw uprzywilejowania. W wielu domach dzieją się dantejskie sceny związane z koniecznością przystosowania się do nowego trybu pracy: uczenie się nowych rzeczy jest po prostu trudne. O ile wciąż ma się pracę.

Patrząc jednak z szerszej perspektywy: zmniejszenie mobilności to zmniejszenie emisji zanieczyszczeń i szkód środowiskowych.

Strach powiedzieć: epidemia ma dobre strony.

Dla mnie jedną z najważniejszych jest wzrost autorytetu nauki. Przecież naukowców nikt dotąd poważnie nie traktował.

Naukowcy się spodziewali, że będzie wirus?

Światowa Organizacja Zdrowia od dwóch lat przestrzegała przed możliwością pojawienia się odzwierzęcego patogenu X. Nikt jej nie słuchał. W mojej ostatniej książce dużo miejsca poświęcam frustracji środowiska badaczy związanej, po pierwsze, z upadkiem autorytetu nauki w dobie postprawdy i mediów społecznościowych, gdzie coraz trudniej oddzielić fake newsy od faktów. A po drugie z tym, że naukowców nie słuchają politycy.

Mam nadzieję, że po koronawirusie wzrośnie rola ekspertyzy naukowej i jej rola polityczna.

Bardzo trudno mi sobie wyobrazić zmiany w tej dziedzinie. Zwłaszcza kiedy naukowcy przemawiają ex cathedra.

Ale przyzna pan, że lekcja z niesłuchania naukowców w kwestii wirusa jest wyjątkowo gorzka.

Zwłaszcza że oni ostrzegają także, że kryzys nie będzie jednorazowy albo że rozłoży się w czasie. Na wynalezienie i upowszechnienie szczepionki możemy czekać kilkanaście miesięcy. Choroby odzwierzęce nie znikną. Obawa przed zarażeniem stanie się bolesnym, egzystencjalnym doświadczeniem każdego z nas. Może podnieść poziom lękliwości. Jeśli w tym czasie nie będziemy słuchać naukowców, to kogo?

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. EWA BIŃCZYK jest filozofką, wykładowczynią Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, zajmuje się m.in. socjologią wiedzy, filozofią nauki i języka, studiami nad nauką i technologią. Ostatnio opublikowała „Epokę człowieka. Retorykę i marazm antropocenu".

Szarlatanów. Autorów najłatwiejszych wyjaśnień.

I gdzie nas to zaprowadzi? Upadek autorytetu nauki ciągnie się od lat 80. XX w. Media, które w tym czasie chętnie dawały głos denialistom, mają za co bić się w piersi.

Na przykład za co?

Za dezinformacyjne kampanie na temat rzekomo niedającego się udowodnić globalnego ocieplenia – kampanie, dodajmy, sponsorowane przez przemysł paliwowy. To nic nowego. Podobną politykę stosowały kilkadziesiąt lat wcześniej koncerny tytoniowe, przekonujące do rzekomej nieszkodliwości palenia.

Najgorzej mają młodzi. Trudno mi sobie wyobrazić, że podobny kryzys wydarza się w czasach, kiedy jestem w szkole średniej, tuż przed decyzją o tym, jaki kierunek studiów wybrać. Nie wiadomo, co będzie z rekrutacją. Nie wiadomo, czy będzie można pójść na studia do innego miasta. A jeśli gdzieś się już pracowało, najczęściej bez stałej umowy, właśnie się tę pracę straciło albo zaraz się ją straci.

Na to wszystko nakłada się ta utrata przyszłości w dalszej perspektywie, związana z kryzysem klimatycznym. Rządzące dziś światem pokolenie ma gdzieś przyszłość swoich dzieci i wnuków.

Których będzie coraz więcej i więcej. Kolejne miliardy ludzi trzeba będzie wyżywić, dać im pracę. Trudno to sobie wyobrazić, myśląc w kategoriach postwzrostu.

Musi się zmienić sposób dystrybucji dóbr. Trzeba odejść od tak zwanego przestrzelenia konsumpcyjnego w krajach bogatych, nie tłumiąc równocześnie aspiracji do dobrobytu w krajach najuboższych, gdzie przyrost demograficzny faktycznie będzie postępował – do końca stulecia może nas być 10-11 miliardów. Gdybyśmy chcieli zapewnić im życie na poziomie przeciętnego Amerykanina czy Europejczyka, potrzebowalibyśmy kilku planet. Wiemy, że nie mamy tylu zasobów. I to najbogatsi, te 20 procent mieszkańców planety konsumujących i emitujących najwięcej, muszą się zmienić.

Wie pan, że już w 2015 r. jeden procent najbogatszych mieszkańców planety posiadał tyle, co pozostałe 99 procent? Czy to jest przyzwoite i moralne, że w 2019 r. – podaję za raportem Oxfamu – 26 miliarderów posiadało tyle, co połowa ludzkości?

Nie jest. Ale nie wiem, co ma z tym wspólnego kryzys klimatyczny.

Degradacja środowiska postępuje też w krajach najuboższych. To system naczyń połączonych. Nasze bogate, wysokoemisyjne, nasycone nowoczesnymi technologiami społeczeństwa generują koszty, które płacą tamci. Dalsze pogłębianie nierówności gwarantuje konflikty. Nadejście czasów militaryzmu lub barbaryzmu.

I Pani wie, jak zbudować lepszy świat?

Nie ja. Ale to jest wiedza, którą dzielą się eksperci. Że trzeba dekarbonizować gospodarki, inwestować w odnawialne źródła energii, przestawiać infrastrukturę na niskoemisyjną. To niebywałe i wcale nie tanie wyzwanie. Inna koncepcja transportu. Ograniczenie handlu na dalekie odległości. Większy akcent na suwerenność i lokalność w produkcji. Nasze rozrywki też mogą być niskoemisyjne: spacer z psem i joga, a nie gry komputerowe i seriale. O tym, ile energii pochłaniają otaczające nas gadżety, w ogóle się nie mówi.

Czyli po pierwsze gospodarka.

Tylko taka, w której nie chodzi o maksymalizację zysków i śmieciowe konsumowanie byle czego. W której towary mogą być wysokiej jakości i mieć długoterminowe gwarancje. Przecież można dzięki temu zredukować odpady.

Co ważne: jakość naszego życia i jakość rzeczy, którymi się otaczamy, nie musi stanąć pod znakiem zapytania. Chodzi o ilość tego wszystkiego. O pośpiech i chaos, z jakim zużywamy zasoby planety, co pół roku wyrzucając z naszych szaf ledwo noszone ubrania. Brytyjski ekonomista Tim Jackson mówi w tym kontekście o „gospodarce kopciuszkowej". Może więc przerwa w hiperkonsumpcji czegoś nas nauczy? Że święta mogą się obyć bez stert nowych przedmiotów, obrusów, ozdób itd., i stać się przez to nawet bardziej świąteczne?

Cały czas się zastanawiam, na ile jesteśmy w stanie przyswoić te prawdy właśnie w tym momencie. Kiedy gospodarka stanęła i ludzie tracą pracę, priorytetem decydentów musi być jak najszybsze rozhulanie wszystkiego od nowa.

Ale czy rolą nauki i poważnych mediów nie jest wykraczanie poza horyzont najbliższych miesięcy? Przekonanie, że „musi być tak jak zawsze", towarzyszyło nam od zawsze. Wydawało się, że to zdroworozsądkowe podejście. Tylko że właśnie ono doprowadziło nas na skraj katastrofy.

Nie mam poczucia, żeby nasi przywódcy zajmowali się teraz wymyślaniem innej przyszłości.

Ich priorytetem jest zapewnienie nam bezpieczeństwa w najbliższych miesiącach. Trudno, by było inaczej. Ale wkrótce ich horyzont powinien się rozszerzyć.

Lęk nie skłania do formułowania śmiałych wizji.

Ale wiemy, że tak samo jak było, już raczej nie będzie. Trauma kwarantanny, obawa przed kolejnymi epidemiami z nami zostaną. Podobnie jak doświadczenie tego planetarnego „my".

Czy jednostka ma w tej sytuacji coś do zrobienia?

Na krótką metę: nie dać się dezorientacji wywołanej nagłą, niechcianą zmianą i odebraniem części swobód. Każdego dnia walczyć o konstruktywne spędzanie tego czasu. Nie oddać pola lękom. Zachować spokój. Są pewne metody zachowania spokoju, np. niepodążanie za wszystkimi informacjami serwowanymi przez media. Wyciszenie. A jeżeli ktoś może nadal pracować, choćby w zmienionej formie: konstruktywne skupienie na pracy. Sensowna praca daje gigantyczne poczucie spełnienia. Na dłuższą metę trzeba jednak otworzyć okno jeszcze szerzej. Epidemia dała nam wielkie pole do refleksji, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy i jakie cele sobie stawiamy. Możemy otworzyć się na alternatywy.

Nie brzmi to jakoś rewolucyjnie.

Niestety, sprawczość jednostek jest ograniczona. Można jeszcze głosować na polityków, którzy myślą w kategoriach szerszych niż najbliższe wybory. Uprzedzam pytanie: wielu ich w Polsce nie ma. Ale bez zmiany na tym poziomie się nie obejdzie. W indywidualnych decyzjach, nazwijmy je: ekokonsumenckimi, w pojedynczych przejściach na weganizm czy przesiadkach na rowery, choć je szanuję, wielu nadziei nie pokładam. Musimy zmienić dużo więcej niż styl życia wąskiej uprzywilejowanej grupy.

A nie jest tak, że planeta sama się dziś reguluje?

Była taka teza, sformułowana w latach 70. XX w. przez Jamesa Lovelocka, o samoregulującej się Gai. Problem w tym, że zmiany wprowadzane dziś przez gatunek ludzki do systemu planety są zbyt wielkie, by mogło dojść do samoregulacji. Wiara w to, że możemy umyć ręce, a Gaja wszystko naprawi, np. oceany same poradzą sobie z zakwaszeniem, jest mitem.

Zastanawiałem się raczej nad tym, czy to ludzkość nie jest zagrażającym planecie wirusem.

Planecie nie. Ona przetrwa nawet katastrofę klimatyczną. Zostaną na niej jakieś formy życia. Nie będzie można jedynie utrzymać ładu cywilizacji. Ani tych wartości, które są nam tak drogie.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Śmierć Abla*

Bóg nie wejrzał na ofiarę Kaina, co wywołało w nim straszny gniew. Pan uprzedził go, że gniew zamienia się w zło, a zło w grzech, który czyha na nas od kołyski. „Kusi cię, lecz ty masz nad nim panować". Kain czuł się dotknięty boską niesprawiedliwością, tym bardziej że okazał ją Ten, od którego akurat oczekiwał pochwał i błogosławieństwa. W swoim mniemaniu nie zasłużył na takie traktowanie. Zachował się jak wielu z nas w podobnej sytuacji, dotkniętych fałszywym oskarżeniem czy złym słowem przyjaciela. Bóg pouczył go, jak ma się zachować. Nie ma już mowy o tym, że nie przyjął ofiary Kaina. Zwraca się tylko do niego. Nie do Abla. Słowa Pana mają sens niejasny, ale jakoś je rozumiemy. Zwraca się do sumienia i rozumu Kaina. Mówi mu: nie daj się zniewolić nienawiści. W wierszu następnym dowiadujemy się, że bracia spotkali się, o czymś rozmawiali, pewnie się pokłócili i scenę kończy śmierć Abla. Na znanym barokowym obrazie z Muzeum Prado potężny mężczyzna leży powalony obok płonącego stosu ofiarnego. Przerażony sobą Kain, trzymając się za głowę, odchodzi. Niebiosa się otwierają i strwożeni aniołowie w szkarłatnych szatach (a może i sam Bóg) są świadkami pierwszego opisanego w Torze morderstwa.

Są dwie odmienne interpretacje śmierci Abla pośród żydowskich myślicieli. Najczęściej jest przedstawiony jako niewinna ofiara czystego zła. W innym czytaniu odpowiedzialność za bratobójstwo rozkłada się inaczej. W pierwszej z tradycji znaleźć można obraz szeolu, w którym znalazł się Abel i stamtąd wzywał Boga do zemsty na wszystkich potomkach Kaina. W dziele powstałym w I lub II wieku wspólnej ery, a zatytułowanym „Testament Abrahama", Abel przedstawiony jest jako sędzia, który oddziela dusze ludzi dobrych od złych. Bóg rzecze, powołując trybunał: „Wiem, że tylko człowiek może sądzić człowieka. Tak się powinno dziać. Niech potomkowie Abla sądzą ludzkie dusze, aż przyjdzie w swej chwale Bóg i wtedy dusze staną przed trybunałem złożonym z dwunastu plemion Izraela". A ostateczny osąd należeć będzie do Boga – i nie będzie już podlegać zmianom.

Wedle jednego z midraszy Abel jest opisywany niemal jak święty, bezgrzeszny, ofiara ludzkiego zła. Bóg przez Abla błogosławi wszystkich sprawiedliwych i dobrych ludzi. Dodaje się przy tym, co obraz z Prado potwierdza, że Abel był silniejszy od Kaina, ale z litości ocalił życie brata.

Ziemia, na której zginął Abel, pozostała na zawsze ugorem. Nie chciała przyjąć jego krwi. Długo leżał niepogrzebany. Adam i Ewa płakali nad ciałem syna, nie wiedząc jeszcze, czym jest grób, pochówek. Nauczyła ich tego gołębica, która zobaczywszy nieżywe pisklę, wygrzebała dół i tam jego ciało zasypała. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Wirtualny klerykalizm*

Leibniz zapewnia, że nasz świat jest jedynym możliwym i najdoskonalszym z możliwych do pomyślenia. To pocieszające, zwłaszcza w czasach, kiedy wydaje się, że ten świat to jedno wielkie nieporozumienie. Trudno się jednak dziwić młodym, zamkniętym w mieszkaniach, gdy mówią, że nic gorszego spotkać ich już nie może. Dziadkowie i rodzice wiedzą, że może. To dlatego Franciszek, będąc w Polsce, zachęcał: „Wy, którzy cierpieliście z powodu komunizmu, ateizmu, o tym wiecie: to dziadkowie i babcie zachowywali i przekazywali wiarę. Dziadkowie mają pamięć ludu, mają pamięć wiary, pamięć Kościoła. Nie można odrzucać dziadków!". I odwrotnie, nie tylko nie można odrzucać młodych, ale trzeba umieć pomagać im zrozumieć ten świat. Najlepszy tylko dlatego, że tylko taki mamy.

Młodzi mają prawo być przerażeni odkryciem, że świat ma też ciemną stronę. Przecież cokolwiek by człowiek tknął, wszystko jest nadgryzione przez brak i śmierć, i to w dwojaki sposób. Wiosna, życie rozkwita, ale jego korzenie tkwią w zamienionych w glebę roślinach, zwierzętach i ludziach. I tak trwa ten niekończący się, zachwycający i przerażający *danse macabre*. Mówiąc po „mszalnemu": żyjąc, karmimy siebie ciałem i krwią innych i oni karmią się naszym ciałem i krwią.

Niedoskonały jest świat, ale i z Bogiem jest nie najlepiej. Nie jawi się On jako najlepszy z najlepszych. Cóż to za Bóg, o którym mówi się, że Wszechświat jest Jego dziełem, a legitymuje się przed śmiertelnymi ranami zadanymi przez śmiertelnych. „Po ośmiu dniach uczniowie znów byli wewnątrz i Tomasz razem z nimi. Mimo zamkniętych drzwi, Jezus wszedł, stanął w środku i pozdrowił ich: »Pokój wam«. Następnie rzekł do Tomasza: »Unieś tutaj swój palec i zobacz moje ręce, podnieś też swoją rękę i włóż w mój bok. I przestań być niedowiarkiem, a bądź wierzącym«. Tomasz wyznał Mu w odpowiedzi: »Pan mój i Bóg mój!«. Jezus zaś rzekł do niego: »Wierzysz, ponieważ Mnie ujrzałeś? Szczęśliwi ci, którzy nie zobaczyli, a uwierzyli«". Jednak to te rany i śmierć sprawiły, że apostołowie zobaczyli w człowieku Boga. Usłyszeli też: „Szczęśliwi ci, którzy nie zobaczyli, a uwierzyli". Wszyscy, którzy pójdą za Jezusem, z mozołem będą się uczyć widzieć niewidzialne w widzialnym – i tak dzieje się aż do dzisiaj.

Dzisiaj widzimy, jak Jezus wychodzi z kościołów i świetnie odnajduje się w świecie najnowszych technologii. Rzecz jednak w tym, żebyśmy pomagając Jezusowi zaistnieć w ten nowy sposób, nie uwięzili Go w wirtualnym tabernakulum, a siebie – w wirtualnej nawie. Wielkanocna niedziela miłosierdzia stawia pytanie, co robić, żeby ten elektroniczny Kościół nie był tylko słowem, ale skutecznie pomógł np. tym zarażonym, których zaczyna się na różne sposoby piętnować. Dzisiaj ranami Jezusa są ci, którzy „znikąd nie mają pomocy". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dynamika Paschy

Z łagodności rodzi się poznanie, z zuchwałości zaś – głupota.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Wystarczy, że pozbędę się swoich nienawistnych myśli, a znikną wszyscy moi wrogowie.

ŚANTIDEWA

Wybrał PIOTR SIKORA

W świętowanie Paschy wpisana jest niesłychana dynamika – ona nie pozwala się zatrzymać i uznać którykolwiek ze swych etapów za punkt dojścia. Pierwszy z tych etapów opisuje słowo „wolność". Niesłychanie ważne. W naszym świecie wolność przedstawiana jest jako wartość sama w sobie i warunek wszystkich innych. Boże wydarzenie Paschy nie zatrzymuje się „na przystanku wolność"; Pascha biegnie dalej – ku doświadczeniu miłości. Dlatego w tradycji Izraela po zakończeniu wieczerzy sederowej przychodzi czas na lekturę Pieśni nad Pieśniami.

„Pieśń nad Pieśniami – jak uczył rabbi Akiva – to Święte Świętych Biblii". Kto po nią nie sięgnął – kto się nie dał zaprosić do wnętrza doświadczenia oblubieńczej miłości, o której opowiada – choć opuścił Egipt, umrze równie „wolny", co zdezorientowany na pustyni.

Temu, który w wolności sięga po obietnice Pieśni nad Pieśniami, Miłość też nie pozwoli się zatrzymać w jakimś miejscu (jakby już u celu) – jest w końcu jedyną cnotą, która nie zna umiaru. Paschalna miłość prowadzi do miłości do wroga – myślę, że wielu z nas choć raz w życiu słyszało przekaz Midraszu o aniołach, którzy widząc, jak Morze Czerwone, przepuściwszy na drugą stronę Izraelitów, zamyka się nad Egipcjanami, zaczęli w niebie śpiewać z radości. Natychmiast jednak zostali skarceni przez Boga słowami: „Moje dzieci toną, a wy się cieszycie?".

To ważny przekaz. Dopóki nienawidzisz, nie jesteś wolny. Może wyszedłeś z Egiptu, ale Egipt nie wyszedł z ciebie. Wleczesz go w sobie do każdego miejsca, w którym się zatrzymasz; i w żadnym z nich nie będziesz się w pełni cieszył.

I to jeszcze nie koniec duchowej drogi paschalnej. To raczej początek kompletnego przewartościowania i przemiany, w głąb której prowadzi. Pascha odwraca wszystkie porządki, a wydarzenia ze środka Morza Czerwonego pokazują to z wielką ostrością.

Co stało się przyczyną śmierci Egipcjan w jego głębinie? Rabbi Jonathan Sacks odpowiada: rydwany. Po odsłoniętym dnie morza – zapewne błotnistym i grząskim – Żydzi poruszali się z łatwością; ale Egipcjanie? Na swoich ciężkich rydwanach mieli poczucie, że Pan wręcz „zatrzymał ich koła", tylko „z wielką trudnością mogli się naprzód posuwać" (zob. Wj 14, 25). Potonęli w środku morza.

Ciężkie rydwany, wprowadzone do użytku przez egipską armię w XVI wieku przed narodzeniem Chrystusa (a więc jakieś 350 lat przed wyjściem Żydów z niewoli), stanowiły jej chlubę i podstawę militarnej dominacji. Użyte do ścigania Żydów, stały się śmiertelną pułapką dla ścigających. To, co silne, okazało się naraz zabójczo słabe. Słaby natomiast Izrael okazał się nie do zatrzymania dla armii istniejącego już 18 wieków (do tamtego czasu) mocarstwa.

Pascha dokonuje ostrej rewizji pojęć (i decyzji), co jest słabe, a co mocne. Co mądre, a co głupie. Co chwalebne, a co haniebne. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 IV)

2. Niedziela Wielkanocna (Miłosierdzia Bożego):
Dz 2, 42-47; Ps 118; 1 P 1, 3-9; J 20, 19-31;
Poniedziałek: Dz 4, 23-31; Ps 2;
J 3, 1-8;
Wtorek: Dz 4, 32-37; Ps 93; J 3, 7b-15;
Środa: Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;
Czwartek, Uroczystość św. Wojciecha:
Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
Piątek: Dz 5, 34-42; Ps 27; J 6, 1-15;
Sobota: 1 P 5, 5b-14; Ps 89; Mk 16, 15-20;
3. Niedziela Wielkanocna:
Dz 2, 14. 22b-32; Ps 16; 1 P 1, 17-21; Łk 24, 13-35.

KRAJ

MYŚLAŁEM, ŻE BĘDZIE GORZEJ

FILIP PŁUŻAŃSKI, LEKARZ REZYDENT:

Nasz system ochrony zdrowia działa tylko dlatego, że zrezygnowaliśmy ze wszystkich zabezpieczeń. Wszystkich.

KALINA BŁAŻEJOWSKA: Nie boi się Pan mówić pod nazwiskiem?
FILIP PŁUŻAŃSKI: Skąd!

Ciągle czytam artykuły, w których lekarze wypowiadają się anonimowo. Jeśli w ogóle chcą mówić, bo były już zwolnienia za wpisy na Facebooku.

I to jest właśnie nasz błąd. Albo będziemy coś zmieniać, albo udawać, że tego nie ma. Ja sam muszę iść za ciosem. Jeżeli nie bałem się jako rezydent protestować pod nazwiskiem, to teraz też nie będę się bać. I tak uchodzę za niepokornego pracownika.

No to jak jest z tą ochroną zdrowia?

Do tej pory działała trochę jak elektrownia w Czarnobylu podczas tego nocnego testu. Czyli: jesteśmy nieprzygotowani, ale przy sprzyjających warunkach wszystko nam się uda. Teraz pojawiły się niesprzyjające warunki.

My, rezydenci, możemy wołać: „A nie mówiliśmy?". Mam jednak nadzieję, że uda się ten kryzys opanować. Bo jak nie, to fakt, że ostrzegaliśmy, nie będzie żadnym pocieszeniem.

Jak długo Pan głodował?

Pięć dni, czyli krótko. Nie byłem rekordzistą.

Jak to się znosi?

Pamiętam tylko, że nie chciałbym tego powtarzać. Nawet nie chodzi o głód, tylko o to uczucie, gdy o siódmej budził nas dźwięk rozstawianych kamer. Byliśmy jak małpy w zoo, albo gorzej, bo od małp nikt nie oczekuje, że będą się elokwentnie wypowiadać do mikrofonu. A tak naprawdę to oczekiwali, że wreszcie ktoś umrze i będzie co pokazać w telewizji.

Nasz zryw był nie tylko dla nas, ale też dla pacjentów. Młodzi lepiej widzą braki w systemie, bo jeszcze nie są pozbawieni ideałów, jeszcze nie myślą wyłącznie o karierze, jeszcze im się chce. Choć teraz, po trzech latach, już pewnie mniej.

Protest zakończył się umową z ministerstwem. Słusznie? Ktoś powie, że daliście się przekupić albo nabrać.

To był kompromis, na który w danej chwili było nas stać.

W danej chwili. Potem rząd wdrożył kreatywną księgowość i okazało się, że przy obliczaniu postulowanego przez Was procenta wydatków na ochronę zdrowia używa PKB z 2017 roku.

Racja. Czy to się mści w tym momencie? Zobaczymy. Wie pani, co rozkłada polską ochronę zdrowia?

„Kadra zarządzająca średniego szczebla, która położy ten system niwecząc potencjał pracowników czy reformy. Karierowicze z politycznej przechowalni bez wizji, elementarnej wiedzy, pozbawieni szacunku do pacjentów, niezdolni do wyprzedzania faktów...".

Nie wiedziałem, że ktoś czyta mojego Twittera. Ale tak, ostatnie tygodnie pokazują to dobitnie. W wielu miejscach personel szarpie się z dyrekcją o to, żeby zaostrzyć procedury sanitarne. Oczywiście znam też pozytywne przykłady ludzi, którzy potrafią wyprzedzać fakty. I chociażby zauważyć, że SOR czy izba przyjęć są jak drzwi do szpitala – jak się zostawi je otwarte, to będzie przeciąg. Są szpitale, które miały taki przeciąg, że teraz muszą zamykać kolejne oddziały. A proszę wierzyć, że dla nas – ludzi, którzy muszą opuścić pacjentów – kwarantanna nałożona na szpital to nie są dwutygodniowe wakacje, tylko dwutygodniowe więzienie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Lekarz Filip Płużański (w środku) w zespole Kliniki Artroskopii, Chirurgii Małoinwazyjnej i Traumatologii Sportowej, Łódź, luty 2020 r.

Jeśli ktoś pozwala, żeby po oddziałach łaził lekarz, który miał kontakt z zakażonym pacjentem, to sorry, ale sprowadza bezpośrednie zagrożenie zdrowia i życia. Załamuję ręce, jak o tym słyszę.

Dyrektorzy mówią: gdybyśmy odsunęli cały nieprzetestowany personel, nie byłoby komu pracować. A drugie wytłumaczenie: brakuje masek, rękawiczek, kombinezonów.

Same środki ochrony indywidualnej nic nie dają. Możemy mieć wagon masek na każdego lekarza, ale jeśli nie mamy procedur przyjmowania, triażowania, kierowania i badania pacjentów, to zmarnujemy wszystko w dwa dni i zostaniemy z niczym.

Niektórym dyrektorom brakuje przede wszystkim myślenia. Może źle, że to są lekarze, na dodatek często próbujący pogodzić stanowisko z prywatną praktyką. Może to powinni być ludzie, którzy zajmują się zarządzaniem produkcją i optymalizacją procesów. Proszę się zresztą zastanowić, co jest w zakresie obowiązków dyrektora szpitala i w jaki sposób się przeprowadza konkursy.

Proszę mi powiedzieć.

Nie ma jasnych wymagań, celu typu „zwiększyć liczbę przyjmowanych pacjentów". To się odbywa raczej na zasadzie „proszę ogarniać szpital". Z nadzieją patrzę na nową strategię NFZ, który ma zacząć płacić za efekty, a nie za trwanie.

Musimy dookreślić, po co ma być szpital, ale też po co ma być ochrona zdrowia i powszechne ubezpieczenie zdrowotne. Żeby potem móc to realizować. A my się rozdrabniamy.

Chodzi Panu o to, że nie ma wizji?

Że zamiast wizji jest chaos. I w czasie epidemii ministerstwo próbuje ten chaos porządkować, łatać, co się da i czym się da. Zobaczymy za kilka tygodni, z jakim efektem.

Może moje zadowolenie jest przedwczesne, ale na razie jestem pełen podziwu dla tych dziewiętnastu szpitali jednoimiennych.

Nie mówię, że udało się je super zorganizować, ale to nie jest rozstawienie namiotu, tylko ogromne przedsięwzięcie, zwłaszcza przy brakach sprzętu, niedofinansowaniu i całym tym bajzlu, jaki mamy w polskiej ochronie zdrowia. Zresztą było widać po ministrze, że chodził na rzęsach.

Ufa mu Pan?

Zaufałem w ostatnim miesiącu. Myślę, że to odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu. Wiem, że to niepopularna opinia, jak pani nie chce, proszę tego nie cytować.

Nie cenzuruję moich rozmówców.

Stoję między młotem a kowadłem: lata szarpałem się z ministerstwem, a teraz je chwalę. Powiedzmy sobie szczerze, na taką epidemię nikt nie mógł się przygotować. Państwa, które rokrocznie uzyskują najwyższe noty w indeksie ochrony zdrowia, jak Belgia czy Holandia, też mają problemy. A Hiszpania? Wielokrotnie słyszałem, że jest krainą mlekiem i miodem płynącą dla pracowników ochrony zdrowia. Nie przepracowują się, mają dobry sprzęt i godziwe płace.

A teraz zamieniają lodowiska na kostnice i nie nadążają z kremowaniem zwłok.

System pada na kolana i nie wiadomo, czy się podniesie. Myślę więc, że w Polsce mogło być gorzej. Mieliśmy dużo szczęścia, że przed nami wydarzyły się Chiny i Włochy. Wierzę, że części ich błędów u nas udało się uniknąć. Mam na myśli ↦

↦ szybką decyzję o społecznej izolacji. Może powinna być szybsza. Ale przecież jeszcze na początku marca nie wiedzieliśmy, z czym to się je, nie wierzyliśmy doniesieniom: nawet profesjonaliści mówili, że to tylko nowa grypa.

Profesorowie epidemiolodzy.

Jeśliby wtedy, gdy ten wirus był postrzegany jako egzotyczna przygoda, wprowadzono radykalne ograniczenia, ludzie wyszliby protestować na ulice. Dopiero by się zrobił problem.

Izolacja jest konieczna, bo kupuje nam czas, żeby przeorganizować i przygotować do epidemii ochronę zdrowia. Proszę pamiętać: nasz system ochrony zdrowia działa tylko dlatego, że zrezygnowaliśmy ze wszystkich zabezpieczeń. Wszystkich. Z zakazu pracy w kilku miejscach, z limitu czasu pracy, z odległości między pacjentami. Na salę trzyłóżkową dajemy pięć łóżek. Bo się zmieszczą.

Ma Pan jeszcze jakieś porównania?

Do węzła gordyjskiego, którego niestety nie da się przeciąć jednym ruchem. Nie da się jedną ustawą i jednym przelewem naprawić lat zaniedbań, zaszłości, przyzwyczajeń. To wiem teraz, po kilku latach. Gdy głodowałem, wydawało mi się, że wystarczy dosypać pieniędzy. Nie wystarczy. Zjedzą mnie koledzy za tę refleksję.

Przecież nie wycofuje się Pan z postulatu, żeby na ochronę zdrowia przeznaczać 6,8 proc. PKB. Dlaczego ten procent jest ważny?

Bo wciąż mamy za niski. 6,8 proc. to o jedną dziesiątą punktu więcej niż średnia w krajach OECD. Potrzebujemy takich nakładów, żebyśmy mogli z powrotem włączyć bezpieczniki. Żeby minister zdrowia, konsultanci krajowi i wojewódzcy nie musieli się na gwałt zastanawiać, jak rozwiązać problem, że medycy migrują.

I przenoszą wirusa między szpitalami, przychodniami, domami opieki. Bo z pracy w jednym miejscu nie wyżyją.

Albo dlatego, że są ciągnięci za uszy i błagani, żeby wzięli dodatkowy dyżur. Dopiero epidemia zmusza ministerstwo do wprowadzenia ograniczeń. Wcześniej mówili, że to niemożliwe.

Kilka miesięcy temu zaczęliśmy akcję „Zdrowa praca". Namawialiśmy lekarzy i personel do pracy 48 godzin w tygodniu, co rezydentów zmusza do gimnastyki, bo programy specjalizacji wymagają, żeby obstawiali jak najwięcej dyżurów w województwie. Wiele razy słyszeliśmy, że jesteśmy gnuśni, zepsuci... Starsi podawali siebie za przykład: bo oni jak byli młodzi, to brali 30 dyżurów w miesiącu i nigdy nie spali. Przypomina się skecz Monty Pythona.

O facetach, którzy przechwalają się, jak im było ciężko? „Pracowaliśmy 29 godzin na dobę za osiem pensów na całe życie". „Spróbuj to powiedzieć dzisiejszej młodzieży". Pan też pracował za dużo.

Trzysta godzin w miesiącu i więcej. Teraz pilnuję tych 48 godzin w tygodniu. Jak w Austrii. Tam wychodzi się z założenia, że jak ktoś jest niewyspany, to gorzej pracuje. Bierze się pod uwagę, że medycy są ludźmi: potrafią być zmęczeni, chorzy, niedouczeni. I tak projektuje się system, żeby ów czynnik ludzki pełnił najmniejszą rolę.

Czy koronawirus przyniósł cokolwiek dobrego?

Pokazał, że centralnie sterowana ochrona zdrowia jest dobrym rozwiązaniem. Tego nie udałoby się opanować w systemie wolnorynkowym. I nie da się zrobić dobrej ochrony zdrowia tylko dla bogatych.

Wszyscy są połączeni, biedni zarażają bogatych i odwrotnie.

To też pokazuje, jak ważne są szczepienia. Nagle nie słyszy się antyszczepionkowców. Zobaczymy, czy wrócą.

Już wrócili, z nową narracją: wirusa wymyślono po to, żeby zmusić ludzi do szczepień. Albo to efekt sieci 5G.

Ech, pewne rzeczy się nie zmienią.

Inny pozytywny skutek uboczny: wreszcie ministerstwo zdrowia stało się kluczowe i inne resorty zaczęły go słuchać.

Zmieniło się nastawienie lekarzy do e-zwolnień i e-recept, bo wcześniej podchodzili do tego z rezerwą. Wreszcie można przeprowadzać telewizyty na NFZ, wcześniej nie do pomyślenia. Może jeszcze bodźcowane przez nas ministerstwo ograniczy papierologię, żebyśmy nie przenosili bakterii i wirusów na długopisach i pieczątkach. Wiem, że to brzmi strasznie, ugrać coś na epidemii – ale wreszcie jest wola po drugiej stronie, żeby działać zdecydowanie.

Czemu to takie ważne?

Bo za dużo czasu tracimy na pierdoły: małe rzeczy, powtarzane przez każdego lekarza każdego dnia, zapychają system.

A asystenci medyczni? Może ich nie ma?

Widziałem jedną asystentkę w szpitalu w Łowiczu. Byłem zaskoczony, bo w moim podstawowym miejscu pracy, wielkim szpitalu uniwersyteckim z tradycjami, takiej osoby zatrudnić się nie da. Bo dużo taniej wziąć trzydziestu rezydentów, niech otwierają szlabany i odśnieżają parkingi – przesadzam oczywiście, ale tak to mniej więcej wygląda. A w powiatowej placówce po prostu trzeba komuś zapłacić, żeby chciał przyjść i wypełniać papiery.

Jakie dokładnie papiery?

U mnie w szpitalu to są 52 kartki na historię choroby.

Na całość leczenia czy na każdą wizytę?

Na pobyt trwający dobę. Najpierw wypełniam miliony formularzy w komputerze, a potem muszę je wydrukować, podbić i podpisać. Trzymamy to i na serwerze, i w archiwum, które zajmuje oddzielny budynek. Bo względy bezpieczeństwa – nie realne, tylko formalne – urosły do strasznych rozmiarów. Z tym jest problem, a że się kładzie pacjentów na korytarzu, to już problemu nie ma. NFZ mówi, że tak nie można, a pacjenci dalej leżą.

Słyszał Pan, jak wiceminister Waldemar Kraska oznajmił w radiu, że zakażenia szpitalne wynikają z nonszalancji lekarzy?

Nie mogę się z nim zgodzić. Większość z nas jest na tyle ogarnięta, że zachowuje względy bezpieczeństwa. Przebieramy się i myjemy po dziesięć razy. Nie jeździmy windą, bo mamy przeczucie, że stężenie wirusa na klatce schodowej jest mniejsze.

Kraska akurat mówił o „starych lekarzach".

Proszę mnie nie ciągnąć za język, błagam. Rzeczywiście, średnia wieku polskich lekarzy jest bardzo wysoka, a starych drzew się nie przesadza. Trudno

z dnia na dzień zmienić kilkudziesięcioletnie przyzwyczajenia. To jak z emerytami na ulicach: sześciu na dziesięciu ma maskę, a czterech nie.

A powinni nosić wszyscy i wszędzie?

Tak, nawet domowej roboty. Maski nas ratują, dopóki nie mamy powszechnej szczepionki ani cudownego leku. Wracając do procedur: na samym początku epidemii nie było czego przestrzegać, nie mieliśmy wytycznych. Zresztą w Polsce algorytmy i procedury są czymś, od czego personel medyczny dostaje wysypki. Jasne, to porządkuje pracę, ale też dramatycznie ją spowalnia.

A lekarze, jak mówiliśmy, nigdy nie mają czasu.

I miejsca. Ze względu na przeładowanie szpitali właściwy reżim sanitarny jest niemożliwy do utrzymania. Na niektórych oddziałach wygląda to jak na dworcu.

Do tej pory, jak się pojawiała bakteria czy wirus, to izolacja pacjenta wyglądała tak, że się go zasłaniało parawanem. Była jedna salowa na dwa oddziały, która tym samym wózkiem przewoziła jedzenie na salę i do izolatek. I nagle wpadamy w epidemię koronawirusa. Człowieka paraliżuje strach: co to będzie? Jak my się w tym nielogicznym systemie przestawimy na procedury? Dlatego uważam, że wyłączenie przyjęć i zabiegów planowych – czyli tych, które nie ratują życia – było najlepszym rozwiązaniem. Trzeba było zatrzymać system, żeby go zresetować.

A jeśli więcej pacjentów niż na COVID-19 umrze na udary, zawały i wyrostki robaczkowe, bo nie dostaną pomocy na czas?

Nie widzę tego tak czarno. Leczymy i będziemy leczyć nagłe stany. Decyzja, żeby wystopować zabiegi planowe, sprawiła moim zdaniem, że na razie tylko 20 proc. zakażonych to lekarze i personel medyczny. Tylko. Wszyscy mówią, że to masakra, ale gdybyśmy gnali cały czas, pewnie tydzień temu wszyscy bylibyśmy chorzy.

Badał się Pan?

W zeszłym tygodniu głowa zaczęła mi szwankować i myślałem, że na pewno coś złapałem. Na szczęście na razie nie.

Bez problemu Pan zrobił test?

ARCHIWUM PRYWATNE

FILIP PŁUŻAŃSKI (ur. 1983) jest lekarzem rezydentem w trakcie specjalizacji z ortopedii, wiceprzewodniczącym Porozumienia Rezydentów OZZL.

Tak. To chyba zależy, niestety, od podejścia dyrekcji.

Jakie jeszcze braki systemu widać teraz lepiej?

Że ratownictwo medyczne, czyli karetki, SOR-y i izby przyjęć są wciąż niedoszacowane finansowo. Widziała pani kiedyś artykuł o tym, że na SOR-ze uratowano komuś życie wspaniałą nową metodą? Nie. Bo tam, owszem, ratuje się życie, ale w większości przypadków to są proste zabiegi. A jak się wprowadza operacje robotem da Vinci, który kosztuje miliony dolarów, to można przeciąć wstęgę, zrobić sobie zdjęcie i napisać w gazecie, że jesteśmy wreszcie w kosmosie, a od przyszłego roku polecimy na Marsa. Chyba za bardzo chcemy latać w kosmos, a za mało patrzymy pod nogi.

Ostatnia rzecz: wierzy Pan w oficjalne statystyki zakażeń i zgonów?

Wypełnianie karty zgonu nie jest łatwe, dla mnie, ortopedy, to koszmar. Tam jest kilka rubryk: przyczyna wtórna, wyjściowa... Trudno byłoby mi powiedzieć, że 75-letni pacjent, który leży u nas z rozchwianą cukrzycą, zmarł akurat na COVID-19. Bez koronawirusa też by dostał zapalenia płuc. Szukamy spisku rządu, ale po co?

Bardziej wierzę w to, a nawet jestem świadkiem, że to dyrektorzy robią wszystko, żeby nie informować o skali zakażeń. Nie chcą, żeby to u nich w szpitalu szambo wybiło pierwsze. Bo system jest nakierowany na penalizację, a nie na uczenie się na błędach i ich naprawianie.

Podobno lekarze boją się nosić maseczki szyte w domach, bo w ewentualnym procesie to ich może obciążyć.

Lekarz może być pociągnięty do odpowiedzialności karnej za wszystko. Jak podejmujemy dyżur w miejscu, w którym brakuje leków albo sprzętu, to znaczy, że nie dopełniliśmy obowiązków.

Taka świadomość paraliżuje?

Lekarzom, jak tylko wyjdą z uczelni, powtarza się: „Chroń własny tyłek". A nie: „Ucz się na błędach i naprawiaj je".

Po tej pandemii zmieni się na lepsze podejście do reżimu sanitarnego?

Obawiam się, że jeszcze zanim się skończy, wrócimy do naszego grajdołu. Powiem jako związkowiec: te wszystkie kontrakty, samozatrudnienia są dobre w momencie, kiedy nic się nie dzieje. A teraz są lekarze, którzy nie dostają pensji.

Bo oddział zamknięty.

Albo ma mniej pracy i będzie na nich oszczędzał. Więc za chwilę pojawi się presja, żeby może jednak wrócić do planowych zabiegów. W szczytnym celu pomocy pacjentom, ale podyktowanym pragmatyzmem. I nie ma co się dziwić, że lekarze chcą pracować i zarabiać. Ja, lekarz na etacie, jestem teraz królem życia, o siebie się nie boję. Boję się, że ludzie dookoła mnie tej pracy nie będą mieć.

Może to zdrowie nas za drogo kosztuje?

Ważąc wszystko, będę bronił decyzji o zamknięciu państwa. Podziwiam, że ktoś miał odwagę, żeby ją podjąć.

Ale nie ma odwagi, żeby...

Przełożyć wybory? Nie wiem, nie jestem politykiem. Jestem lekarzem i chciałbym tylko przeżyć do 10 maja. Wierząc, że do tego czasu uda się to opanować, wspólnymi siłami: medyków i ministerstwa. Że będziemy w stanie się spiąć i sobie nawzajem pomóc, a nie rzucać kłody pod nogi. Innej opcji nie ma.

©℗ Rozmawiała KALINA BŁAŻEJOWSKA

Dzieci bez podwórka

KRZYSZTOF STORY

Nie mogą wychodzić bez opieki rodzica. Zamknięto im szkoły, świetlice. Pozostał dom: miejsce nie dla wszystkich bezpieczne.

Rozmawiają przez telefon, inaczej nie mogą. Jacek mówi, że się boi. Ania pyta, czy umie to nazwać. Jacek zaczyna nazywać. Boi się, że się zarazi i umrze albo spotka to jego rodziców. Boi się biedy, braku kontaktu ze znajomymi. Boi się, bo nie wie, kiedy to się skończy. Boi się, że jego kolegom coś się stanie i już ich nie zobaczy. Boi się, że będzie musiał oddać psa, bo zabraknie pieniędzy na karmę. Ania boi się o Jacka.

Jacek ma 12 lat. Ania jest wychowawczynią w Placówce Wsparcia Dziennego w niedużym mieście na Śląsku. Takie miejsca popularnie nazywa się świetlicami środowiskowymi. Dla dzieci, często z tzw. trudnych rodzin, świetlice są bezpiecznym, wspierającym miejscem. Na to, w którym pracuje Ania, dzieci mówią „Chatka". Od 16 marca Chatka jest zamknięta. Podobnie jak szkoły i wiele poradni. Od 1 kwietnia osoby poniżej 18. roku życia nie mogą same wychodzić z domu. O wsparcie trudno: kuratorzy, asystenci rodziny, psychologowie pracują głównie przez telefon albo przez okno. W ten sposób spotykają się z podopiecznymi. To dla większości dzieci stres. Dla wielu podopiecznych Ani to też zagrożenie. Bo dom, w którym dzieci są zamknięte, nie dla wszystkich jest miejscem bezpiecznym.

Chatka

Normalnie placówka Ani jest otwarta od 13 do 18, dzieci przychodzą tu po szkole. – Pomagamy w nauce, w zadaniach domowych – opisuje wychowawczyni. – Prowadzimy zajęcia plastyczne, treningi umiejętności społecznych. Często wychodzimy na dwór. Tak wygląda nasz codzienny rytm. Dzieciaki dostają też obiad, dla części jedyny ciepły posiłek w ciągu dnia. Raz na dwa tygodnie jest dzień indywidualnych konsultacji z psycholożką, raz na miesiąc socjoterapia.

W Chatce jest 25 miejsc, dzieci są zapisywane przez rodziców. Część po prostu nie daje sobie rady z zapewnieniem pełnej opieki, choćby ze względu na pracę. Ania śmieje się, że są bezpłatną niańką albo przechowalnią bagażu. – Jest też piątka dzieci z Ukrainy. Rodzice przyjechali tu za chlebem, a one często nie mogą się odnaleźć. Nowe środowisko, nowy język – mówi Ania.

– Jak sobie teraz radzą? – pytam.

– Wszystkie są w dużym lęku. Większość moich podopiecznych ma od 7 do 12 lat. To są bardzo różne obawy. Młodsze nie rozumieją, dlaczego nie mogą się spotkać, zorganizować urodzin, ani nawet rozdać cukierków w klasie. Boją się, że tak już będzie zawsze.

– A starsze?

– Nawet jeśli wiedzą, co się dzieje, czują napięcie między rodzicami. Jeśli cztery osoby żyją w trzydziestometrowej kawalerce, to nie ma szans, żeby schować swoje lęki, spokojnie porozmawiać. A stres rodziców przechodzi na dzieci.

Resztę, ponad dziesięć miejsc, zajmują dzieci z rodzin zagrożonych wykluczeniem. To domy, w których pojawia się alkohol, przemoc, dzieci nie mają odpowiedniej opieki. Część rodzin ma założoną niebieską kartę. O te Ania martwi się najbardziej. – Teraz sprawcy mają swoje ofiary w klateczce. Dziecko, zgodnie z prawem, nie może nawet przeczekać w krzakach, aż ojciec albo matka wytrzeźwieje i się uspokoi. Nawet „normalny" rodzic boi się o swoją pracę, życie, dochodzi obowiązek opieki nad dzieckiem przez cały dzień. To powoduje złość, poczucie bezradności, frustrację. Niektórzy rozładowują emocje alkoholem albo przemocą. Ci, którzy stosowali ją na co dzień lub mają problem z uzależnieniem, nie przestali tego robić z powodu pandemii.

Ania i cały zespół PWD robi, co może. Placówka ma jeden telefon służbowy, więc wychowawczynie podały dzieciom prywatne komórki. Tylko że to nie wystarcza, bo podstawową rolą Chatki była opieka. Dzieci spędzały tam kilka godzin, wracały do domu najedzone i z odrobionym zadaniem domowym. Tego nie da się zrobić przez telefon.

– Wiem, że w kilku rodzinach jest naprawdę źle. Część jest z tzw. terenów rewitalizowanych. Z familoków, tłumacząc na śląski. To jest dysfunkcyjne środowisko, gdzie nikt nie zadzwoni po policję. Naprawdę boję się, że ktoś straci życie.

– Dzieci mówią o tym wprost?

– Przemoc zawsze jest tajemnicą domu. Zbudowanie z dzieckiem takiej relacji, by podzieliło się tym przez telefon, trwa latami. Ale z kilkoma podopiecznymi mamy takie relacje. Niektórzy mówią wprost: tata pije, mama płacze, tata bije mamę, tata krzyczy na nas.

Inne dzieci mówią, że wszystko jest dobrze. Ania słyszy po tonie. Po tym jak dzieci przedłużają samogłoski. „Jeeest dooobrze... Czytaaamy ksiąąążki...". I wie, że dobrze nie jest. – Jeśli mam konkretną informację, dzwonię na policję, do kuratora, asystenta rodziny. Poza tym możemy tylko wspierać. Być. Ostatnio rozmawiałam z sześcioletnią dziewczynką. Mama ustawiła jej kamerkę i Skype'a. Ona się tak zawstydziła, że nie odezwała się ani słowem. Ale chciała, żebym ja opowia-

ALFONSO CACCIOLA / GETTY IMAGES

dała. Więc opowiadałam o spacerze z moimi psami, że mnie ciągną, bo mają razem osiem łapek i ponad 70 kilogramów.

– A jak podopieczni radzą sobie ze szkołą online?

– Ostatnio tłumaczyłam ułamki przez telefon.

Kiedy inni pójdą spać

Pandemia wpływa na nasz stan psychiczny. Pierwsze dramatyczne efekty tego wpływu już widać. 31 marca w Orzeszu, kilkadziesiąt kilometrów od placówki Ani, prawdopodobnie doszło do rozszerzonego samobójstwa. Według wstępnych ustaleń ojciec najpierw udusił swoją córkę, ciężko ranił żonę, następnie podpalił dom i popełnił samobójstwo.

By zapobiegać podobnym tragediom, telefon zaufania prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę od 1 marca 2020 r. działa całodobowo. Wystarczy zadzwonić pod 116 111. Tylko w marcu eksperci z fundacji odebrali 5239 połączeń. – To odpowiada miesięcznej średniej – mówi Dominika Doleszczak, psycholożka, dzisiejszy dyżur przy telefonie zacznie o 18. – Mamy za to prawie dwa razy więcej maili niż zwykle. Dla wielu dzieci to teraz jedyna forma komunikacji, która zapewnia prywatność. Rozmowy są też dłuższe.

– I trudniejsze?

– Tak. Wiele dotyczy trudów samej pandemii. Dokuczliwej nudy, lęków, stresu związanego ze szkołą i egzaminami. Obawy o relacje, rozpad związków. I oczywiście problemów w rodzinie. To wcale nie dotyczy tylko tzw. domów dysfunkcyjnych. Nagle wszyscy są zamknięci razem, cierpią przez brak prywatności, przestrzeni. Ale więcej jest też osób dzwoniących w poważnym kryzysie.

W marcu 76 telefonów wymagało interwencji ratującej życie. Najczęściej były to przypadki fizycznej przemocy domowej albo próby samobójcze. – Mieliśmy przeciętnie jedną taką interwencję dziennie – mówi Dominika Doleszczak. – Dzisiaj są trzy, cztery. Prowadzimy rozmowy jedna za drugą, nawet w nocy. Sama miałam sporo takich nocnych rozmów, gdzie dzieci czekały, aż wszyscy w domu pójdą spać. Można mieć wrażenie panującego mroku, ale oczywiście są również rozmowy pozytywne. O zakochaniu, o dobrych emocjach. Te telefony nam też dają dużo energii i odwagi.

Jeszcze gorzej po powrocie

Także psychoterapeuci sygnalizują nasilenie się objawów u pacjentów.

Można to zrozumieć: wielu wypadło z rytmu regularnej terapii. Nie ma tu mowy o żadnym kryzysie, ale już dzisiaj warto wziąć pod uwagę koszty psychiczne tej pandemii, zwłaszcza u najmłodszych.

– Mamy w szpitalu mniej pacjentów niż zwykle – mówi dr hab. Barbara Remberk, krajowa konsultantka w dziedzinie psychoterapii dzieci i młodzieży, kierowniczka kliniki w warszawskim Instytucie Psychiatrii i Neurologii. – Podobnie było w okresie strajku nauczycieli, co wskazuje na szkołę jako przyczynę wielu napięć. Sytuacja jest precedensowa, więc nie można dzisiaj przewidywać przyszłości. Ale mam poważne obawy.

Obawy dr Remberk nie dotyczą tylko przemocy domowej, obostrzeń i obecnej sytuacji: – Boję się momentu powrotu do szkoły. Zróżnicowanie opieki rodzicielskiej wpłynie bardzo mocno na wyniki w nauce. Dzieci, które dostaną wsparcie w nauce, wrócą do szkoły w normalnym trybie. Te, które tego wsparcia nie dostawały już wcześniej, będą miały jeszcze większe trudności.

– Dzieci w naszej placówce mają ogromne zaległości. Zdarza się, że w czwartej klasie nie potrafią dobrze czytać – tłumaczy Ania. – Godziny w Chatce były szansą na zmniejszenie tego dystansu. Ich domy często nie są w stanie przejąć tej roli. I to nie tylko wina rodziców, ale często np. braku sprzętu – na cały dom jest jeden komputer albo nie ma go wcale. Problemem może być też nasilenie uzależnień, zwłaszcza behawioralnych: od internetu, gier komputerowych, mediów społecznościowych. Dzisiaj dla wielu młodych ludzi są one jedynym oknem na świat, jedynym sposobem ucieczki od sytuacji w domu.

Tych konsekwencji nie sposób oszacować. Ale można im przeciwdziałać. Jak? – Dawać dzieciom uwagę i czas – mówi Ania. – Tłumaczyć sytuację stosownie do wieku. Nie robić tajemnic. Jeśli dziecko widzi rodziców szepczących nerwowo, czuje napięcie. I dopisuje własne scenariusze, często gorsze niż rzeczywistość. ©

Imię Ani zostało zmienione ze względu na prywatność jej podopiecznych.

Los biedaprzedsiębiorcy

DANIEL DZIEWIT, PRZEDSIĘBIORCA, PISARZ:

W polskim handlu i usługach zasadą jest przerzucanie kosztów na słabszego. Epidemia tylko obnażyła słabość tego systemu.

RAFAŁ WOŚ: Jest Pan badaczem tych rejonów polskiej gospodarki, które określiłbym jako bebechy kapitalizmu. To mało eleganckie, ale trafne określenie tego, o czym będziemy rozmawiać: małych sklepów franczyzowych, stacji benzynowych czy jeszcze mniejszych studiów paznokci. Co się tam teraz dzieje?

DANIEL DZIEWIT: Pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy, to kruchość. Wiele było w minionych trzydziestu latach gadania o „polskim cudzie gospodarczym".

Padały też inne określenia: „zielona wyspa", „europejski lider wzrostu", „Niemcy Europy Wschodniej".

A mnie się polska gospodarka – a zwłaszcza te jej rejony, które od lat obserwuję – zawsze kojarzyła z siecią pająka. Pajączki tkały ją i tkały. Trzeba przyznać, że były w tym cholernie dobre.

Aż wiatr mocniej dmuchnął...

I sieć się porwała.

Krótko po wprowadzeniu pierwszych ograniczeń związanych z koronawirusem zadzwonił znajomy. Wcale nie żaden biedaprzedsiębiorca. Prowadzi kilka placówek gastronomicznych w modelu franczyzowym. Zatrudnia 300 osób. Mówi, że jeśli to potrwa dłużej niż trzy tygodnie, to po nim.

Bo?

Bo wziął kredytów na parę milionów. Wprawdzie ma kilka nieruchomości, ale zdaje sobie sprawę, że banki mu nie odpuszczą i prędzej czy później będzie musiał je spieniężyć. A przecież z pozoru jego sytuacja jest i tak lepsza od tych, którzy nawet w dobrych czasach żyli od ostrzyżonej głowy do ostrzyżonej głowy. Albo od zrobionych paznokci do masażu za 50 złotych z dojazdem do klienta. Sytuację tych ostatnich można przecież porównać do losu emeryta, któremu na konto nie wpłynęła emerytura. Ale koszty życia trzeba pokryć. A pamiętajmy, że w większości są to ludzie w wieku 40 plus. Czyli zazwyczaj z rodzinnymi zobowiązaniami. Do tego dochodzi cała masa ludzkich spraw. Na przykład konieczność płacenia alimentów – bo w życiu różnie bywa. Albo choroba. Albo wszystko naraz.

W naturalny sposób włącza się w takich chwilach mechanizm szukania winnych. Więc kto jest winny? Państwo, które z powodu pandemii wprowadziło ograniczenia? Ale co innego miało zrobić? A może oni sami, że się nie przygotowali na gorsze czasy? Ale z czego mieli odłożyć przy tak mikrych marżach zysku?

Takie myślenie donikąd nas nie doprowadzi. To na pewno nie jest tak, że pająk coś źle zrobił. W warunkach, jakie były mu dane, radził sobie imponująco. Nie można też powiedzieć, że wśród tych mikro-, mini- albo biedaprzedsiębiorców nie spodziewano się nadejścia gorszych czasów. Powiedziałbym nawet, że przeciwnie. Świadomość kruchości była tu – w tych rejestrach gospodarki – przez cały czas. Problem jest systemowy.

Możemy go jakoś nazwać?

Opisuję go od paru lat i przychodzą mi do głowy same angielskie nazwy: franchising, faktoring, leasing, outsourcing. Mówią coś panu te pojęcia?

Tak. Modele prowadzenia biznesu bardzo w naszych czasach popularne.

Gdyby one były tylko „popularne", to nie byłoby problemu. Ale one były i są wszechobecne. I to był i jest największy problem z naszym polskim „cudem gospodarczym" ostatnich trzydziestu lat. To jest i było takie wieczne „zamiast". Zamiast partnerstwa rozpowszechnił się u nas opresyjny system franchisingu. Zamiast porządnego rynku pracy pozwalającego ludziom godnie zarabiać, mamy leasing pracowniczy pozwalający wynajmować ludzką pracę „na godziny". Albo outsourcing.

I co z tego wynika?

Gdyby porównać polską gospodarkę budowaną przez ostatnie trzydzieści lat do budynku mieszkalnego, to dostajemy dom, który z zewnątrz ma wyglądać ładnie i nowocześnie – stąd te wszystkie anglojęzyczne nazwy, ładne wystawy i kawałki ronda wokół sklepów wielkopowierzchniowych. Ale im niżej schodzimy, tym gorzej to wszystko wygląda. A tam, gdzie powinny być fundamenty, są właśnie wspomniane mechanizmy: franchisingi, leasingi, outsourcingi. Problem w tym, że one nie nadają się na bycie fundamentami zdrowego systemu.

Dlaczego?

Bo w polskiej praktyce to machiny do przerzucania kosztów. Silniejszy przerzuca na słabszego. Ten słabszy na jeszcze słabszego. I tak dopóki się da. W tym sensie nieporozumieniem jest zwalanie winy za rozpoczynający się kryzys na zarządzenia, które nakazały nam siedzieć w domach. Epidemia tylko obnażyła słabość systemu.

Możemy słabości tego systemu pokazać na przykładach?

Najbardziej jaskrawym przykładem machiny do zinstytucjonalizowanego wyzysku są galerie handlowe.

O tym była Pana pierwsza książka „Przeliczeni" z roku 2015.

Napisałem ją pod wpływem własnych doświadczeń bycia „galernikiem". Pieniądze zarobione na dobrze prosperującej firmie szkoleniowej postanowiłem zainwestować w sieć salonów fryzjerskich. Szybko okazało się, że galeria handlowa nie jest tym, czym się na pozór wydaje, tylko schematem polegającym na skoszarowaniu 100–150 najemców pod jednym dachem i ciągnięciu z nich korzyści. A także na generowaniu olbrzymich strat dla tkanki społecznej funkcjonującej wokół.

Jak działa ten schemat?

Pokażę to na przykładzie Bielska-Białej, miasta mniejszego i raczej prowin-

DONAT BRYKCZYŃSKI / REPORTER

Andrzej Kuczyński, właściciel baru Wild Beef nad Wisłą, po zamknięciu lokalu z powodu pandemii rozpoczął produkcję przyłbic ochronnych. Warszawa, 6 kwietnia 2020 r.

cjonalnego. Galerie nie pojawiły się tam od razu po przełomie, lecz dopiero dekadę później, gdy nasyceniu uległ rynek w wielkich miastach. W 2001 r. jednym podpisem władz samorządowych wyrażono zgodę na budowę jedenastu wielkopowierzchniowych sklepów w Bielsku-Białej.

I co w tym złego?

To było uderzenie w istniejące w mieście sklepy, bazary, cechy rzemiosł i drobne usługi. Podkopano bezpieczeństwo ekonomiczne tysięcy ludzi. Jedna decyzja o budowie galerii oznaczała dla tych ludzi konieczność dopasowania się do nowej rzeczywistości. Oczywiście przedstawiano to mieszkańcom Bielska w kategoriach wielkiej szansy. Powiadano: „Teraz wreszcie będziecie mogli rozwinąć skrzydła". Albo stosowano szantaż: „Postępu nie zatrzymacie, musimy się zeuropeizować". Albo pytano retorycznie „Czy chcemy wiecznie robić zakupy na śmierdzących bazarkach?".

A nie musieliśmy się zeuropeizować?

Z bezpiecznej odległości mogło to tak wyglądać.

A z bliska?

Z bliska było tak, że to skoszarowanie handlu w galeriach handlowych było regresem.

Jak to?

Na własne oczy to widziałem i wysłuchałem na ten temat setek świadectw ludzi, którzy nie mieliby powodu kłamać. To właśnie w tych świątyniach handlu dochodziło do zasłabnięć pracowników w lokalach gastronomicznych. Działo się tak, ponieważ pompy były niewydolne i stężenie dwutlenku węgla wielokrotnie przekraczało normy. Odbiory techniczne były fikcją. Kapało na głowę. Infrastruktura nawalała. Mnożyły się absurdalne i nieracjonalne rozwiązania techniczne. Inne istniały tylko na papierze. Ale to dopiero początek. Toksyczne zjawisko galerii wychodziło daleko poza mury samego centrum handlowego.

Co to znaczy?

Już w trakcie obecnego kryzysu zadzwonił do mnie dziennikarz z „Gazety Pszczyńskiej". To mały lokalny dwutygodnik. Właśnie wyzionął ducha i po 29 latach wyszedł jego ostatni numer.

To przykre.

Dla mnie tym bardziej, że byłem kiedyś redaktorem naczelnym tej gazety. Najpierw na etacie. Później jej wydawcą za złotówkę miesięcznej dzierżawy. Przypomniałem sobie tamte czasy, gdy na własne oczy widziałem, jak rynek reklamowy się kurczył z każdym rokiem. Wie pan, kto nas mordował?

Internet?

Właśnie że nie. Wykończyły nas lidlowsko-kauflandowsko-biedronkowo-żabkowe gazetki reklamowe. Dostawca nie musiał już wydawać pieniędzy w lokalnych gazetach, miał przecież reklamę w wielkonakładowych „reklamówkach". Im słabsi byliśmy, tym oni byli silniejsi. Ogołocona z prasy lokalnej Polska prowincjonalna stawała się ziemią jałową, na której kwitnąć mogło tzw. dziennikarstwo natywne. Głoszące – oczywiście za odpowiednią opłatą – że Polacy „pokochali galerie handlowe". Albo majtki, sandały i inne towary oferowane w tychże galeriach. W tych warunkach mógł rozwijać się bez trudu nowy typ samorządowca zwanego deweloperowcem, który dawał pozwolenia na budowę kolejnych galerii. Na dramaty ludzi wrabianych w tryby tej machiny nie miał nawet kto zwrócić uwagi.

Jakie to były dramaty?

Mechanizmy wyzysku można podzielić na typowe i nietypowe, tworzone *ad hoc*. Przykład tych ostatnich? Spotkałem zdesperowanego najemcę z jednej z galerii handlowych w Kielcach. Kiedyś prowadził usługę w lokalu przy głównej ulicy, ale gdy w mieście urosła galeria, przeniósł się tam. Wyszedł z milionowym długiem, ale udało mu się zachować biznes i przenieść znów na główną ulicę. Opowiedział mi o tym, jak co miesiąc dostawał fakturę za „korzystanie z placu budowy". Tak to było oficjalnie nazwane, coś w rodzaju haraczu. Wszyscy najemcy dostawali takie faktury. Jego opiewała na 40 tys. zł miesięcznie. Najpierw płacił. Potem przestał, więc jego dług narastał. Dlatego stamtąd uciekł. I tak miał szczęście.

A mechanizmy systemowe?

Najważniejszym z nich było upowszechnienie się w Polsce modelu franczyzowego. W tych rejestrach polskiej gospodarki, o których mówimy, jest ich pełno. Nikt nie wie nawet, ile dokładnie.

Wyjaśnijmy tylko, że franczyza polega na działaniu pod rozpoznawalną marką, lecz de facto jako samodzielny podmiot gospodarczy i na własną odpowiedzialność.

Franczyza może być znakomitym pomysłem na biznes dla tych, którzy nie mają kapitału na reklamę i zbudowanie rozpoznawalności swojego zakładu. ↦

Może jednak stać się kolejnym mechanizmem do wyzyskiwania słabszych. I tak się właśnie stało w Polsce. U nas relacje między franczyzobiorcą i franczyzodawcą nie są z reguły żadnym „partnerstwem" czy „obustronną korzyścią". Ich związek przypomina raczej relację dłużnika i banku. Z punktu widzenia dużego koncernu franczyza to także idealny sposób na outsourcing wyzysku pracowników.

Co to znaczy?

Łatwo to pokazać na przykładzie działających w modelu franczyzowym stacji paliw, które stanowią olbrzymią część polskiego rynku. Rzeczywistość takich miejsc nawet przed kryzysem nie była różowa. Niskie zarobki, długie godziny pracy, brak umów. Ludzie się burzyli i przychodzili do przedsiębiorcy, który prowadził zakład. A on im autentycznie nie mógł pomóc. „A co pan myśli, że ja bym im nie podniósł? Tylko że wtedy faktycznie będę musiał zamknąć interes. Bo na koniec wyjdzie, że sam zarabiam poniżej płacy minimalnej" – żalił mi się kiedyś jeden z nich. Kierownik stacji i jego pracownicy przeciągają między sobą zbyt krótką kołdrę. Do tego cały czas stoi nad nimi franczyzodawca z całym arsenałem opresyjnych środków. Myśli pan, że dlaczego zanim pan zapłaci za paliwo, musi pan przejść serię pytań o muffinkę, kartę lojalnościową i kawę.

Bo muszą spytać.

Tak, muszą. A jak nie spytają, to franczyzodawca może nałożyć karę. Inny mechanizm kontroli to systemy motywacyjne. Stacja obiecuje premie dla pracowników. Gdyby te premie były, to ludzie faktycznie mogliby godziwie zarabiać. Ale żeby te premie wyrobić, to oni by musieli sprzedać tyle paliwa, że rafinerie nie są dziś nawet w stanie tego wyprodukować. Tak są ustawione te normy.

Trudno powiedzieć, kto tu jest w trudniejszej sytuacji. Biedaprzedsiębiorca czy biedapracownik.

Pod wieloma względami pozycja tego „kierownika" jest trudniejsza niż prostego pracownika. Sprzedawca może trzasnąć drzwiami i więcej się w robocie nie pojawić. Franczyzodawca wyjść z systemu franczyzy bez ryzyka popadnięcia w długi nie może. Wielu większych i mniejszych „przedsiębiorców", których spotkałem na swojej drodze, ma kredyty. Oczywiście banki będą mówiły, że „nikt im tych kredytów nie kazał brać". No pewnie! A skąd się wzięły te wszystkie argumenty w stylu „co to za biznes bez kredytu?". Sam je pamiętam. Istniały banki wyspecjalizowane w oferowaniu przedsiębiorcom leasingów i kredytów na uruchamianie biznesu. Te wszystkie problemy w czasie dobrej koniunktury są zamiatane pod dywan. Ale teraz będą wybuchać. Już zaczęły.

Wracamy do pytania kluczowego: co teraz będzie?

Tu dochodzimy do najtrudniejszej części naszej rozmowy. Momentami chciałoby się odwrócić wzrok i nie widzieć ludzkiego cierpienia. Tu nie chodzi o to, że ktoś stracił pół miliona. Tu chodzi o to, że ktoś stracił pół miliona i jeszcze dom. I rodzinę. Albo musi się ukrywać. I to wszystko się kumuluje. Przychodzą wezwania. Z ZUS-u, z urzędu skarbowego, od banków. Poczucie własnej wartości leży w gruzach.

Nie wiemy, co się wydarzy. Oczywiście pająki znów będą tkały tę swoją sieć. Ale tu przydatność pajęczej metafory się kończy. Bo ludzie to nie pająki. A patrząc na model gospodarki, który właśnie opisaliśmy i na jego kruchość, możemy założyć, że takich sytuacji granicznych będzie więcej niż dotąd.

Ale co można zrobić?

Napisałem o tym książkę. Wyjdzie w maju. Zacząłem nad nią pracować na długo przed wybuchem epidemii. Postanowiłem oddać w niej głos tym, którzy się nie poddali. Doświadczyli w życiu sytuacji traumatycznych, od których włosy jeżą się na głowie. Ale przetrwali i dalej chce się im żyć. Może to zabrzmiało banalnie, może moralizatorsko, ale mnie się wydaje, że to jest najlepsze, co możemy teraz zrobić. Powtarzać do znudzenia, że „warto żyć". Niezależnie od tego, co będzie.

Przyszło mi teraz do głowy, że dobrym początkiem takiego myślenia może być puenta, którą wyciągam z naszej rozmowy. Nie płaczmy po tym, co było. Bo to nie było aż takie dobre.

Prawda, że to dość zaskakująca puenta naszej rozmowy?

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

LUCEK CYKARSKI / AG

DANIEL DZIEWIT *jest byłym dziennikarzem; obecnie pisarz i przedsiębiorca. Napisał trzy książki. „Przeliczeni" opowiadała o losie najemców lokali w galeriach handlowych, którzy wpadli w finansowe tarapaty. „Franczyza. Fakty i mity" opisywała realia tego modelu biznesowego. Najnowsza „Kiedy odchodzą..." ukaże się w maju.*

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Aliny Barbachowskiej, pod sygnaturą I Ns 606/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości o powierzchni 0,1636 ha, położonej w Mińsku Mazowieckim, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 2108.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców: Jana Kobzy, Kazimierza Kobzy, Michała Kobzy i Cecylii Majszyk, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 628/18, na skutek wniosku Mariusza Oliwy, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Paśnickiej, zm. 8 października 2017 r. w miejscowości Drożdżówka, ostatnio stale zamieszkałej w miejscowości Drożdżówka.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANNA

Dziewit-Meller:
Koła gospodyń

Równo dziesięć lat temu pracowałam razem z mężem nad książką „Gaumardżos! Opowieści z Gruzji". Pisałam do niej reportaż o tym, co znaczy być kobietą w Gruzji w roku 2010. Starsze i młodsze Gruzinki opowiadały mi o swoich doświadczeniach z nie tak znowu odległej przeszłości, a większość z nich bardzo różniła się od tych z lat 90. w Polsce.

Wydarzenia po upadku ZSRR na Kaukazie przyniosły Gruzji i jej sąsiadom gwałtowny wybuch przemocy, wojny, upadek ledwo dyszącej gospodarki i wielki kryzys społeczny, nieporównywalny nijak z tym, co z owego czasu pamięta moje pokolenie. Gdy nad Wisłą powoli, ale wytrwale wygrzebywaliśmy się z kurzu po przemianach roku 1989, w Gruzji ludzie jeszcze przez wiele lat żyli w nieustannym zagrożeniu. Ta różnica we wspomnieniach była uderzająca.

Pamiętam długie i intensywne spotkanie z Naną, mamą mojej serdecznej koleżanki Mariam. Nana – od wielu już lat pracowniczka organizacji pozarządowych zajmujących się prawami kobiet – powiedziała mi: „Nasz kraj przez koszmar lat 90. na swoich barkach przeniosły kobiety. Tylko ich wytrwałość pozwoliła nam przetrwać i dojść tu, gdzie teraz jesteśmy". Mariam dorzuciła: „Gruzja zobaczyła, jaka jest rzeczywista siła kobiet, gdy w Tbilisi pojawiali się uchodźcy z Suchumi. Mężczyźni, którzy musieli uciekać z Abchazji, zostawiając tam dorobek całego życia, załamywali się całkowicie. Wielu z nich wpadało w alkoholizm (...) Przez lata tkwili w marazmie, siedząc bez pracy i czekając na zmianę sytuacji. Kobiety natomiast postanowiły same sytuację zmienić. To one szły do pracy i utrzymywały rodziny. Macho siedzieli w domu i czekali na ich pieniądze". Siła jest kobietą.

Myślę ostatnio dużo o tamtych rozmowach o kobiecej współpracy i mocy. Sytuacja, w której się znaleźliśmy za sprawą pandemii, budzi we mnie różne skojarzenia i całą gamę emocji, których trudno się pozbyć. Dzisiejszy felieton chciałabym więc zadedykować szczególnym kobietom – moim wszystkim przyjaciółkom, z którymi wspólnie przeżywam ten czas zamknięcia i narastającego lęku. Wszystkie mamy rodziny, które są dla nas teraz bezcenne, ale myślę, że przyjaciółkom należy się dziś zupełnie osobne słowo.

Kochane Wszystkie, z którymi spędziłam trudne chwile, gdy zamknięto nagle szkoły, z którymi spotykam się na wideorozmowach i z którymi wieczorami wiszę na telefonie – dziękuję Wam, że umiemy dawać sobie wzajemnie tyle wsparcia: od porad kucharskich dla umęczonych gotowaniem grymaszącym dzieciom, przez analizy systemu zdalnej edukacji, która prawie wszystkie z nas szturcha swym koślawym kształtem, po wsparcie w chwilach załamań i kryzysów, które nieuchronnie nadchodzą w domu każdej z nas.

Łączymy się ze sobą w kilku grupach. Tej licealnej, która po latach lekkiego wycofania się z bliskich relacji znów stała się żywą tkanką emocji, niedalekich od tych, które łączyły nas na korytarzu szkoły. Wtedy czułyśmy podskórnie, że budujemy coś, co nas ze sobą zwiąże na całe życie. Przetrwać ponad 20 lat wspólnie w ośmioosobowej paczce bardzo wyrazistych kobiet – to dla mnie jeden z powodów do wielkiej życiowej dumy.

Łączymy się też w grupie warszawskich koleżanek po fachu, którą założyłyśmy swego czasu, by wspierać swoje zawodowe dokonania – doceniać się, motywować, zwierzać, szukać wyjścia z trudnych sytuacji. Dziewczyny! – bez Was byłoby mi znacznie trudniej.

Strona o książkach, którą prowadzę, działa teraz przede wszystkim dlatego, że jest tam ze mną na dobre i złe moja wspaniała partnerka, jedna z najmądrzejszych i najbardziej życzliwych osób, jakie znam. Dzięki temu mam poczucie, że wciąż warto się starać, wbrew oporowi materii.

Gorąca linia z moją przyjaciółką przeżywającą kwarantannę w pogrążonej w coraz większej żałobie Francji jest zaś dla mnie dziś jedną z najważniejszych rzeczy na świecie.

Kiedy brakuje już sił na krzesanie entuzjazmu, by rano wstać z łóżka i toczyć kolejne boje, kiedy pojawia się lęk o przyszłość, a nawet o teraźniejszość – wiem, że mam Was. Za to, moje kochane kobiety, bardzo Wam dziś dziękuję. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Spokojnie, jest „Tygodnik"

Czytaj specjalny cykl „Tygodnika"
na kwarantannę
na **powszech.net/kwarantanna**

weź, czytaj!

REPORTAŻ

REPRODUKCJA ZE ZBIORÓW ARCHIWUM FOTOGRFICZNEGO MUZEUM

„Opłakiwanie", 1 poł. XVII w., warsztat Antoona van Dycka, w zbiorach Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu.

CHRYSTUS W PRZECHOWALNI BAGAŻU

Jest takie zdjęcie: milicjanci i ksiądz Tomaszkiewicz trzymają płótno van Dycka. Ksiądz mówi: „Jak panowie z milicji pokazali mi to wszystko – po prostu ich wyściskałem".

STANISŁAW ZASADA

KOLEGA ZAGADUJE PRZY PIWIE: – WIESZ, że w Poznaniu ukradli kiedyś obraz, który się dziwnie odnalazł?

– „Plaża w Pourville" – odpowiadam pewny siebie. W 2000 r. technik budowlany z Olkusza ukradł z Muzeum Narodowego płótno Claude'a Moneta. Dziesięć lat trzymał je za szafą. Wpadł, bo nie płacił alimentów.

Kolega gasi mój entuzjazm. I opowiada historię sprzed lat czterdziestu: o kradzieży obrazu Antoona van Dycka „Opłakiwanie" z Muzeum Archidiecezjalnego. Mówi, że ten sam van Dyck namalował portret pierwszej wielkiej malarki europejskiej. Nazywała się Sofonisba Anguissola. Proszę, żeby powtórzył nazwisko.

– Jej obraz też jest w Poznaniu – dorzuca. – Może warto o tym napisać?

CO WIE GOOGLE Antoon van Dyck, flamandzki malarz epoki baroku, malował portrety i sceny religijne. Uczeń Rubensa. Żył krótko. Za to w świetnym momencie – XVII stulecie to złoty wiek flamandzkiej sztuki.

Sofonisba Anguissola dożyła prawie stu lat. Też żyła w dobrym czasie – renesans ułatwił jej artystyczną karierę. Anguissola i van Dyck rzeczywiście się spotkali.

„Van Dyck, obraz, kradzież, Poznań" – wpisuję w Google. Owszem, wyskakują informacje, że w Polsce ukradziono jego płótno. Ale że chodzi o „Ukrzyżowanie". I nie w Poznaniu, ale w Gdańsku. No i dzieło się nie odnalazło. Może kolega się pomylił?

COŚ Z DANDYSA „To jest lepsze od tego, co sam wczoraj namalowałem", miał rzec Peter Paul Rubens.

Pod jego nieobecność któryś z uczniów rozmazał policzek Madonny. Koledzy namówili van Dycka, by to naprawił. Mistrz ocenił, że poprawki są lepsze od oryginału. I tu wersje są dwie. Pierwsza: że je zostawił. Druga: że zamalował i zrobił po swojemu.

Mistrz wrócił właśnie z Italii: od Caravaggia wziął światło, od Tycjana fascynację kolorem. W Antwerpii zakłada słynny warsztat malarski – zwiedzi go królewicz Zygmunt Waza. Żeby się wyrobić z zamówieniami, część pracy powierza uczniom. Najzdolniejszym jest van Dyck.

Też ruszy do Włoch. W Rzymie portretuje kardynała Guida Bentivoglio – to on potępił Galileusza. W Wenecji studiuje warsztat Tycjana. W Genui maluje patrycjuszy. Na Sycylii słucha rad starej malarki.

Po powrocie maluje religijne obrazy – nastała kontrreformacja i popyt na nie jest duży. Jego sława dociera na drugi brzeg Morza Północnego. Król Karol I Stuart daje mu posadę nadwornego malarza. Van Dyck portretuje króla, królową, królewskie dzieci, damy i kawalerów angielskiego dworu. Na swój sposób: z powściągliwą elegancją, w niedbałej pozie, nienagannym stroju. Dwieście lat później Oscar Wilde stwierdzi, że to van Dyck stworzył wzór przyszłego dandysa.

Van Dyck też ma coś z dandysa. Nosi się z pańska, szasta pieniędzmi, ma liczne miłostki. I nieślubną córkę – Marię Te-

resę. Skończył czterdziestkę, gdy ożenił się z damą ze starego szkockiego rodu. W małżeństwie przeżyje kilkanaście miesięcy. Gdy 1 grudnia 1641 r. rodzi mu się młodsza córka, jest na łożu śmierci. Umiera osiem dni później – w dniu chrzcin Justyny Anny.

Kazał się pochować w londyńskiej katedrze św. Pawła.

GAZETA W STRZĘPKACH „Na pewno chodzi o »Opłakiwanie«" – kolega odpisuje na mesendżerze. Upiera się, że nie pomylił „Opłakiwania" z „Ukrzyżowaniem" ani Poznania z Gdańskiem.

Ma dowód: link z artykułem z „Polityki". Pod tekstem lista najważniejszych kradzieży obrazów w Polsce. A tam: „1981 – obraz Antoona van Dycka z Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu (odzyskany)".

Dokłada też zdjęcia strzępków starego numeru „Expressu Poznańskiego". Na jednym obraz ze zdjętym z krzyża ciałem Jezusa. Na drugim sensacyjny tytuł: „Milicja odzyskała dzieła sztuki".

Na koncert przybyli: I sekretarz KC PZPR, premier, generał Wojciech Jaruzelski, prezes NK ZSL, wicepremier Roman Malinowski oraz marszałek Sejmu Stanisław Gucwa.

Okolicznościowe przemówienie wygłosił prezes NK ZSL, wicepremier Roman Malinowski. Podkreślił, że powstanie przed 86 laty pierwszego Stronnictwa Ludowego rozpoczęło trudną i długą, ale ostatecznie zwycięską walkę o prawa i sprawiedliwość dla ciemiężonego przez wieki ludu. W tej walce — stwierdził mówca — rodził się sojusz robotniczo-chłopski, następowała zbliżenie

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Dzięki pomocy wrocławskich kolejarzy

Bezcenne dzieła sztuki wróciły do poznańskiego muzeum

Sprawa ta, jak bumerang wraca co pewien czas na nasze łamy. Z satysfakcją możemy powiedzieć, że za każdym razem mamy do przekazania coraz pomyślniejsze wiadomości.

Przypomnijmy więc jeszcze raz — w nocy z 21 na 22 października 1981 roku nieznani sprawcy włamali się do Muzeum Archidiecezjalnego w Poznaniu. Łupem włamywacze padły dziesiątki

(DOKOŃCZENIE NA STR. 3)

Obraz pędzla Antoniego van Dycke'a „Opłakiwanie Chrystusa" z XVII wieku wyceniony jest na ponad 100 mln zł.

Fot. Z. Ceglarek

zezińskiego i przeinaczeń

dał wiodącą w zachodniej pro-

Przyjrzyjmy się innej rocznicy.

REPRODUKCJA STANISŁAW ZASADA

Gazeta Poznańska, 25/26 maja 1985 r.

DAMA ZA SZTALUGĄ Palermo na Sycylii, kościół San Giorgio dei Genovesi. Marmurowa tablica wisi w prawej nawie. Napis głosi: „Najsławniejszej wśród znamienitych kobiet dzięki urodzie i niezwykłym darom natury, i tak wybitnej w malowaniu wizerunków ludzi, że nie miała za życia sobie równych". Podpisał „dotknięty ogromnym bólem" Orazio Lomellini. To drugi mąż Sofonisby.

„Pierwsza wielka malarka europejska" rodzi się około 1532 r. w Lombardii. Rodzice to arystokraci, niezbyt zamożni. Mają sześć córek. I kłopot – trzeba uciułać sześć posagów. Dobrze, że wszystkie uzdolnione artystycznie, a najbardziej najstarsza – Sofonisba. Ceni ją Michał Anioł.

Ojciec załatwia pierworodnej intratne zamówienia u bogatych rodów. Posadę życia dostanie na hiszpańskim dworze. Portretuje panującą rodzinę, infantki. Uczy malarstwa Elżbietę de Valois, żonę Filipa II. Z królową jest tak zżyta, że chce zrezygnować z zamążpójścia. Sytuacja zmienia się, gdy Elżbieta umiera przy kolejnym porodzie.

Sofonisba kocha się w kawalerze Zakonu Maltańskiego. Z wzajemnością. Kawaler złożył jednak ślub czystości, papież nie chce go z niego zwolnić. Wesela nie będzie.

Ma czterdziestkę, gdy wychodzi za Sycylijczyka. Małżeństwo nie potrwa długo – mąż zginie z rąk piratów. Samotna wdowa szybko znajdzie ukojenie. W czasie rejsu do Genui zadurzy się w niej o kilka lat młodszy kapitan statku Orazio Lomellino.

Sofonisba umiera w 1625 r. w Palermo. W setną rocznicę jej urodzin Orazio funduje tablicę.

ZARAZA I ZMARSZCZKI Piątek, 12 lipca 1624 r. On ma 25 lat. Ona skończyła 90. W Palermo szaleje dżuma. Rozprawiają o malarstwie. On wyjął szkicownik, rysuje jej portret.

Wyszło tak: stara dama ma zapadnięte policzki i bezzębne usta. Łokcie trzyma szeroko na oparciach fotela. Jest dumna – podniosła czoło i oczy. Dookoła rysunku notatki autora.

Młodego van Dycka sprowadził na wyspę wicekról Sycylii. Tamtego piątku, gdy zachodzi do domu Sofonisby Anguissoli, zaraza zabiła już półtora tysiąca osób. Wkrótce zabierze wicekróla i kolejne trzydzieści tysięcy obywateli Palermo.

We włoskim szkicowniku van Dycka o epidemii ani słowa. Malarka daje gościowi rady. Choćby taką: „Gdym zaś portret jej sposobił, poradzenie ważkie dała światła za wysoko nie brać, żeby cień zmarsek za wielki nie przyszedł". Posłucha: staruszka nie będzie mieć ani jednej zmarszczki.

Rok później Anguissola umiera. To był jej ostatni portret.

Sofonisba Anguissola i Antoon van Dyck spotkają się raz jeszcze: do Poznania trafią ich obrazy. „Gra w szachy" Anguissoli i „Opłakiwanie" van Dycka. Jej płótno wisi w Muzeum Narodowym, jego – w diecezjalnym. Oba muzea dzielą dwa kilometry.

TROP ŁATWY Wiem, że obraz van Dycka ukradziono nocą z 20 na 21 października 1981 r., odnaleziono w maju 1985 r. Niewiele. Ale jest się o co zaczepić. W Bibliotece Raczyńskich zamówiłem rocznik 1985 „Expressu Poznańskiego". Wertuję pożółkłe strony. „Milicja odzyskała skradzione dzieła sztuki wartości 150 milionów!" – krzyczy tytuł z czerwonej farby. Nadtytuł: „Obraz pędzla Antoniego van Dycka powrócił do Muzeum Archidiecezjalnego". Strzępki artykułu, które kolega przysłał, pasują do całości.

NA ZUCHWAŁO Znowu Biblioteka Raczyńskich. Biorę „Express", „Gazetę Poznańską", „Głos Wielkopolski". Ostatni kwartał 1981 r. Zajrzę też do „Przewodnika Katolickiego" i „Trybuny Ludu". Chcę wiedzieć, co o kradzieży w kościelnym muzeum pisały diecezjalny tygodnik i organ PZPR.

„Zuchwałe włamanie do Muzeum Archidiecezjalnego" – donosi na pierwszej stronie „Głos" z 23 października. Informacja trochę schowana, u dołu. Newsem dnia jest artykuł: „Rozlewa się po kraju fala niepokojów" – o tym, że Solidarność wywołuje strajki.

„Express" jakby umówił się z „Głosem", bo kilka godzin później (wychodził po południu) dał podobny tytuł: „Zuchwała kradzież w Muzeum Archidiecezjalnym". Choć artykuł jest u dołu, przyciąga pogrubionymi literami. Konkuruje z czołówką: „Wszyscy członkowie partii powinni się opowiedzieć za uchwałą IV Plenum KC PZPR". Wspomniane plenum wybrało generała Jaruzelskiego na szefa partii.

„Niewiarygodna kradzież w poznańskim Muzeum Archidiecezjalnym" – alarmuje „Gazeta Poznańska". Choć to organ wojewódzkiego komitetu partii, news o włamaniu do kościelnego muzeum jest ↦

↦ bardziej widoczny niż w bezpartyjnym „Głosie".

W „Trybunie" o włamaniu jednoszpaltowa informacja na drugiej stronie.

W „Przewodniku Katolickim" o kradzieży cisza.

BEZ MAGDALENY „Opłakiwania" są trzy. Pierwsze van Dyck namalował dla kościoła beginek w Antwerpii. Był z nimi związany – dał zakonnicom na wychowanie nieślubną córkę, chciał być tam pochowany.

Zdjęte z krzyża ciało Jezusa opiera się bezwładnie o kolana zrozpaczonej matki. Maria Magdalena rozpuściła jasne włosy, uklękła i całuje jego lewą dłoń. Widać młodziutkiego apostoła Jana.

Podobny obraz mają w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu. Z tą różnicą, że Maria Magdalena nie klęczy, ale schylona całuje przebitą dłoń Jezusa. Apostoł Jan wydaje się nieco starszy.

W Starej Pinakotece w Monachium scena wygląda jeszcze inaczej. Złożone na całunie ciało Jezusa też oparte jest o kolano zbolałej matki. Ale nie ma Magdaleny ani Jana. Zastąpili ich aniołowie.

Z czasem powstaną repliki wszystkich wersji. Z Muzeum Archidiecezjalnego ukradziono wersję bez Magdaleny.

SZKICOWAŁ WOŁY, UKRADŁ PLAŻĘ Jest 19 września 2000 r., wtorek. „Monet się odkleił" – alarmuje ochronę pracownica Muzeum Narodowego w Poznaniu.

Nie odkleił się. Z ram zwisa nieudolna kopia.

Dwa dni temu był tutaj młody blondyn w jasnym golfie, z arkuszami brystolu pod pachą. Siedział kilka godzin i udawał, że szkicuje obraz z wołami, które idą lasem. Gdy pilnująca sal pracownica oddaliła się, wyciął scyzorykiem wiszące na przeciwległej ścianie płótno z „Plażą w Pourville", schował między arkusze brystolu, a w ramy włożył kopię. Tak ukradziono jedyny w Polsce obraz Claude'a Moneta.

NABAŁAGANILI Van Dycka złodzieje wynieśli w mniej finezyjny sposób.

„Kto taki bałagan zostawił?" – pani Regina pyta pracowników diecezjalnego muzeum. Jest czwartek, 22 października 1981 r. Pani Regina czyści eksponaty, sprząta. Tamtego ranka idzie podlać kwiaty. W sali na parterze widzi pootwierane gabloty, niektóre eksponaty leżą na podłodze. Chwilę potem całe muzeum już wie: bałagan zostawili złodzieje.

SZCZUPLI RACZEJ O Aleksandrze Pudelskiej, kustoszce muzeum diecezjalnego, mówią, że ma najdłuższy staż na poznańskim Ostrowie Tumskim. To jedyna osoba z muzeum, która pamięta kradzież. – Lało – tak wspomina noc z 21 na 22 października 1981 r.

Złodziejom sprzyja nie tylko deszcz. Okno, przez które weszli, jest od strony uliczki Panny Marii – nawet w dzień mało ruchliwej. Do tego budynek dawnej Akademii Lubrańskiego (siedziba muzeum) oddalony jest od niej o dobre trzydzieści metrów i odgrodzony murem.

Sprawcy piłują grubą kratę, wybijają szybę, wiercą dziurę w okiennicy, żeby podnieść zamykającą ją żelazną sztabę. Ta nie chce puścić. Okiennicę wpychają więc do wewnątrz, przeciskają się do środka. „Musieli być dość szczupli", napisze potem ks. Stefan Tomaszkiewicz, dyrektor.

Złodzieje okien nie otwierają, więc nie dzwoni alarm. Zdejmują ze ściany „Opłakiwanie", cierpliwie wyciągają małe gwoździki, którymi płótno jest przymocowane do ramy, zwijają w rulon, wynoszą.

Znawcy szacują, że dzieło warte jest 40 milionów ówczesnych złotych. Za milion można wtedy kupić pięć dużych fiatów, albo dziesięć maluchów.

Zginęły jeszcze: bogato złocone rzeźby apostołów Piotra i Pawła (patronowie Poznania, ich wizerunki są w herbie miasta); sześć srebrnych gotyckich kielichów mszalnych; pięć ikon z XVII wieku; dwa ryngrafy rycerskie; portret mężczyzny z XVIII w. i starszy o wiek portret staruszki. I ponad sto innych przedmiotów.

NIE O SZACHY IDZIE Wróciła! Obraz Sofonisby, pokazywany w madryckim Prado na wystawie dwóch wielkich włoskich malarek, Sofonisby Anguissoli i Lavinii Fontany, znowu można oglądać w Poznaniu.

Trzy siostry malarki grają w szachy. Łucja ograła Minerwę, a Europa stoi przy stoliku z szachownicą i podśmiewa się z przegranej siostry. Na partię zerka służąca. „Są jak żywe – komplementował dzieło sam Giorgio Vasari. – Wydają się oddychać, żyć".

Sęk w tym, że Łucja nie wygrała. Figury rozstawiono tak, że partia nie mogła być w ogóle rozegrana. Czy Sofonisba nie znała się na szachach? Nie o grę w szachy tutaj jednak idzie. Plansza i figurki są metaforą życia.

Kilka sal dalej wisi odnaleziony Monet. Arcydzieło, które 20 lat temu złodziej wyciął scyzorykiem, jest teraz za szkłem.

PODAROWAŁ ORGANISTA Płótno van Dycka trafiło do kościelnego muzeum w 1971 r. – podarował je niejaki Mężydło, organista katedralny. Skąd organista miał arcydzieło? Tego w muzeum nikt nie wie.

Dziś obraz lśni nowością, jakby artysta namalował go wczoraj. Ani śladu sponiewierania przez złodziei.

KTOŚ SPŁOSZYŁ Rabusiom coś poszło nie tak. Po pierwsze – zostawili łom, piłę do cięcia metali, dłuto, śrubokręt. I biały papier, w który zawijali łupy. Po drugie – nie zdążyli sforsować zamka do gabloty ze srebrami.

Milicjanci są pewni: ktoś ich spłoszył. Ten, który w latach 80. zajmował się kradzieżą dzieł sztuki, nie żyje. Prokurator, który prowadził sprawę, też. Chciałem zajrzeć do protokołów śledztwa sprzed czterdziestu lat.

– Nie przechowujemy tak długo akt – słyszę od rzecznika prokuratury. Zaczynam wątpić, czy dowiem się cokolwiek więcej.

WINA SOLIDARNOŚCI Milicjanci pobierają odciski palców pracownikom muzeum. Przesłuchują. Najbardziej maglują ks. Tomaszkiewicza. Duchowny ma jeszcze jedno zmartwienie – boi się, że arcybiskup wyrzuci go z dyrektorowania.

Tymczasem za kilka tygodni Jaruzelski ogłosi stan wojenny. Państwowe media (czyli niemal wszystkie) o wszystko obwiniają opozycję. Dziennikarz Janusz Atlas sugeruje, że kradzież van Dycka to też wina... Solidarności. W poczytnym tygodniku „Kulisy" pisze: „Jest faktem, że niebieski mundur milicjanta nie budzi obaw u potencjalnego przestępcy jak jeszcze dwa lata temu".

ZAKOCHAŁ SIĘ Kradzież stulecia – trąbią media.

Nie o van Dycka chodzi. O „Plażę w Pourville". Moneta wyceniono na siedem milionów dolarów. Wszyscy są pewni, że obraz ukradziono na zamówienie. Straż celna na przejściach zwraca uwagę na rulony i płaskie paczki. Nic.

A płótno leży w ciasnym mieszkaniu na olkuskim osiedlu. Robert schował je u rodziców za boczną ścianą szafy wnękowej. Gdy rodziców nie ma, zachodzi i gapi się na plażę. Tak przez dekadę.

W impresjonistach zakochał się w Paryżu – pracował tam na budowach. Potem usłyszał, że w Poznaniu mają też Moneta. Przyjechał, zrobił zdjęcia, u ukraińskiego kopisty zamówił podróbkę. Do muzeum wysłał faksem odręczny list. Prosił o „zezwolenie na wykonanie szkicu wybranego artysty", bo szuka „wrażeń artystycznych". Zgodę dostał.

Pierwszy raz wzięli mu odciski palców, bo zalegał z alimentami. Drugi raz, gdy groził ochroniarzowi w sklepie. Podobno wpadkę przyjął z ulgą.

DETEKTYW POMAGA Maciej Szuba to były milicjant, potem policjant, a obecnie detektyw. Gdy ukradziono van Dycka, był w szkole milicyjnej. Ale pamięta sprawę. – Koledzy traktowali ją prestiżowo, bo chodziło o dzieło sztuki. Sukces mógł też poprawić nasz wizerunek w oczach Kościoła. Przecież wiadomo, jak księża patrzyli na milicję – mówi. I daje mi telefon do byłego milicjanta, który przy sprawie pracował. Dzwonię do niego. Zastanowi się, czy ze mną porozmawia.

ODSIECZ Z NRD Styczeń 1985 r. Pociąg Moskwa–Paryż. Zatrzymywał się w Poznaniu i Berlinie. Enerdowscy celnicy i policjanci znajdują w wagonie ukryty skład dzieł sztuki. Pochodzą z kradzieży w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu sprzed trzech lat. „Opłakiwania" nie ma.

> Były milicjant: „Koledzy traktowali sprawę prestiżowo. Sukces mógł też poprawić nasz wizerunek w oczach Kościoła. **Wiadomo, jak księża patrzyli na milicję".**

Maj 1985 r. „Dzięki pomocy wrocławskich kolejarzy bezcenne dzieła sztuki wróciły do poznańskiego muzeum" – dowiadują się czytelnicy „Gazety Poznańskiej". Jest zdjęcie: milicjanci i dyrektor Tomaszkiewicz trzymają płótno van Dycka. Ksiądz mówi: „Jak panowie z milicji pokazali mi to wszystko – po prostu ich... wyściskałem".

Wciąż nie wiem, gdzie i jak odnaleziono obraz. I kto ukradł.

ISAURA WAŻNIEJSZA W tamtym czasie poznańskie dzienniki piszą o: zniesieniu kartek na masło, o tym, że Ali Ağca ogłosił się Chrystusem, że zimno pokrzyżowało wysyp truskawek, o przejściu Bońka z Juventusu do Romy, wizycie w Polsce bohaterów serialu „Niewolnica Isaura", żniwach, wyborach do Sejmu, spotkaniu Gorbaczowa z Reaganem, i że kometa Halleya zbliża się do Ziemi.

Do kradzieży nikt nie wraca.

WYPLULI NA DWORCU Były milicjant nazywa się Jerzy Strzykała. Posadził kilku morderców. Zajmował się też kradzieżą van Dycka. Opowiada, jak znaleziono obraz.

Poznańska milicja dostała telefon z Wrocławia, że mają arcydzieło. Leżało sobie w przechowalni bagażu na Dworcu Głównym: ktoś oddał bagaż, a gdy nie odbierał, pracownik otworzył skrytkę i zobaczył płótno.

Strzykała: – Prawdopodobnie nie znalazł się nabywca na Zachodzie. Przecież van Dycka nie można było zanieść do desy ani porzucić w bramie.

Sprawców nie ustalono.

Zastanawia go jeszcze jedno. Zaraz po włamaniu jego koledzy znaleźli na miejscu świeże odciski palców. Należały do jednego z poznańskich księży (nie był związany z muzeum). Śledczy dostali jednak od przełożonych zakaz zajmowania się tym wątkiem.

– Może był uwikłany we współpracę? A może chcieli go zaszantażować? – zastanawia się Strzykała. Nigdy się nie dowiedział, czy duchowny był zamieszany w kradzież. Nazwiska mi nie poda.

Że płótno van Dycka wisi w Muzeum Archidiecezjalnym, mało kto wie. Kustosz Pudelska: – Większość myśli, że mamy tylko zabytkowe kielichy i stare ornaty.

O najcenniejszym zabytku słyszą na miejscu. Od przewodnika.

© STANISŁAW ZASADA

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Autorski podkast „Tygodnika Powszechnego"

„Rozmowy o byciu razem"

WOJCIECH MANN o małych aktach odwagi.
ANNA DYMNA o bliskości i potrzebie wspólnego milczenia.
JAN PESZEK o cierpliwości, zaletach samotności i sile prostoty.

Do swojego cyklu zaprasza Katarzyna Kubisiowska.

weź, słuchaj!

powszech.net/podkast

WSPÓŁPRACA
Audiodelic

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // MARCIN MANN DLA TP / GRAŻYNA MAKARA DLA TP x 2

WIARA

TACA W CHOROBIE

Znaczne ograniczenie liczby uczestników mszy gwałtownie zmniejszyło wpływy z ofiar. Czy epidemia zmieni system finansowania Kościoła w Polsce?

MARCIN CHODUŃ

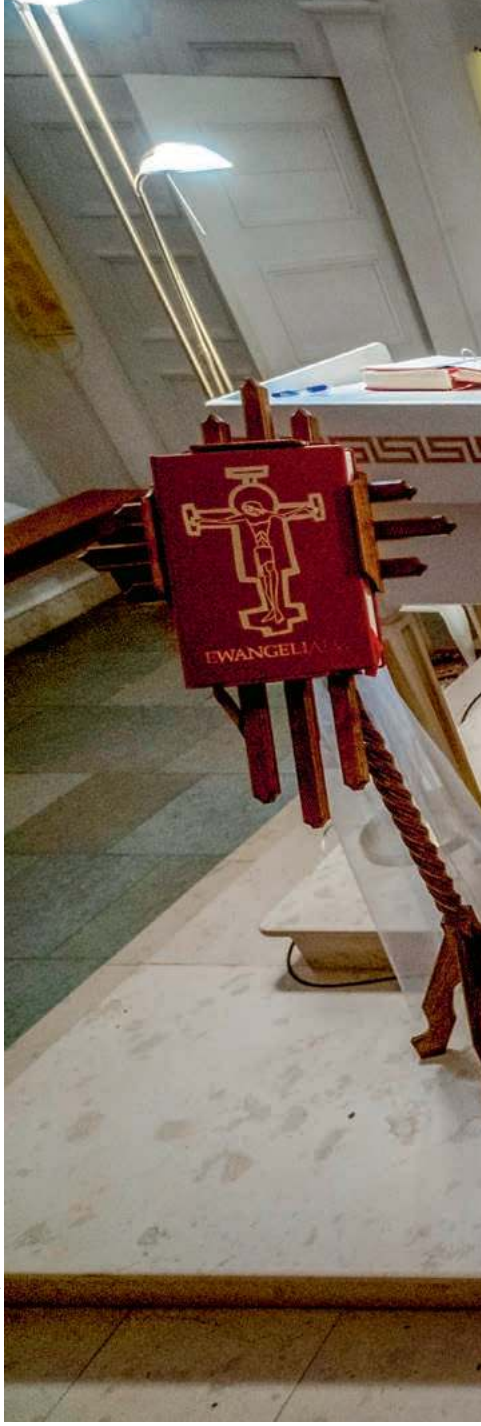

ROBERT WOŹNIAK / FORUM

Pandemia to przede wszystkim trudny czas dla zwykłych ludzi – czas lęku przed chorobą i śmiercią oraz niepewności, co przyniesie przyszłość. Ale to także sprawdzian dla instytucji funkcjonujących w przestrzeni publicznej, obnażający ich słabości i wady. Kościół katolicki w Polsce nie jest z tej weryfikacji wyłączony. Dotyczy to także jego materialnego funkcjonowania.

Większość parafii przez kilka miesięcy będzie utrzymywać się z pieniędzy zgromadzonych podczas kolędy. Kryzys jednak już dotyka te biedniejsze, żyjące z miesiąca na miesiąc. Zapowiadają go też nerwowe działania niektórych biskupów.

Piąte przykazanie kościelne

W większości diecezji nie wprowadzono dotąd żadnych nadzwyczajnych regulacji w tym zakresie, a hierarchowie publikują ogłoszenia wzywające wiernych do wzajemnej troski w czasie epidemii, w tym zwłaszcza o osoby w trudnej sytuacji. Trzech hierarchów wydało jednak już specjalne zarządzenia odnoszące się wprost do diecezjalnych finansów.

Biskup świdnicki Ignacy Dec, obecnie już na emeryturze (papież przyjął jego dymisję związaną z osiągnięciem wieku 75 lat), zdążył jeszcze odroczyć parafiom płatności na rzecz utrzymania kurii, seminarium duchownego i domu księży emerytów. Jednocześnie w zarządzeniu z 19 marca zobowiązał księży wikariuszy uczących religii do wniesienia do parafialnej kasy opłaty w wysokości 25 proc. wynagrodzenia katechety bądź 1000 zł. Metropolita przemyski abp Adam Szal rozesłał z kolei do księży drogą mailową zarządzenie zlecające obowiązkową wpłatę połowy dochodów z marca na parafie diecezji, a z kwietnia na kurię metropolitalną. Także biskup legnicki Zbigniew Kiernikowski zapowiedział w zarządzeniu z 27 marca wydanie „dekretu dotyczącego finansowania parafii i zryczałtowanych opłat, które wpłacają one na rzecz Legnickiej Kurii Biskupiej".

W biedniejszych parafiach proboszczowie już poprosili parafian o wsparcie. Ks. Romuald Zapadka, proboszcz parafii pw. bł. Franciszki Siedliskiej w Olsztynie, w liście do parafian przypomniał o piątym przykazaniu kościelnym: „Troszczyć się o potrzeby wspólnoty Kościoła".

– Jako proboszczowi zależało mi nie tyle na mnie i innych księżach – tłumaczy – ale przede wszystkim na zatrudnionych w parafii osobach świeckich: zakrystiance, organiście, gospodyni. Bo te osoby utrzymują się jedynie z pensji płaconej przez Kościół. Mimo obniżonych już w porozumieniu z nimi pensji oni chcą nadal służyć Kościołowi i pracować.

O ofiary na koszty prowadzenia parafii poprosił także ostatnio proboszcz parafii pw. św. Bartłomieja w Sępólnie, ks. Henryk Lesner. I koszty te podczas niedzielnej mszy świętej 29 marca dokładnie wymienił: pensje pracowników, ZUS, podatek, energia elektryczna, ogrzewanie.

Z prośbą o przekazywanie datków na konto parafialne zwrócił się również do wiernych ks. Jarosław Ciszek, proboszcz parafii pw. Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski w Jaworznie-Sobieskim.

Co kraj, to obyczaj

W systemie finansowania działalności Kościoła w Polsce głównym źródłem dochodów parafii są datki od wiernych. Ich wielkość zależy wprost od *dominicantes*, czyli liczby osób uczestniczących w niedzielnej Eucharystii. Z datków na

Transmisja online modlitwy różańcowej, Poznań, 17 marca 2020 r.

niedzielną tacę pokrywane są koszty utrzymania parafii oraz opłacane są pensje pracowników parafii, poza duchownymi. Zwyczajowo kilka razy w roku niedzielne tace są zbierane na rzecz kurii, innych urzędów kościelnych i na cele charytatywne.

Obecny system finansowania Kościoła reguluje „Instrukcja KEP w sprawie zarządzania dobrami doczesnymi Kościoła" z 2015 r. – swoisty podręcznik dla biskupów, jak zarządzać kościelnym majątkiem i finansami. Jest w niej mowa m.in. o tym, że sakramenty i sakramentalia powinny być sprawowane bez uzależnienia od ofiary; że we wszystkich instytucjach kościelnych powinna panować przejrzystość finansowa, oparta na publikowaniu szczegółowych sprawozdań; że zbieranie datków, ich liczenie i prowadzenie ksiąg finansowych nie powinno być funkcją duszpasterzy; że podstawę systemu wynagradzania (*renumeratio*) polskich duchownych stanowią dobrowolne datki, zwłaszcza ofiary mszalne i *iura stolae* (chrzty, śluby i pogrzeby) oraz częściowo wpływy z kolędy bądź wynagrodzenia za szkolną katechezę.

Tyle teoria. Praktyka pokazuje bowiem, że zalecenia zawarte w instrukcji KEP pozostają często pobożnymi życzeniami.

– W kościelnych finansach w Polsce panuje wyjątkowy chaos – mówi ks. Arkadiusz Lechowski, wikariusz z parafii pw. św. Anny w Łodzi. – Owszem, niby istnieją ogólne standardy, ale tak naprawdę co kraj, to obyczaj. Właściwie w każdej diecezji obowiązują inne reguły, spisane w ich statutach. Na przykład zasada, że księża dostają pieniądze z sakramentów, jest realizowana na bardzo ↦

różne sposoby. Powszechne są w tym obszarze dość skomplikowane formy rozliczeń. W niektórych diecezjach ofiary za sakramenty są brane do tak zwanego *cumulum*, które następnie podlega podziałowi między kapłanów pracujących w parafii. Są diecezje, gdzie jedna część z tych pieniędzy jest przeznaczona dla wikariusza, dwie części dla proboszcza. Pieniądze z katechezy czasami wchodzą do *cumulum*, czasami nie.

Ks. Lechowski przyznaje: – W czasie mojej prawie dwudziestoletniej posługi kapłańskiej nigdy nie poznałem finansów żadnej z parafii, w której posługiwałem. To zawsze była tajemnica. Proboszcz brał tacę i czuł się za nią jednoosobowo odpowiedzialny. A przecież zasada jest taka, że taca nie należy do niego, tylko do parafian. Kodeks prawa kanonicznego mówi bardzo wyraźnie, że w każdej parafii obok rady parafialnej powinna być rada ekonomiczna, zajmująca się finansami. Bo trzeba pamiętać o pierwszym grzechu Judasza. A było nim to, że zaczął podbierać z trzosa oddanego mu pod opiekę przez Jezusa (J 12, 6). Od tego zaczęła się jego zdrada.

Co więcej, uzależnienie dochodów księży od pieniędzy z *iura stolae* rodzi pokusę, uważa duchowny, żeby ustalać stawki za sakramenty. – Gdy papież Franciszek zwracał się do włoskich księży, żeby nie brali ofiar za sakramenty, to mało kto tę wypowiedź u nas rozumiał. Bo dla tamtejszych księży, którzy mają stałe pensje, pieniądze te są czymś w rodzaju napiwku. A księża w naszym kraju właśnie z takich „napiwków" się utrzymują.

Worek ziemniaków

Jak radzą sobie teraz?

Sporo zależy od wielkości parafii czy od średniej wieku parafian. Nie bez znaczenia jest też fakt, czy chodzi o parafię miejską czy wiejską.

– Dla mnie obecna sytuacja niewiele zmienia – mówi ks. Maciej Pliszka, proboszcz parafii pw. św. Stanisława Kostki w Korytowie w powiecie choszczeńskim, w diecezji szczecińsko-kamieńskiej (według raportu KAI „Finanse Kościoła katolickiego w Polsce" z 2012 r. była to najbiedniejsza parafia w Polsce). – Korytowo to typowa wieś, której mieszkańcy żyli niegdyś z pracy w miejscowym PGR-ze. Po jego zamknięciu zapanował tu głód.

Gdy ks. Pliszka został proboszczem Korytowa, od razu założył spółdzielnię produkcyjną (pierogi, krokiety). Obecnie spółdzielnia zatrudnia 30 kobiet; proboszcz codziennie o 5 rano rozwozi wytworzone produkty do miejscowych sklepów. Część uzyskiwanych z tej działalności przychodów jest przeznaczana na utrzymanie parafii.

> Nieformalność, nieprzejrzystość, **brak zewnętrznej kontroli kościelnych finansów** w czasach PRL pomagały chronić wspólnotę wierzących. Dziś są anachronizmem.

– Bo przy całej ofiarności mieszkańców pieniądze z niedzielnej tacy, jakieś 400 złotych, nigdy nie wystarczały na pełne pokrycie kosztów – tłumaczy duchowny. – Nigdy w związku z tym nie widziałem potrzeby publikowania sprawozdań finansowych. Tym bardziej teraz, gdy koszyk stoi przed ołtarzem i ludzie sami wrzucają datki; parę groszy dosłownie, w sumie może jakieś trzydzieści złotych.

Parafia pw. św. Faustyny Apostołki Bożego Miłosierdzia w Rogozinie pod Płockiem. Liczba parafian: ok. 2000 osób. – Na razie wykorzystuję rezerwy, głównie z kolędy – mówi proboszcz ks. Janusz Wiśniewski.

Wystarczy na opłacenie bieżących rachunków. Msze na Facebooku? Ksiądz proboszcz rozmawiał z wiernymi i radą parafialną i zapadła decyzja, że na razie tego nie będą robić. Zbiórki do koszyka? Pieniądze są dalej zbierane, ale od pewnego czasu robią to sami parafianie. Przed epidemią niedzielna taca wynosiła około 1000 zł, teraz jest to jakieś 200–300 zł. Sprawozdania finansowe? Tak, w parafialnej gazetce jest publikowana informacja o finansach – może nie do końca regularnie, ale jednak.

Parafia pw. Matki Boskiej Bolesnej w Mierzynie koło Szczecina. Tutejszy proboszcz w obliczu obostrzeń związanych z epidemią wpadł na niecodzienny pomysł: w Niedzielę Palmową postanowił odprawić 46 mszy. Co godzinę jedną, w różnych miejscach: w kościele, w dwóch namiotach przy kościele, a także w biurze parafialnym.

Parafia pw. św. Augustyna i św. Anny w Babiaku w archidiecezji warmińskiej. Choć właściwie to dwie parafie, bo tutejszy proboszcz, ks. Sławomir Wiśniewski, ma pod swoją opieką również kościół św. Apostołów Szymona i Judy Tadeusza w sąsiednim Runowie. – W obu parafiach są teraz 933 osoby – mówi ks. Wiśniewski. – W każdą niedzielę w związku z epidemią odprawia się cztery msze, w tym dwie dodatkowe po południu. Na porannych nabożeństwach zbiera się składki. Przed epidemią wpływy z niedzielnej tacy wynosiły jakieś 500 zł, teraz około 70 zł.

– Na razie nie zamierzam tego w żaden sposób wymuszać. Bo jeśli ktoś ma, to się podzieli. A jak nie ma, to ofiaruje może przynajmniej swoją modlitwę.

Msze w internecie? Też na razie nie – on sam niezbyt dobrze się na tym zna, a poza tym to wiejska parafia, większość wiernych to osoby starsze, z siecią internetową nieobeznane. Ks. Wiśniewski jednak się nie martwi. – Jesteśmy tu wszyscy jedną wspólnotą, jedną rodziną. Więc jeśli zabraknie na jedzenie, to trzeba będzie zapytać parafian, czy ktoś ma może worek ziemniaków.

„Jesteście wielcy!"

A parafie w większych miastach? Okazuje się, że tu też regułą jest pokrywanie bieżących rachunków z oszczędności. Powszechną praktyką są też msze transmitowane w internecie.

Parafia pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Suchym Lesie k. Poznania (jedna z najbogatszych w Polsce). Według proboszcza ks. Andrzeja Niwczyka wobec dopuszczalnej liczby pięciu osób w kościele nie ma żadnej różnicy w aktualnych przychodach między parafiami bogatymi i biednymi. Czy starcza mu na parafialne rachunki? Cóż, sięga do oszczędności, więc na razie nie zwraca się do wiernych o dodatkowe wsparcie. Msze w internecie? Tak, wszystkie nabożeństwa odbywają się według dawnego porządku i są transmitowane na Facebooku.

Parafia pw. Matki Bożej Fatimskiej w Łodzi. – Przed epidemią zbieraliśmy w niedzielę około 1400 zł, teraz może 50, 100 zł – mówi proboszcz ks. Jan Czekalski.

Ostatnio na konto parafii wpłynęły trzy ofiary po sto złotych, mimo iż do tej pory, przyznaje kapłan, nie prosił parafian o wsparcie. – Jak sobie radzimy? Bieżące rachunki opłacamy z fundu-

szu z kolędy, który był przeznaczony na remont kościoła. Na szczęście nie ma już mrozu, więc mogłem wyłączyć ogrzewanie w kościele. Wszystkie nasze msze transmitujemy w internecie, ale oglądają je głównie osoby spoza parafii, bo większość naszych parafian to osoby starsze.

Parafia pw. bł. Franciszki Siedliskiej w Olsztynie. – Dzięki Bogu jest pozytywna reakcja ze strony wiernych – mówi ks. Romuald Zapadka. – Jedni przelewają mniejsze datki, drudzy większe. Oczywiście nie można tego porównać do sytuacji sprzed epidemii, trzeba jednak pamiętać, że nasi parafianie to głównie osoby w podeszłym wieku i nie wszystkie potrafią wykonać przelew internetowy.

Są parafie, dla których obecna sytuacja nie stanowi większego wyzwania. Przykładem parafia pw. św. Maksymiliana w Tychach, w której w ostatnią niedzielę kościelna zbiórka na tacę wyniosła 110 zł, wpłaty internetowe zaś aż 5 tys. zł (przed epidemią podczas niedzielnych nabożeństw na tacę trafiało około 4 tys. zł).

Klucz do sukcesu? Wystarczy wejść na Facebooka, żeby zobaczyć, jak żywą wspólnotę można stworzyć w wirtualnym świecie. Parafialny profil tyskiej parafii jest wprost przeładowany postami samych parafian oraz wpisami proboszcza, ks. Grzegorza Strzelczyka. Proboszcz zaczyna facebookową aktywność od porannego powitania wiernych, a w ciągu dnia licznymi wpisami dodaje im otuchy, wzywa do sąsiedzkiej pomocy albo do zatroszczenia się o pomoc dla miejscowego szpitala. Po każdej niedzielnej kolekcie skrupulatnie też informuje parafian o sumie zebranych pieniędzy, kwitując wpisy słowami „Jesteście wielcy!”.

Grzech Judasza

Trzydzieści lat temu w okres transformacji ustrojowej Kościół wszedł z systemem finansowym wypracowanym w czasach zmagania z wrogo nastawioną władzą komunistyczną. Jego specyficzne cechy – nieformalność, nieprzejrzystość, brak jakiejkolwiek zewnętrznej kontroli i przede wszystkim klerykalizm – wtedy Kościół chroniły. Dziś są anachronizmem. Obecny kryzys zaczyna to obnażać.

Według ks. Lechowskiego przykład tyskiej parafii pokazuje, że gdy ludzie mają poczucie, iż są w parafii poważnie traktowani, wówczas biorą za nią odpowiedzialność. Jednak tylko nieliczni proboszczowie dbają o pełną transparentność finansów.

– Wszyscy specjaliści są zgodni, że do gruntownej zmiany jakiejś instytucji potrzebna jest przede wszystkim wola jej szefa, który jest gotów podzielić się władzą i zaufać współpracownikom. W firmie piłka jest zawsze po stronie prezesa – zauważa ks. Lechowski.

Potrzeba reformy finansów Kościoła w Polsce od lat regularnie pojawia się w debacie publicznej. Wystarczy wspomnieć kwestię likwidacji finansowanego przez państwo Funduszu Kościelnego (przeznaczonego głównie na ubezpieczenia społeczne i zdrowotne księży, członków zakonów kontemplacyjnych i misjonarzy), podnoszoną co jakiś czas głównie przez lewicowych polityków. Konieczność uporządkowania finansów widzą też polscy duchowni.

Ks. Janusz Wiśniewski (doktor ekonomii): – Dyskusja na ten temat, na przykład o jakiejś formie daniny na Kościół, jest oczywiście potrzebna. Do tego trzeba jednak przygotować przede wszystkim wiernych, uświadamiając im, że oni również są za Kościół odpowiedzialni, także w wymiarze finansowym. Bez tego znowu będzie tylko krzyk, że to kolejne żądanie Kościoła.

Przed epidemią polscy biskupi o podatku kościelnym nie chcieli słyszeć. Po epidemii być może będą go musieli rozważyć jako opcję. Kościół nadal będzie utrzymywany przez wiernych, ale zapewne biskupi będą musieli bardziej liczyć się z ich zdaniem.

Ks. Arkadiusz Lechowski: – Zmiana powinna nadejść. Podatek czy inna forma daniny byłyby rozwiązaniem uczciwym i logicznym. Teraz polski Kościół poprzez panujący w nim bałagan finansowy, brak przejrzystości w finansach i świeckiej kontroli nad nimi ma w pewnym sensie „judaszowe pieniądze”. I zdradza w ten sposób Chrystusa.

©℗ MARCIN CHODUŃ
Współpraca: ARTUR SPORNIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: WOJTEK KWIECIEŃ-JANIKOWSKI

Wydanie jubileuszowe na 75-lecie „Tygodnika Powszechnego”

Piszą: Brzeziński, Dukaj, Jagielski, Kuźmiński, Lamża, Lem, Napiórkowski, Ochędowska, Okoński, Prusak, Rabij, Tischner, Turowicz, Żyła

„Raport z przyszłości” dostępny w sklepach z dobrą prasą i jako e-wydanie na powszech.net/raport

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Przełożeni mają wiedzieć

PROF. MACIEJ GUTOWSKI, PRAWNIK, SPECJALISTA PRAWA CYWILNEGO:

Kościół powinien chronić dzieci przed krzywdą, a nie siebie przed odpowiedzialnością.

ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA GAZETA

Protest przeciwko pedofilii w Kościele katolickim, Kraków, październik 2018 r.

ARTUR SPORNIAK: Sąd Najwyższy oddalił skargę kasacyjną wniesioną przez zakon chrystusowców – ofiara byłego już zakonnika zatrzyma zasądzony milion złotych odszkodowania. Jakie to orzeczenie ma znaczenie?

PROF. MACIEJ GUTOWSKI: Oznacza, że sprawa jest prawomocnie i ostatecznie zakończona, i że odpowiedzialność zakonu została przesądzona.

SN uznał, że ma tu zastosowanie art. 430 Kodeksu Cywilnego, mówiący o odpowiedzialności przełożonych za szkody dokonane przez podwładnych. Kościół bronił się, że bez zaufania wobec księży niemożliwe byłoby duszpasterstwo.

Jeżeli przełożony obdarza podwładnego zaufaniem, to za to zaufanie odpowiada. Art. 430 KC normuje odpowiedzialność zwierzchnika za szkodę wyrządzoną przy wykonywaniu powierzonej czynności, z winy osoby podległej jego kierownictwu i mającej obowiązek stosować się do jego wskazówek. Jest to surowa odpowiedzialność na zasadzie ryzyka. Podam przykład. Jestem adwokatem. Jeśli powierzam określone czynności aplikantowi, wówczas odpowiadam za jego zawinione błędy. Jeśli mam do niego zaufanie i nie sprawdzam go, wówczas w sensie cywilnym otwieram drogę do własnej odpowiedzialności za ewentualne szkody, które mój aplikant wyrządzi. To oczywiste.

Jeśli przełożeni kościelni mają zaufanie do swojego kapłana i nie przeszkadza im, że dziecko zamieszkuje u niego, je obiady z zakonnikami na plebanii, jeździ z księdzem na pielgrzymki, spędza z nim czas pozaszkolny – jak to było w przypadku ks. Romana B. i jego ofiary – to narażają Kościół na odpowiedzialność, jeśli okaże się, że owo zaufanie było niewłaściwie ulokowane. Dlatego każda instytucja, chcąc się przed tą odpowiedzialnością uchronić, musi zbudować i egzekwować procedury, żeby nie opierać swojego działania na zaufaniu, lecz na przestrzeganiu reguł. Analogicznie, jeżeli szkoły nie niepokoi silna relacja nauczyciela z uczniem poza zajęciami szkolnymi, to szkoła będzie odpowiadać, jeśli nauczyciel okaże się pedofilem.

Mam wrażenie, że do dziś funkcjonuje przestarzałe postrzeganie problemu odpowiedzialności cywilnej w Kościele.

Biskupi w wytycznych obowiązujących od kilku lat w polskim Kościele stwierdzili, że „odpowiedzialność karną oraz cywilną za tego rodzaju przestępstwa ponosi sprawca jako osoba fizyczna".

To jest prawda, ale niepełna. Odpowiedzialność cywilną ponosi sprawca, co nie znaczy, że Kościół nie odpowiada. Kościelna osoba prawna może ponosić odpowiedzialność na różnych podstawach. Na przykład z art. 416, nakładającego na osoby prawne odpowiedzialność za szkody wyrządzone z winy ich organów. Czyli archidiecezje odpowiadają za arcybiskupów, diecezje za biskupów, parafie za proboszczów oraz za księży administratorów, a zakon ponosi odpowiedzialność za swoich reprezentantów. Na przykład, jeśli ich wina polega na wiedzy i niereagowaniu na nadużycia w ramach podległej im struktury. Art. 429 mówi o winie w wyborze niewłaściwej osoby, czyli tej, która wyrządziła szkodę. Z kolei wspomniany już art. 430 normuje odpowiedzialność na zasadzie ryzyka za podwładnego. Ogólnie mówiąc, odpowiedzialność otwiera się tam, gdzie przełożonym kościelnym można postawić zarzut niedochowania należytej staranności w działaniach ich organów (art. 416), w doborze kapłanów (art. 429) lub obciążyć ryzykiem działania ich podwładnych (art. 430). Kluczowe będą tu takie kwestie jak to, że ksiądz jest zawsze na służbie, że pełni funkcję publiczną w zakresie nauczania religii czy innych zajęć dla dzieci, że istnieje zhierarchizowanie i podległość władzy zwierzchników w Kościele oraz możliwość stworzenia adekwatnych reguł, pozwalających egzekwować powinność pozyskania wiedzy i reagowania na patologię w Kościele.

Ale tu krzywda nie była bezpośrednio wynikiem działań duszpasterskich, tylko wyrządzano ją przy okazji. Przełożony posyła do pracy duszpasterskiej. Czy może odpowiadać za to, co ksiądz robi przy okazji?

Wykonywanie powierzonych czynności było właśnie czynnikiem, który miejscowo, czasowo czy funkcjonalnie mógł umożliwić wyrządzenie szkody. Jeśli wszystko to, o czym mówiliśmy, a co sprzyjało patologicznym relacjom – spędzanie czasu, jedzenie posiłków, zamieszkiwanie, wspólne wyjazdy – działo się w związku z obowiązkami kościelnymi, brak odpowiedzialności przełożonych trudno obronić. Jeżeli chce się prowadzić np. działalność wychowawczą, trzeba mieć pomysł, jak eliminować wychowawców, którzy mogą krzywdzić dzieci.

Czy takie środki zapobiegawcze, jak wprowadzane obecnie kodeksy zachowań, zabraniające np. przebywania sam na sam z dzieckiem, które muszą podpisywać wszystkie osoby pracujące z dziećmi, mogą chronić Kościół przed odpowiedzialnością?

Kościół powinien chronić dzieci przed krzywdą, a nie siebie przed odpowiedzialnością. Co do zaś kodeksów, papier zniesie wszystko. Nie wystarczy napisać kodeksy, trzeba je też bezwzględnie egzekwować.

Dlatego sprawdza Pan CV aplikanta i jego kompetencje, ale przecież na ręce Pan mu cały czas nie patrzy.

Muszę, jeśli nie chcę odpowiadać za skutki jego poczynań. Na gruncie art. 429 tylko wykazanie, iż działanie, które ostatecznie doprowadziło do szkody, powierzyłem właściwej osobie (np. wykonującej je zawodowo), jest sposobem na uwolnienie się od odpowiedzialności.

A ksiądz to nie zawód?

Owszem, ale w wyroku SN dotyczącym odszkodowania nałożonego na chrystusowców odwołano się do art. 430, a nie do art. 429. Ten ostatni odnosi się do winy w wyborze osoby, a ten pierwszy do odpowiedzialności na zasadzie ryzyka za podwładnego. Nie wystarczy wykazanie, że powierzyłem wykonanie czynności właściwej osobie. Nie obronię się mówiąc: to był ksiądz w sposób prawomocny wyświęcony. Jako zwierzchnik mam obowiązek dopilnować także tego, aby powierzona czynność była właściwie wykonywana i bezpieczna dla dzieci. Ksiądz działa w strukturze Kościoła, w której obowiązuje zwierzchnictwo, i to bardzo silne w świetle kanonów.

Słychać głosy, że wyrok SN jest przełomem w orzecznictwie o odszkodowaniach. Że zmianie uległa linia interpretacyjna artykułu 430.

Nie całkiem. Linia interpretacyjna już wcześniej zmierzała w kierunku obecnym we współczesnych systemach europejskich: że jeśli między pełnioną funkcją a szkodą istnieje związek (np. ułatwia wyrządzenie szkody), to istnieje odpowiedzialność. Po prostu artykuł ten zaczęto stosować także do księży.

Wcześniej księża byli uprzywilejowani?

Myślę, że znamy odpowiedź na to pytanie. Niestety w głęboko katolickim kraju ludzie boją się występować przeciwko Kościołowi i duchownym. Policjanci często nie potrafią lub nie chcą prowadzić postępowań wobec księży. Ludzi wnoszących oskarżenia często dotyka ostracyzm społeczny. Domniemanie wiarygodności jest po stronie księdza, a nie ofiary. Mówimy: tu osoba duchowna, która zawsze mówi prawdę, a tam dziewczynka z patologicznej rodziny, to przecież na pewno nie mówi prawdy! Ten obrzydliwy język stosowany jest nawet w orzecznictwie sądowym przy zbyt powierzchownym badaniu wiarygodności. I dotyka często dzieci głęboko wierzących, które ze swoją krzywdą idą do Kościoła.

A nie jest to niestety problem marginalny, jak by go chciał Kościół przedstawiać. Mamy do czynienia z systemowym zaniechaniem zarówno po stronie Kościoła, jak i po stronie państwa. A także zwykłych ludzi, którzy nie dochodzą swoich praw, być może nie wierząc, że mają na to szanse. Ta niewiara w możliwość sądowej wygranej jest jednym z poważnych czynników hamujących egzekwowalność prawa.

Czyli mamy problem z powszechną klerykalną mentalnością, której skutkiem jest prawne uprzywilejowanie księży?

To uprzywilejowanie nie jest prawne, tylko faktyczne. Głęboko wierzące społeczeństwo stawia księży na piedestale. Hierarchia to jednak wzmacnia komunikatem, że winny jest sprawca, a nie jego przełożeni. Dla ludzi, którzy nie są prawnikami, taki argument, podany na dodatek z ambony, może być przekonujący. Na gruncie prawa polskiego jest jednak fałszywy. ©℗

TVN24 / SCREEN

MACIEJ GUTOWSKI *jest adwokatem, specjalistą w zakresie prawa cywilnego, profesorem zwyczajnym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.*

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o tym,
że w 82. roku życia odeszła

Ś.† P.

Wanda Majchrowska

Oddana pielęgniarka i ceniona wychowawczyni wielu pokoleń pielęgniarek,
kochająca mama, żona i babcia, dobry i serdeczny człowiek.

Pogrążonym w żałobie Katarzynie, Marcinowi
oraz wszystkim bliskim wyrazy współczucia

składają
Iwona i Mateusz

Wiara stopniowana

JÓZEF MAJEWSKI

Nie we wszystko, co słyszymy w Kościele, z równą mocą powinniśmy wierzyć. Czy kościelne nauczanie da się jednak klarownie sklasyfikować?

Różne elementy nauczania Kościoła domagają się zróżnicowanego posłuszeństwa wiary – zobowiązują sumienie wiernego w różnym stopniu. Problem w tym, że wiedza katolików na temat rang, czyli tzw. kwalifikacji teologicznej kościelnego nauczania, poważnie kuleje. Co gorsza, Urząd Nauczycielski Kościoła i teologia chyba niewiele już są w stanie zrobić, by poprawić sytuację, bo w przeszłości same tak skomplikowały te sprawy, że trudno o dobre rozwiązania. Ale trzeba próbować.

Lista rankingowa

W książce „Święty Kościół powszedni" ks. Henryk Seweryniak przestrzegał: „gdy w dziejach eklezjologii uciekano się do wyszukanych dystynkcji i sztucznych pojęć, stawała się ona mało wiarygodna". Zresztą, dodajmy, nie tylko eklezjologia, czyli nauka o Kościele, ale również sam Kościół. Znamiennym przykładem jest doktryna o kolegialności biskupów (czyli wspólna im wszystkim odpowiedzialność za Kościół). W panującym w niej gąszczu specjalistycznych rozróżnień oraz językowo-teologicznych niuansów powstał taki bałagan, że gubią się w nim nawet sami zainteresowani, czyli biskupi. Próbka? „Kolegialność sama w sobie", „kolegialność efektywna", „kolegialność afektywna", „poczucie kolegialne", „duch kolegialny", „pełne poczucie kolegialności" czy „działanie kolegialne w sensie ścisłym"...

Konstatacja ks. Seweryniaka dotyczy sztucznych pojęć i rozlicznych dystynkcji także w odniesieniu do kwalifikacji teologicznej różnych doktryn. Chodzi tu o kwestię niebagatelną, bo o to, w jakim stopniu konkretne nauczanie Kościoła zobowiązuje sumienie osoby wierzącej. Powinno być oczywiste, że różne doktryny i wypowiedzi Magisterium Kościoła, a więc biskupów, zobowiązują katolików w różny sposób. Inną rangę ma dogmat o Trójcy Świętej, a inną wypowiedzi papieża o cudownym medaliku Katarzyny Labouré; inną prawda o zmartwychwstaniu Jezusa, a inną lokalny zwyczaj zachowywania postu w piątek.

Starsza teologia dobrze wiedziała o doktrynalnych dystynkcjach w ramach nauczania Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Problem polega na tym, że dała się im tak bardzo zwieść, że w końcu utonęła w morzu subtelnych rozróżnień, które zaczęły służyć samym sobie. Oto przykład – chyba najbardziej popularna „doktrynalna lista rankingowa", na którą niektórzy wciąż jeszcze się powołują: mamy zatem mieć prawdy „z wiary", „z wiary katolickiej", „z wiary boskiej i katolickiej", „z wiary kościelnej definitywnej", „z wiary boskiej". Są też prawdy „bliskie wiary" i „doktryna katolicka", nauczanie „teologicznie pewne", „zdanie powszechne", „zdanie powszechniejsze", „zdanie prawdopodobne", „zdanie bardziej prawdopodobne", „zdanie pobożne" czy „opinia tolerowana".

Po Soborze Watykańskim II starano się uporządkować powstały bałagan. Najważniejsze zmiany zaszły za pontyfikatu Jana Pawła II. List apostolski „W obronie wiary" z 1998 r. wyróżnił trzy poziomy nauczania Kościoła, domagające się zróżnicowanego posłuszeństwa wiary. Na najwyższym poziomie znajduje się nauczanie objawione, niżej – nauczanie ostateczne, jeszcze niżej – nauczanie autentyczne. Uwagi Jana Pawła II miały jednak charakter bardzo ogólny i chyba dlatego równocześnie z papieskim dokumentem Kongregacja Nauki Wiary, watykańska strażniczka ortodoksji, wydała komentarz pt. „Wyjaśnienie doktrynalne dotyczące końcowej części formuły »Wyznania wiary«". Szczęśliwie w dokumencie tym znajdują się przykłady prawd i doktryn należących do poszczególnych poziomów, co jednak wcale nie znaczy, że wszystko w tej materii stało się jasne.

Spora liczba teologów i biskupów traktuje „Wyjaśnienie doktrynalne" jako oficjalny komentarz Stolicy Apostolskiej do listu „W obronie wiary" – a tak nie jest! Trzeba wiedzieć, że pod dokumentem znajdują się tylko dwa podpisy: kard. Josepha Ratzingera, ówczesnego prefekta KNW, i jej sekretarza abp. Tarcisia Bertonego. Ich sygnaturom zaś nie towarzyszy żadna adnotacja, co w przypadku wypowiedzi dykasterii Kurii Rzymskiej jest znaczące. Jak zauważył wybitny amerykański teolog Avery Dulles SJ, którego Jan Paweł II mianował w 2001 r. kardynałem, nic nie wskazywało i – dodajmy – nie wskazuje na to, żeby dokument ten został zaakceptowany przez całą KNW ani że przyjęto go podczas jej najważniejszego posiedzenia – sesji plenarnej, ani też, że zaaprobował go papież. Według specjalistów od prawa kanonicznego – napisał Dulles – „»Wyjaśnienie doktrynalne« nie jest oficjalnym dokumentem Stolicy Apostolskiej". To w rzeczy samej raczej prywatna wypowiedź ówczesnego szefostwa watykańskiej strażniczki ortodoksji.

List „W obronie wiary" mówi zatem o trzech poziomach nauczania Kościoła. Wypada zacząć od najwyższego.

JIRI REZAC / VISUM / FORUM

Cittadella na wyspie Gozo, Malta, lipiec 2000 r.

Nauczanie objawione

Do tego poziomu należą prawdy objawione formalnie przez Boga. Opierają się one bezpośrednio na wierze w autorytet spisanego słowa Bożego (Pisma Świętego). Aby być katolikiem, trzeba w nie wierzyć mocno, wiarą teologalną, zatem jedną z trzech cnót, które apostoł Paweł wyniósł ponad wszystkie inne (1 Kor 13, 13). Kto z katolików odrzuca nauczanie z tego poziomu, jest winien herezji, czyli wyłącza się ze wspólnoty Kościoła. W papieskim liście czytamy, że jeśli „nie odwołuje tego, gdy zostanie napomniany zgodnie z prawem, winien zostać ukarany ekskomuniką większą jako heretyk lub apostata".

Prawdy poziomu pierwszego – jak napisali autorzy „Wyjaśnienia doktrynalnego" – „są zawarte w Słowie Bożym spisanym lub przekazanym przez Tradycję i zostają zdefiniowane w formie uroczystego orzeczenia czy to przez Biskupa Rzymu, gdy naucza *ex cathedra*, czy to przez Kolegium Biskupów zgromadzonych na soborze, jako prawdy objawione przez Boga, bądź też zostają nieomylnie podane do wierzenia przez nauczanie zwyczajne i powszechne". Większość słów i wyrażeń w tym cytacie ma charakter techniczny i domaga się wyjaśnienia.

Uroczyste (nadzwyczajne) nauczanie Magisterium Kościoła, ogłaszane jako objawione przez biskupów na soborze lub przez samego biskupa Rzymu, gdy definiuje jakąś prawdę *ex cathedra* (co można przetłumaczyć: z najwyższego miejsca – nauczanie najważniejsze), wydarza się nadzwyczaj rzadko. Wiadomo, że soborów nie zwołuje się często, a przypadki papieskiego nauczania *ex cathedra* są jeszcze rzadsze. Dodatkowo tego rodzaju nauczanie biskupa Rzymu obostrzone jest istotnymi warunkami: po pierwsze, gdy papież definiuje jakąś prawdę *ex cathedra*, to musi być jasne, że występuje jako pasterz i nauczyciel wszystkich chrześcijan, jego wystąpienie dotyczy tylko i wyłącznie spraw wiary i moralności; papież musi też wyraźnie zaznaczyć, że angażuje swój nauczycielski autorytet w najwyższym stopniu i że ogłaszana prawda ma być przyjęta w wierze przez cały Kościół. Ostatni sobór – Vaticanum II – odbył się ponad pół wieku temu, a papież ostatni raz ogłosił dogmat 70 lat temu (Pius XII o wniebowzięciu Maryi).

Z kolei w nauczaniu zwyczajnym i powszechnym Urzędu Nauczycielskiego chodzi o codzienne nauczanie wszystkich biskupów rozproszonych po świecie i pozostających w jedności z biskupem Rzymu. Gdy wszyscy biskupi w przeszłości i dzisiaj, łącznie z papieżem, na co dzień zgadzają się ze sobą w konkretnej sprawie wiary czy życia moralnego, to ich nauczaniu przysługuje ranga nieomylności. Oczywistość nauczania zwyczajnego i powszechnego biskupów wynika z faktu, że wiele prawd istotnych dla wiary nigdy nie zostało uroczyście zdefiniowanych czy ogłoszonych. Kościół po prostu w nie wierzy, a Magisterium o nich uczy. „Kościół nigdy nie zdefiniował nauki, że Jezus jest Panem i że Bóg wskrzesił Go z martwych, niemniej jednak są to artykuły naszej wiary o wiele bardziej podstawowe niż liczne dogmaty, które zostały uroczyście zdefiniowane" (ks. Francis Sullivan).

Kard. Ratzinger i abp Bertone w „Wyjaśnieniu doktrynalnym" zawarli listy prawd, które – ich zdaniem – należą do poszczególnych poziomów nauczania. Na liście nauczania objawionego znalazły się „artykuły wiary z »Wyznania wiary« [„Wierzę w jednego Boga..." – JM], dogmaty chrystologiczne i maryjne; nauka o ustanowieniu sakramentów przez Chrystusa i o ich skuteczności co do łaski; nauka o rzeczywistej i substancjalnej obecności Chrystusa w Eucharystii i o ofiarnej naturze mszy świętej; nauka o założeniu Kościoła z woli Chrystusa; nauka o prymacie i nieomylności biskupa Rzymu; nauka o istnieniu grzechu pierworodnego; nauka o nieśmiertelności duszy duchowej i o zapłacie bezpośrednio po śmierci; o braku błędów w tekstach natchnionych Pisma Świętego; nauczanie, że bezpośrednie i umyślne zabójstwo niewinnej istoty ludzkiej jest niezwykle poważnym wykroczeniem moralnym".

W związku z tą listą nie wszystko jednak jest jasne. Teologowie i bibliści wciąż dyskutują nad możliwością błędu w Piśmie Świętym – w tej dziedzinie nie wszystko zostało już powiedziane. Problemy rodzą się także np. w odniesieniu do nauki o nieśmiertelności „duszy duchowej". Kard. Ratzinger wraz z abp. Bertonem zaliczają ją do nauczania objawionego, podczas gdy w 1979 r. KNW, pod kierownictwem kard. Franjo Šepera, zdawała się widzieć sprawy inaczej. Ówczesna Kongregacja, broniąc pojęcia duszy przed „atakującymi" go teologami, wyraźnie jednak dała do zrozumienia, że można by z niego zrezygnować. Istniałaby taka możliwość, gdyby znalazło się pojęcie, które byłoby w stanie lepiej wyrazić wiarę w istnienie „ludzkiego ja" po śmierci. ↦

Nauczanie ostateczne

↦ Do poziomu nauczania ostatecznego (definitywnego) należą prawdy, które nie zostały formalnie objawione, ale pozostają w ścisłym logicznym czy historycznym związku z Objawieniem. W liście Jana Pawła II czytamy: „należy bez zastrzeżeń przyjąć i zachowywać również wszystkie i poszczególne prawdy dotyczące wiary i obyczajów, które Urząd Nauczycielski ogłasza w sposób ostateczny, to znaczy te, które są wymagane, aby gorliwie strzec i wiernie przekazywać sam depozyt wiary; kto zatem odrzuca te prawdy, które należy przyjąć w sposób definitywny, sprzeciwia się nauczaniu Kościoła katolickiego".

Prawdy z poziomu ostatecznego dodają do depozytu wiary (czyli do tego wszystkiego, co Bóg objawił dla zbawienia ludzi) elementy nieobjawione. Co istotne, Jan Paweł II w swoim liście nie wiązał odrzucenia czy braku akceptacji nauczania ostatecznego z herezją. Kard. Ratzinger i abp Bertone w tym kontekście napisali: „Każdy wierzący jest zobowiązany przyjąć te prawdy zdecydowanie i ostatecznie, opierając się na wierze w asystencję Ducha Świętego okazywaną Urzędowi Nauczycielskiemu Kościoła oraz na katolickiej doktrynie o nieomylności Urzędu Nauczycielskiego w tych sprawach. Kto by im zaprzeczał, odrzucałby prawdy nauki katolickiej i tym samym nie byłby już w pełnej komunii z Kościołem katolickim". Odrzucenie prawd z poziomu ostatecznego nie zrywa zatem komunii z Kościołem, ale ją „tylko" osłabia. „W kontekście całego komentarza kard. Ratzingera i abp. Bertonego oraz listu Jana Pawła II jest jasne, że to osłabienie komunii nie oznacza automatycznego wykluczenia z sakramentów; w tym wypadku nie mamy do czynienia z ekskomuniką" (Avery Dulles SJ).

„Wyjaśnienie doktrynalne" do nauczania ostatecznego zalicza szczególnie kilka prawd o charakterze moralnym, np. o niegodziwości prostytucji i nierządu, ale także o niegodziwości eutanazji – tak jak ujął to Jan Paweł II w encyklice „Evangelium vitae". Z kolei jeśli chodzi o prawdy z poziomu ostatecznego, ale związane z objawieniem na mocy konieczności historycznej, które nie będą mogły być zdefiniowane jako objawione przez Boga, to obaj hierarchowie zaliczają do nich prawomocność wyboru biskupa Rzymu i przeprowadzenia soboru powszechnego, kanonizację świętych oraz nauczanie Leona XIII o nieważności święceń anglikańskich (1896 r.). Co do tego ostatniego wypada dodać, że „wyrok" tego papieża XIX stulecia nie może dotyczyć anglikańskich święceń w naszych czasach. Kościoły anglikańskie w Europie, podobnie jak inne Kościoły tradycji protestanckiej, w tym luteranie, w drugiej połowie XX w. zdecydowały się na konsekracje biskupie z udziałem przynajmniej jednego biskupa pozostającego, jak w katolicyzmie czy prawosławiu, w sukcesji apostolskiej.

> Dzisiaj raczej już nie da się klarownie uporządkować powstałego przez wieki **terminologicznego, teologicznego i doktrynalnego bałaganu.**

Jako przykład tych prawd z poziomu ostatecznego, które wiążą się z objawieniem na mocy logicznego wynikania, kard. Ratzinger i abp Bertone podali „rozwój doktryny związanej z definicją nieomylności Biskupa Rzymu jeszcze przed definicją dogmatyczną Soboru Watykańskiego I [rok 1870]". Hierarchowie przypomnieli, że prymat papieża należy do prawd zawsze przyjmowanych przez Kościół, chociaż niektóre kwestie należały tu do otwartych. Sobór zdecydował się ostatecznie je rozwiązać, nadając tej prawdzie formę dogmatu. „Podobny proces – czytamy w „Wyjaśnieniu doktrynalnym" – można zaobserwować także w przypadku sformułowanego w ostatnim okresie nauczania o udzielaniu święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom [Jan Paweł II w 1994 r. opublikował List apostolski „Ordinatio sacerdotalis" o udzielaniu święceń kapłańskich wyłącznie mężczyznom – JM]. Biskup Rzymu, chociaż nie posłużył się definicją dogmatyczną, potwierdził, że prawda ta powinna być uznana za ostateczną, ponieważ została podana w sposób nieomylny przez Magisterium zwyczajne i powszechne jako oparta na słowie Bożym spisanym i była zawsze zachowywana i stosowana w Tradycji Kościoła. Jednakże (...) rozwój świadomości Kościoła może sprawić, że w przyszłości nauczanie to zostanie zdefiniowane jako prawda, w którą należy wierzyć jako objawioną przez Boga".

Wypowiedzi niektórych biskupów, takich jak kard. Christoph Schönborn, arcybiskup Wiednia, czy kard. Reinhard Marx, były przewodniczący Konferencji Biskupów Niemiec, na temat konieczności podjęcia debaty wokół święceń kapłańskich kobiet, poważnie problematyzują stanowisko kard. Ratzingera i abp. Bertonego w tej materii. Kard. Marx w styczniu, w kontekście niemieckiej Drogi Synodalnej, stwierdził: „Mamy bardzo silne stanowisko Jana Pawła II. Nie widzę, jak można pokonać tak mocny znak urzędu nauczycielskiego". Powiedział jednak również, że nie można postępować tak, jakby już wymieniono wszystkie argumenty w tej kwestii. „Jest sprawą oczywistą, że rozpoczynający się dialog na temat reform w Kościele Niemiec nie może rozstrzygnąć tej debaty, ale Droga Synodalna może dać swój głos, choćby taki, że odnosimy wrażenie, iż potrzebna jest dalsza refleksja".

Cokolwiek mówić o doktrynie na temat święceń kapłańskich dla kobiet, pewne wydaje się, że jedną rzeczą jest teoretyczna niezgoda na tę doktrynę, która nie wyłącza z Kościoła, a inną niezgoda praktyczna. W 2009 r. abp Daniel Pilarczyk z Cincinnati wydał zakaz nauczania w imieniu Kościoła siostrze Louise Akers, bo negowała ona doktrynę Jana Pawła II o święceniach kapłańskich wyłącznie dla mężczyzn. Hierarcha cofnął zakonnicy tzw. misję kanoniczną, ale jej nie ekskomunikował. Tymczasem rok wcześniej ekskomunika spotkała ks. Roya Bourgeois z amerykańskiego Zgromadzenia Maryknoll. Zakonnik nie tylko odrzucał doktrynę o święceniach kapłańskich zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn, ale też uczestniczył w uroczystości udzielenia „święceń" pewnej kobiecie i wygłosił podczas niej homilię, a potem – po ostrzeżeniu KNW – nie wyrzekł się swego postępowania. Ekskomunika spadła też – i to od razu – na „wyświęconą" wtedy kobietę, podobnie jak na ponad kilkadziesiąt katoliczek, które do tamtej pory przyjęły „święcenia" kapłańskie. Żeby nie było co do tego niejasności, KNW w 2008 r. wydała dekret stwierdzający, że zarówno kobieta, która usiłuje przyjąć święcenia, jak i osoba, która usiłuje ich udzielić, „podlegają ekskomunice wiążącej mocą samego prawa".

Nauka autentyczna

W odniesieniu do trzeciego poziomu nauczania Kościoła w liście „W obronie wiary" czytamy: „religijne posłuszeństwo rozumu i woli należy okazywać nauce, którą głosi Papież lub Kolegium Biskupów w sprawach wiary i obyczajów, gdy sprawują autentyczne nauczanie, chociaż nie zamierzają przedstawić jej w sposób definitywny. Stąd wierni powinni starać się unikać wszystkiego, co się z tą nauką nie zgadza".

Według „Wyjaśnienia doktrynalnego" chodzi tu o nauczanie prawdziwe lub przynajmniej pewne głoszone w tym celu, by – po pierwsze – pomóc w głębszym zrozumieniu objawienia, po drugie – by potwierdzić zgodność jakiegoś nauczania z prawdami wiary, albo – po trzecie – by ostrzec przed poglądami niezgodnymi z tymi prawdami, w końcu – po czwarte – by przeciwstawić się opiniom niebezpiecznym, prowadzącym do błędu. „Wypowiedź przeciwna takim prawdom może być zakwalifikowana odpowiednio jako błędna lub, w przypadku nauczania o charakterze roztropnościowym, jako zuchwała lub niebezpieczna".

Niestety, z niewiadomych względów kard. Ratzinger i abp Bertone nie podali żadnego przykładu doktryny z poziomu nauczania autentycznego. Stwierdzili jedynie, że w odniesieniu do nich „można wskazać ogólnie na prawdy nauczane w sposób nieostateczny w autentycznym Magisterium zwyczajnym, które wymaga przyjęcia w różnym stopniu, zależnie od intencji i woli wyrażonej przez naturę dokumentów, przez częstotliwość, z jaką podaje się to nauczanie, lub też przez sposób jego ujęcia". Przypuszczam, że do tego poziomu nauczania Urzędu Nauczycielskiego można zaliczyć np. doktrynę o obowiązkowym charakterze celibatu kapłańskiego, o przykazaniach kościelnych czy o tym, że akolitami mogą być wyłącznie mężczyźni.

Droga Franciszka

W sprawie teologicznej kwalifikacji nauczania Magisterium Kościoła wciąż nie ma jasności, a nawet panuje spore zamieszanie. Z sytuacją tą – jak sądzę – wypada się pogodzić. Dzisiaj raczej już nie da się klarownie uporządkować powstałego przez wieki terminologicznego, teologicznego i doktrynalnego bałaganu, chociaż wciąż trzeba się o to starać. W końcu jego ofiarą padła sama KNW, błędnie w 1995 r. przypisując do poziomu nauczania objawionego doktrynę o święceniach kapłańskich zarezerwowanych dla mężczyzn. Trzy lata później – jak widzieliśmy – wycofała się z tego stanowiska, umieszczając tę doktrynę w ramach poziomu nauki definitywnej. Pomyłka niebagatelna: w jednym przypadku karą była ekskomunika, w drugim zaś nie.

Z powstałego bałaganu można jednak wyciągnąć naukę. Choćby taką, że w Kościele wypada bardzo oszczędnie stosować język doktrynalnych potępień. Szczęśliwie, jak wszystko na to wskazuje, właśnie taką drogą kroczy papież Franciszek.

© JÓZEF MAJEWSKI

Autor jest teologiem, medioznawcą, profesorem Uniwersytetu Gdańskiego i stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego".

REKLAMA

WOLNOŚĆ SIĘ LICZY

Fundacja Panoptykon broni wolności i prywatności w cyfrowym świecie

DOŁÓŻ SWÓJ 1%
KRS: 0000327613

panoptykon.org/wspieram

FUNDACJA PANOPTYKON

ŚWIAT

ORBÁN W KORONIE

Premier Węgier wyczuł polityczny potencjał obecnego kryzysu, aby jeszcze bardziej umocnić swoją dominację w państwie.

ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU

Od wybuchu epidemii Viktor Orbán komunikuje się z obywatelami bezpośrednio: przez krótkie nagrania zamieszczane w mediach społecznościowych. Premier wita się na nich z ratownikami medycznymi. Zakłada fartuch i energicznym krokiem wchodzi na oddział intensywnej terapii, gdzie dopytuje personel o liczbę łóżek. Składa gospodarską wizytę w więzieniu, gdzie dogląda produkcji masek z materiałów sprowadzonych z Chin. Podczas telekonferencji z profesorami medycyny z całego kraju instruuje, jakich leków potrzeba. Od szefów resortów gospodarczych żąda rozwiązań na spodziewaną recesję. Jak głównodowodzący przyjmuje raporty od generałów służb mundurowych.

Piętnuje zarazem tych, którzy według niego utrudniają walkę z epidemią: opozycję, która nie poparła przyznania rządowi nadzwyczajnych uprawnień, i Unię Europejską, która go krytykuje. Kreuje obraz przywódcy, który samodzielnie steruje aparatem państwa wbrew nieprzychylnym wiatrom, który panuje nad sytuacją i dodaje otuchy strapionym Węgrom.

Czek in blanco

Rzeczywistość nie jest jednak tak różowa. Orbán początkowo bagatelizował kryzys, a reakcja Węgier była spóźniona i chaotyczna. Jak donosi niezależny portal 444.hu – powołując się na źródła w otoczeniu premiera – dość późno dostrzegł on, jak groźny jest wirus, i że ma do czynienia z zupełnie nową dynamiką emocji społecznych. Na przełomie lutego i marca powtarzał jeszcze, że głównym zagrożeniem dla kraju są imigranci. Gdy na Węgrzech rosła już liczba infekcji, pojechał z wizytą do Mołdawii i Serbii. Węgry kilka dni później niż Polska czy Słowacja zamknęły szkoły i wprowadziły ograniczenia w poruszaniu się obywateli.

Za to w drugiej połowie marca Orbán przejął pełną inicjatywę. Odsunął krytykowanego ministra ds. zasobów ludzkich (pod ten superresort podlega też zdrowie publiczne), który był początkowo odpowiedzialny za zarządzanie kryzysem, i sam stanął na czele walki z wirusem. Osobiście przewodniczy „grupie operacyjnej", zbierającej się codziennie o szóstej rano w MSW. Główne zadania rozdzielił między przedstawicieli służb mundurowych, nie ufając ekspertom.

I przede wszystkim wyczuł polityczny potencjał obecnego kryzysu. Choć początkowo w parlamencie odbywały się uzgodnienia wszystkich partii na temat epidemii, od pewnego momentu Orbán postawił na konfrontację z opozycją. Zażądał nadzwyczajnych uprawnień. To dziś praktyka powszechnie stosowana w innych państwach, ale na Węgrzech nie wyznaczono żadnych ograniczeń czasowych. Opozycja odpowiedziała, że nie podpisze „czeku *in blanco*" i żądała – bezskutecznie – maksymalnie 90-dniowego limitu obowiązywania specjalnych uprawnień. Fidesz, partia Orbána, mająca większość dwóch trzecich w parlamencie, bez problemu przeforsowała ustawę dającą rządowi prawo do rządzenia dekretami.

Odcinanie, umacnianie, utajnianie

Na świecie odczytano to jako ostateczny krok w kierunku dyktatury, zwieńczenie trwającego od dekady odchodzenia Węgier od standardów demokracji. Krytyczny głos popłynął z Rady Europy, ONZ i kilkunastu państw Unii. Przewidziane

OFICJALNA STRONA PREMIERA WĘGIER

Telekonferencja Viktora Orbána ze specjalistami w dziedzinie epidemiologii, Kancelaria Premiera Węgier, Budapeszt, 2 kwietnia 2020 r.

w ustawie kary więzienia dla dziennikarzy skrytykowały międzynarodowe organizacje medialne. Zwłaszcza że już od pewnego czasu, wzorem prezydenta Trumpa, politycy Fideszu wszelką krytykę zbywają jako *fake news*.

Po co Orbánowi tak rozległe i bezterminowe uprawnienia? Przecież i tak ma pełnię władzy: komfortową większość w parlamencie, prezydenta i przewodniczącego parlamentu ze swojej partii (*nota bene* to jego dawni koledzy z akademika), lojalnego prokuratora generalnego i większość sędziów z nominacji Fideszu w Trybunale Konstytucyjnym.

Prawdopodobnie intencją premiera nie jest ostateczne przewrócenie stolika i władza dyktatorska, lecz dalsze stopniowe umacnianie dominacji w państwie. Według znanej już „taktyki salami" plasterek po plasterku odcinane będą kolejne zasoby finansowe opozycji czy niezależnych mediów. A w kryzysie trudniej będzie z tego Fidesz rozliczać – nie będzie protestów na ulicach ani zagranicznych sankcji.

Już w pierwszym tygodniu obowiązywania nowych uprawnień rząd zdecydował o przekazaniu połowy dotacji dla partii politycznych na specjalny fundusz do walki z epidemią. Będzie to dotkliwe dla opozycji, lecz nie dla Fideszu, który może liczyć na hojne wsparcie państwa innymi kanałami. Pojawiły się też informacje o przejęciu przez zaprzyjaźnionego z Orbánem biznesmena udziałów w ostatnim dużym niezależnym portalu informacyjnym, o nominacji teściowej minister sprawiedliwości na stanowisko szefowej Krajowego Urzędu Sądowego czy o planach utajnienia na dziesięć lat szczegółów kontrowersyjnego kontraktu z Chińczykami na budowę szybkiej kolei Budapeszt–Belgrad.

Nadanie sobie nadzwyczajnych uprawnień może być też podwójną pułapką zastawioną na opozycję i zagranicznych krytyków. Jeśli po zakończeniu epidemii rząd faktycznie odda – tak jak zapowiada – owe uprawnienia i nie zastosuje w międzyczasie jakichś drastycznych metod, wielu Węgrów przyzna, że zarzuty o dyktatorskie zapędy były przesadne i nie pokrywają się z sytuacją „na ulicy" (już teraz policja jest pobłażliwa w egzekwowaniu zakazu wychodzenia z domu). A powrót parlamentu do normalnego funkcjonowania będzie przez Orbána przedstawiany jako koronny dowód na jego wierność demokracji – czym będzie próbował uciszyć narastające dziś dyskusje o wykluczeniu Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej czy nawet o zawieszeniu prawa głosu Węgier w Unii.

Dekada Fideszu

Obecny kryzys pokazuje jak w soczewce metody i styl władzy Orbána. Kluczem do jego popularności jest nade wszystko umiejętne zarządzanie emocjami społecznymi. Jasne wskazywanie, kto jest wrogiem, a kto dzielnie toczy nierówną i osamotnioną, ale ostatecznie zwycięską walkę. Orbán jest bowiem premierem kryzysów. To na fali dwóch poprzednich – gospodarczego i migracyjnego – najpierw zdobył, a potem utrwalił swoją władzę.

Premierem został w 2010 r. – u szczytu kryzysu gospodarczego. Węgry odczuły go szczególnie mocno, jesienią 2008 r. były bliskie bankructwa. Kredytów udzielił wówczas Międzynarodowy Fundusz Walutowy, a rząd techniczny wprowadził drastyczne cięcia w wydatkach państwa. Tymczasem Orbán obiecał wyborcom koniec polityki oszczędności i jednoznacznie wskazał winnych kryzysu (międzynarodowy kapitał spekulacyjny i jego krajowi pomocnicy). Po wyborach zrezygnował z ostatniej transzy kredytu MFW, co przedstawił jako dowód na odzyskanie przez kraj suwerenności. Odium cięć spadło na poprzedni rząd, a Orbán wykonał kilka popularnych gestów, m.in. nakładając dodatkowe obciążenia na instytucje finansowe – budżet podreperowało to w niewielkim stopniu, ale dało społeczeństwu poczucie sprawiedliwości.

Gdy w 2015 r. poparcie dla Fideszu było w największym dołku, jak z nieba spadł mu kryzys migracyjny. Premier jako jeden z pierwszych postulował zaostrzenie ↦

polityki imigracyjnej. Jeszcze w 2015 r. postanowił postawić płot na południowej granicy kraju. Dzięki temu migranci zaczęli omijać Węgry w drodze do zamożniejszych państw Europy. Choć kryzys zatrzymało dopiero porozumienie Unii z Turcją, Orbán przekonał węgierskie społeczeństwo, że to on położył tamę migracji; co więcej, stał się idolem środowisk antyimigracyjnych na skalę światową. Gdy kryzys dawno już przeminął, władze dalej podsycały strach przed imigrantami i utrwalały wizerunek Orbána jako jedynego odpowiedzialnego polityka w Unii. Obrona Węgier przed obcymi stała się głównym tematem kampanii wyborczej Fideszu – i utorowała mu drogę do trzeciego z rzędu miażdżącego zwycięstwa w 2018 r.

Państwo w rękach partii

Kreowanie swojego wizerunku i sterowanie emocjami ułatwia Fideszowi dominacja w instytucjach państwowych i mediach. Potężne kampanie propagandowe opłacane są z budżetu państwa – billboardy i listy do wszystkich obywateli z aktualnym przekazem partii finansowane są ze środków publicznych. Władza kontroluje większość rynku medialnego, w tym wszystkie dzienniki regionalne. Prorządowe media promują zgodny przekaz, ustalony w specjalnej komórce Kancelarii Premiera – niezależnie, czy są to nadawcy publiczni, czy ci należący do któregoś z prorządowych oligarchów. Po dziesięciu latach rządów Orbána trudno już zresztą powiedzieć, gdzie zaczyna się państwo, a kończy partia – i na odwrót.

Orbánowi wydaje się sprzyjać przyzwyczajenie Węgrów do przywódców silnych i rządzących przez wiele lat. Jeśli wziąć pod uwagę ostatnie tylko stulecie, to przez 70 lat krajem rządziło zaledwie trzech liderów: regent Miklós Horthy (1920-44), komunistyczny pierwszy sekretarz János Kádár (1956-88) i Orbán (1998–2002 i potem od 2010 r.). Choć tylko ten ostatni wybierany był na drodze demokratycznych wyborów.

> Obecny kryzys pokazuje jak w soczewce metody Orbána: kluczem do jego popularności **jest umiejętne zarządzanie emocjami społecznymi.**

Premier to polityk charyzmatyczny i obdarzony dobrym słuchem społecznym, ale nie jest wizjonerskim reformatorem, co mu się niekiedy przypisuje. Choć przez znaczną część tej dekady miał większość konstytucyjną, w kraju nie dokonały się głębokie zmiany ustrojowe czy społeczno-gospodarcze. Uchwalona w 2011 r. nowa konstytucja zasadniczo nie zmieniła ustroju, dokonała za to korekt instytucjonalnych na korzyść Fideszu. Podobnie znowelizowane prawo wyborcze, które przemodelowano na korzyść kandydatów tej partii.

Nie zmieniła się też zasadniczo struktura gospodarki, której kołem zamachowym w jeszcze większym stopniu jest produkcja aut przez niemieckie koncerny i napływ środków unijnych. Zmienił się tylko podział tortu, dzięki czemu wyrosła grupa prorządowych oligarchów, zbijających majątek na państwowych kontraktach. Flagowe projekty gospodarcze rozpoczęte przez rząd Orbána – rozbudowa elektrowni jądrowej przez Rosjan i budowa szybkiej kolei przez chińskie firmy – mają wieloletnie opóźnienia, coraz częściej słyszy się też o korupcji przy realizacji tych wielomiliardowych inwestycji. Co więcej, uzależniły one Węgry od państw, które wykorzystują powiązania gospodarcze do szantażu politycznego.

Czas próby

Podobnie jak w przypadku poprzednich kryzysów, tak i teraz Orbán stara się przede wszystkim zdominować narrację i pokazać się jako jedyny przywódca, który jest w stanie kontrolować sytuację i przeprowadzić Węgrów przez ten nowy kataklizm.

W przeciwieństwie jednak do poprzednich kryzysów rozwój pandemii jest trudny do przewidzenia. Uderza ona także w miękkie podbrzusze Węgier, czyli w chronicznie niedofinansowaną służbę zdrowia. Opozycja, która już od kilku lat zestawia zdjęcia odrapanych szpitalnych korytarzy z budowanymi masowo nowoczesnymi stadionami (futbol to pasja Orbána), dostaje dziś do ręki mocny argument. Mnożą się zarzuty, że przeprowadza się za mało testów na koronawirusa, i że władza podaje zaniżone statystyki. Z kolei spodziewane spowolnienie na rynkach światowych uderzy w gospodarkę Węgier, nastawioną na eksport i inwestycje zagraniczne. Rywalizacja o kurczące się zasoby może prowadzić do konfliktów w biznesowym zapleczu Fideszu.

Czy dobrze naoliwiona machina propagandowa wystarczy do utrzymania władzy, gdy recesja zacznie być dotkliwie odczuwana przez społeczeństwo? Nawet przy słabości opozycji i niezależnych mediów kolejne wybory parlamentarne – przewidziane na wiosnę 2022 r. – mogą okazać się trudniejsze do wygrania niż wszystkie dotychczasowe.

© ANDRZEJ SADECKI

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1196/18, na skutek wniosku Agnieszki Grudzień-Gmitruk, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Robercie Gmitruku, zmarłym 20 listopada 2018 r. w Hipolitowie, ostatnio stale zamieszkałym w Hipolitowie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 925/19, na skutek wniosku kuratora spadku po Hannie Jadwidze Alce, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Hannie Jadwidze Alce, zm. 7 grudnia 2017 r. w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałej w Lasominie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ARND WIEGMANN / REUTERS / FORUM

W szwajcarskim Kreuzlingen, nad brzegiem Jeziora Bodeńskiego, granica niemiecko-szwajcarska przebiega przez park. Teraz ustawiono wzdłuż niej płot, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się infekcji. Mieszkańcy z obu stron granicy próbują sobie z tym radzić. 5 kwietnia 2020 r.

Między normalnością a stanem wyjątkowym

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

W Szwajcarii, której co piąty mieszkaniec ma więcej niż 65 lat, walka z epidemią oznacza ochronę najsłabszych. Pragmatyzm nakazuje jednak, aby robić to z troską o gospodarkę.

Zaplanowane na 17 maja ogólnokrajowe referendum – ta jakże typowa dla Szwajcarii forma opiniowania projektów – się nie odbędzie. Podobna sytuacja zdarza się tu po raz pierwszy od 1951 r.; wtedy demokrację zastopowała epidemia pryszczycy. Sprawnie funkcjonujący mechanizm jednego z najbogatszych krajów świata nagle zaczął przypominać zegarek, w którym pękła sprężynka. Uziemione samoloty, puste pociągi, zamknięte szkoły i restauracje, opóźnienia w dowozie przesyłek pocztowych, policyjne patrole w parkach. Zwyczajowe uściski dłoni zastąpił strach, a społeczne zaufanie zaczęto odmierzać dwumetrowymi odstępami.

Do wtorku, 7 kwietnia, SARS-CoV-2 zainfekował w Szwajcarii ponad 20 tys. ludzi. Natomiast milionom odebrał poczucie kontroli i rutynę zapewniającą bezpieczeństwo. Naruszył fundamenty systemu, w którym obywatele są przyzwyczajeni do tego, że sami decydują, co jest dla nich dobre.

W światowej czołówce

Gdy w północnych Włoszech rozgrywa się już tragedia, życie w przygranicznych szwajcarskich miasteczkach zaczyna przypominać siedzenie na tykającej bombie. To, że wirus przeprawi się przez Alpy, jest kwestią czasu. Ale rząd w Bernie jakby do ostatniej chwili wierzy, że neutralną Szwajcarię epidemia ominie. Pociągi na trasie Mediolan–Zurych jeżdżą jak zwykle, choć jedyną rozsądną decyzją wydaje się zamknięcie granic.

Pacjent zero zostaje zdiagnozowany 25 lutego w kantonie Tessyn, na południu kraju: to mężczyzna, który wrócił z Włoch. Tak zaczyna się trwająca do dziś pandemiczna wyliczanka. Wkrótce mała Szwajcaria dołącza do czołówki krajów z największą liczbą zakażonych w przeliczeniu na milion mieszkańców.

Informacja o pierwszych zakażonych dociera do mnie, gdy odpoczywam w górach nad jeziorem Thun. Nie jest to modny kurort narciarski, więc atmosfera posezonowa: pustawe hotele, zamknięte restauracje, wyludnione ulice. Za jakiś czas podobnie będzie wyglądał Zurych. Ale jeszcze nie teraz. Na razie politycy radzą tylko myć ręce i kichać w zagięcie łokcia.

Pierwszy sygnał, że sytuacja staje się poważna, przychodzi z góry. Bundesrat, tutejszy odpowiednik rządu, wprowadza zakaz zgromadzeń powyżej tysiąca osób. To oznacza odwołanie wielu imprez, jak targi motoryzacyjne w Genewie czy słynny karnawał w Bazylei. Nie wszystkim się to podoba. Centralnie podejmowane decyzje to w Szwajcarii rzadkość. Tutaj ostatnie słowo należy do obywateli. Jednak tym razem na referendum nie ma czasu.

Testowanie granic

Szwajcarzy muszą przejść przyspieszony kurs działania w nieznanym im dotąd trybie awaryjnym. Stare dobre rozwiązania, ↦

jak przerzucenie odpowiedzialności za konkretne działania na kantony, teraz zawodzą. Decentralizacja problemu sprawia, że ten narasta – w chaosie i braku jednolitych wytycznych.

Władze kantonów zaczynają działać na własną rękę. W Tessynie, gdzie sytuacja jest najtrudniejsza, zostaje ogłoszony stan wyjątkowy; szkoły są zamknięte. Za przykładem idą kantony Fryburg, Vaud, Genewa. Niektóre o krok za daleko. Gdy rząd centralny jak ognia unika całkowitej blokady kraju, jeden z kantonów w centrum Szwajcarii zakazuje seniorom wychodzić z domu. Rozporządzenie, uznane za niezgodne z prawem, zostaje cofnięte.

Gdy w Polsce zamykane są już szkoły, na Uniwersytecie Zuryskim zajęcia odbywają się normalnie. Zamiast pracować zdalnie, znajomy naukowiec wciąż musi przychodzić na uczelnię – choć wśród studentów potwierdzono już przypadki infekcji. Inny znajomy, informatyk pracujący dla poczty szwajcarskiej, dostaje firmowego laptopa, by w razie czego mógł pracować z domu.

W oczekiwaniu na działania rządu firmy testują granice między dobrem pracowników a własnym interesem. Bardziej zapobiegliwe skracają czas pracy, mniej ostrożne ograniczają się do zaopatrzenia biur w środki dezynfekujące. Wciąż nie ma jednolitych wytycznych od państwa...

Diagnoza społeczeństwa

Dlaczego Szwajcaria tak długo wstrzymywała się z wprowadzeniem stanu nadzwyczajnego w całym kraju? Federalizm to jedna z przyczyn. Ważne też było to, jak na ograniczenie swobody zareagują ludzie. „Musimy się zastanowić, jakie działania są do zaakceptowania przez obywateli – tłumaczył Daniel Koch, przedstawiciel ministerstwa zdrowia w rządowym sztabie kryzysowym. – Szwajcarzy akceptują zakazy tylko wtedy, gdy rozumieją ich sens. Jeśli o to chodzi, różnimy się od innych krajów".

Wkrótce okazało się, że była to trafna diagnoza szwajcarskiego społeczeństwa.

Apele o solidarne pozostanie w domu przynosiły mierne rezultaty. Szwajcarom trudno było usiedzieć w czterech ścianach. To kraj aktywnych seniorów, którzy przesiadują w kawiarniach, spotykają się ze znajomymi, jeżdżą na wycieczki, słowem – korzystają z życia. Domowy areszt wydawał się przerażać ich bardziej niż szpitalne łóżko. Ale z solidarnością problem mieli też młodzi. Życie nocne w Zurychu kwitło, restauracje w centrum były pełne – choć liczba zakażonych rosła w szybkim tempie.

> Szwajcarska metoda na koronawirusa to próba znalezienia złotego środka **między zdrowotnym i materialnym bezpieczeństwem obywateli.**

Praworządni zazwyczaj Szwajcarzy, którzy na co dzień lubią trzymać się reguł (i oczekują tego od innych), tym razem pokazali inne oblicze. Gdy próbuję dociec, dlaczego tak jest, słyszę od moich rozmówców: rząd zaleca, nie zakazuje, więc decyzja wciąż należy do nas samych. Okazuje się, że tradycja demokracji bezpośredniej nie ułatwia zarządzania państwem w kryzysie.

Tymczasem w połowie marca w kraju było już ponad 2 tys. zakażonych. Dopiero wtedy rząd skapitulował – i ogłosił stan nadzwyczajny. W całym kraju zamknięto szkoły, restauracje i sklepy inne niż spożywcze.

Efekt? Szwajcarzy zaczęli spędzać czas na świeżym powietrzu. W parku, do którego chodzę na spacery z psem, jeszcze nigdy nie widziałam tylu biegaczy. Całe rodziny jeździły rowerami, grały w badmintona, piknikowały. Pogoda grała z wirusem w tej samej drużynie. Hasło „zostań w domu" nie działało. Ludzie kurczowo trzymali się ostatnich swobód.

W końcu przyszedł czas na zakazy. Za przebywanie w grupach większych niż pięć osób grożą mandaty. W parkach pojawiły się patrole, promenadę nad Jeziorem Zuryskim odgrodzono siatką. Kraj nie zdecydował się jednak na radykalny i całkowity *lockdown* – zamknięcie kraju w wydaniu włoskim czy hiszpańskim. Przeważył pragmatyzm i troska o gospodarkę.

Zależni od świata

Podstawą funkcjonowania neutralnego państwa jest bycie przygotowanym na najgorsze. Dlatego Szwajcaria inwestuje 0,7 proc. swojego PKB w armię, trzyma w gotowości bunkry przeciwlotnicze i utrzymuje żelazne rezerwy żywności na wypadek przestojów w imporcie.

Podobnego impasu, jak ten obecny, kraj nie doświadczył od końca II wojny światowej, gdy deficyt żywności zagroził wizją głodu. Plac pod Operą Zuryską zamienił się wówczas w pole ziemniaków.

Dziś, choć władze zapewniają, że jedzenia nie zabraknie, Szwajcaria odczuwa, jak bardzo jest zależna od reszty świata.

Pierwszy cios przyszedł od Niemiec: wstrzymały one tranzyt maseczek ochronnych, zamówionych przez Szwajcarię w Chinach. Na linii Berno–Berlin zrobiło się gorąco. Gdy apteki zaczęły limitować sprzedaż środków przeciwgorączkowych, w mediach zawrzało. Jak to możliwe, że kraj, w którym siedziby mają największe koncerny farmaceutyczne, jest zmuszony wydzielać leki swoim obywatelom?

Wkrótce okazało się, że brakuje też etanolu, niezbędnego do produkcji płynów dezynfekujących. Jeszcze pod koniec 2018 r. państwo zlikwidowało bowiem swoje rezerwy alkoholu (było to od 8 do nawet 10 tys. ton surowca, trzymanych na wypadek takiego kryzysu jak epidemia). Stało się to w ramach prywatyzowania federalnego zarządu obrotu alkoholem.

– To pokazuje, że priorytety polityki bezpieczeństwa były niewłaściwe. Zamiast inwestować miliardy franków w amunicję i nowe myśliwce, rozsądniej byłoby zająć się realnym zagrożeniem dla obywateli – nie szczędzi krytyki Pierre-Alain Fridez, lekarz i polityk Socjaldemokratycznej Partii Szwajcarii.

Wolontariusze do szpitali!

Testowanie w praktyce gotowości kraju na kryzys pokazuje więc, że budowany od dekad klosz bezpieczeństwa nie jest szczelny.

Podobnie jak szwajcarskie granice podczas pandemii. Aby wjechać teraz do alpejskiego kraju, trzeba mieć rzeczywiście dobry powód, np. pozwolenie na pracę. Codziennie szwajcarską granicę przekracza ponad 330 tys. pracowników z Włoch, Francji, Niemiec i Austrii. Wielu z nich to lekarze, pielęgniarki i opiekunki osób starszych. Co trzeci pracownik szwajcarskiej służby zdrowia to obcokrajowiec.

Całkowite zamknięcie granic oznaczałoby więc dla szpitali, zwłaszcza tych

w przygranicznych kantonach, poważne problemy. Już bez tego sytuacja nie jest łatwa. Rząd zaapelował do wszystkich, którzy mają wykształcenie medyczne, by zgłosili się do wspierania kolegów i koleżanek w szpitalach. Pomagają też studenci ostatnich lat medycyny i lekarze z prywatnych klinik.

Najbardziej obciążone są szpitale w regionach przygranicznych: włoskojęzycznym Tessynie i francuskojęzycznym Vaud. Tam, gdzie są jeszcze wolne miejsca – w graniczącej z Francją Bazylei czy Jurze – przyjmuje się pacjentów z sąsiedniej Alzacji. W tym francuskim regionie brakuje łóżek na oddziałach intensywnej terapii.

Seniorzy w centrum uwagi

Szwajcarzy udowadniają, że w kryzysowych czasach ważna jest życzliwa dłoń.

Także w skali mikro. Lokalne inicjatywy sąsiedzkie wyrosły jak grzyby po deszczu. Mieszkańcy miast organizują się, by zapewnić bezpieczeństwo tym, dla których infekcja może oznaczać najgorsze. Robią zakupy, oferują wyjście z psem czy proste gesty wsparcia, jak choćby rozmowę przez telefon. Życie sąsiedzkie przeniosło się na balkony i do ogrodów. Ktoś puszcza w pierwszy dzień wiosny Vivaldiego, ktoś inny dzieli się zapasami drożdży. W sklepach to towar deficytowy. Tak jak mąka i papier toaletowy.

Ja też zgłaszam się do lokalnej grupy wsparcia, ale okazuje się, że pomagających jest już więcej niż tych w potrzebie. W rodzinach dzieci dzielą się opieką nad starszymi rodzicami. Izolację najtrudniej przeżywają ci, którzy są w domach seniora. Te, podobnie jak szpitale, zamknęły się dla odwiedzających. W kraju liczącym ponad 8 mln mieszkańców aż półtora miliona to osoby w wieku powyżej 65 lat, więc grupa ryzyka jest tu wyjątkowo liczna. Rząd zresztą powtarza, że główny cel wprowadzonych obostrzeń to ochrona najsłabszych.

Aby była ona skuteczna, wykonuje się też coraz więcej testów na COVID-19. W niektórych miastach uruchomiono punkty *drive-thru*, gdzie test można zrobić, nie wysiadając z auta. Osobom z objawami choroby, które nie są w grupie ryzyka i u których infekcja ma łagodny przebieg, zalecane jest chorowanie w domu.

Strategia środka

Szwajcarska metoda na wirusa to próba znalezienia złotego środka między zdrowotnym i materialnym bezpieczeństwem obywateli.

Szacuje się, że obecny częściowy *shutdown* kosztuje szwajcarską gospodarkę 500 mln franków dziennie. Rachunek płacą fryzjerki i kosmetyczki, które zmuszone były zamknąć salony; taksówkarze, do których aut nikt nie wsiada; kwiaciarnie i małe sklepy; restauracje i kawiarnie. Około 90 proc. szwajcarskich przedsiębiorstw to małe i średnie firmy.

„Nie da się przejść przez ten kryzys bez strat gospodarczych, ale zrobimy wszystko, żeby były one jak najmniej dotkliwe" – zapewniał Guy Parmelin, odpowiedzialny w Bundesracie za gospodarkę. Nie były to czcze obietnice. Finansowa poduszka bezpieczeństwa dla gospodarki urosła w międzyczasie do 60 mld franków. Dzięki tym pieniądzom już ponad milion pracodawców mogło – zamiast zwolnić część pracowników – zmniejszyć wysokość płaconych im pensji, przy czym otrzymują oni nadal wynagrodzenie w poprzedniej wysokości, gdyż różnicę pokrywa fundusz dla bezrobotnych. Samozatrudnieni mogą liczyć na dniówki, a firmy na tanie kredyty płynnościowe gwarantowane przez państwo. Mimo to recesja i wzrost bezrobocia wydają się nieuniknione.

Scenariusze wyjścia

Trudno jest prognozować, jak długo Szwajcaria będzie pozostawała w zawieszeniu. Już teraz mnożą się scenariusze wychodzenia z shutdownu. Jeden z nich zakłada, że kraj będzie działał w trybie on/off: naprzemienne poluzowanie środków ostrożności i ich ponowne zaciskanie, aż do momentu, gdy życie z wirusem będzie łatwiejsze dzięki powszechnie dostępnej szczepionce. Szwajcarski Związek Przedsiębiorców i Pracodawców proponuje z kolei, aby odizolować osoby z grup ryzyka, a pozostałym pozwolić normalnie żyć i pracować. Na razie jednak na powrót do normalności się nie zanosi. „To jeszcze potrwa" – ucina Alain Berset, odpowiedzialny za resort zdrowia.

W odwołanym majowym referendum Szwajcarzy mieli zadecydować o przyszłości swobodnego przepływu pracowników z krajów Unii Europejskiej. Ograniczenia imigracji chce Szwajcarska Partia Ludowa. Chwilowo wizja populistów spełnia się i bez woli narodu: rolnicy już biją na alarm, że nie poradzą sobie w tym roku bez pracowników sezonowych z zagranicy.

Szwajcarski *shutdown* ma potrwać do 19 kwietnia. Rząd nie wyklucza jednak przedłużenia stanu nadzwyczajnego.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

DOMOWE LEKCJE CZYTANIA

Literatura jest niezbędnym elementem dobrego życia. Jak czytać, żeby lepiej myśleć i działać?

W każdą **środę o godzinie 12.00** na facebookowym profilu „Lekcji czytania" dyrektor programowy Festiwalu Conrada GRZEGORZ JANKOWICZ analizuje wybrany tekst i odpowiada na Wasze pytania.

W **środę 15 kwietnia** czytamy i rozmawiamy o **„Szkatułce" Doris Lessing** w przekładzie Jacka Manickiego. Opowiadanie pochodzi z tomu „Opowieści afrykańskie", który ukazał się nakładem wydawnictwa Albatros.

Zapraszamy do uczestnictwa w transmisji na żywo na /LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

Fundacja Tygodnika Powszechnego potrzebuje Państwa wsparcia. Bezpośrednich wpłat można dokonać pod adresem powszech.net/dar przez FaniPay. Dziękujemy!

faniPay

Manhattan umiera ze strachu

MARTA ZDZIEBORSKA Z USA

Już teraz mówią w telewizji, że respiratory nie będą marnowane na starych ludzi. A ja nie chcę skończyć w ciężarówce chłodni. Boję się takiej śmierci.

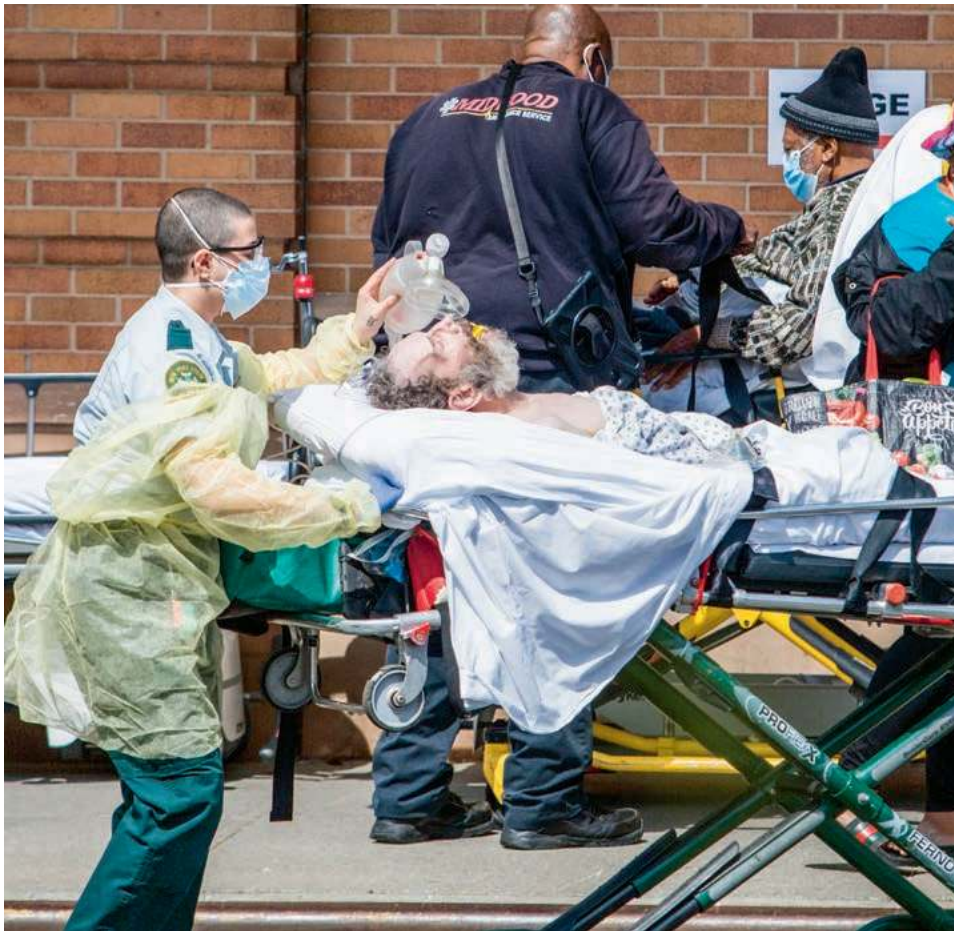

W Szpitalu Prezbiteriańskim na Manhattanie lekarze walczą jeszcze o każde życie. Na oddziałach, gdzie trafiają chorzy na COVID-19, ratowani są zarówno trzydziestolatkowie, jak i osoby starsze. Dziennik „New York Times" pisze, że w ostatnich tygodniach do respiratorów podłączano osiemdziesięciolatków cierpiących na demencję, choroby płuc, raka czy niewydolność serca.

To jednak może się zmienić, bo w ośmiomilionowym Nowym Jorku – epicentrum epidemii w USA – jest dramatycznie. W szpitalach brakuje personelu, respiratorów i sprzętu ochronnego. W niektórych do jednego respiratora podłącza się dwóch pacjentów. Serwis BuzzFeed.News donosi, że w pewnym szpitalu lekarze dostali wytyczne: nie podłączać pacjentów, którzy mają nikłe szanse.

Aby odciążyć oddziały zakaźne, w Central Parku otwarto szpital polowy. Pacjenci trafiają też do Javits Center – centrum konferencyjnego, gdzie w 2016 r. sztab Hillary Clinton zorganizował wieczór wyborczy. Dziś w tej nowojorskiej hali stoi 2,5 tys. łóżek. W mieście, gdzie z powodu COVID-19 codziennie umiera kilkaset osób, przepełnione są też kostnice. Ich funkcję coraz częściej pełnią ustawione przed szpitalami ciężarówki chłodnie. W Nowym Jorku każdy boi się, że może być następny.

Kot i telefon

Mary Ellen ma 81 lat i mieszka w dzielnicy Washington Heights, kilkanaście przecznic od Szpitala Prezbiteriańskiego.

– Gdy usłyszałam w telewizji, że koronawirusem może zarazić się nawet połowa nowojorczyków, ogarnął mnie trudny do opisania strach – mówi Mary Ellen. – Zrozumiałam, że jeśli chcę żyć, w żadnym wypadku nie powinnam opuszczać mieszkania. Po pierwsze, jestem stara. A po drugie przez lata paliłam i mam rozedmę płuc. Siedzę w domu od połowy marca. Tak bardzo się boję, że nie schodzę nawet do skrzynki pocztowej. Mogę sobie na to pozwolić, bo pomagają mi sąsiedzi z szóstego piętra. Wyrzucają mi śmieci i robią zakupy. Każde opakowanie ze sklepu przecierają chusteczkami do dezynfekcji! To wspaniali ludzie!

Mary Ellen mówi, że nie wszyscy jej znajomi mają tyle szczęścia. Opowiada historię 85-latka, któremu kończą się zapasy jedzenia i leki. Mężczyzna nie może liczyć na pomoc sąsiadów i próbuje radzić sobie na własną rękę. Ostatnio chciał zamówić leki przez telefon, ale personel apteki powiedział, że i tak musi odebrać je osobiście.

– Nie wiem, jak mu pomóc, i bardzo się o niego martwię – mówi Mary Ellen. – On jest jeszcze bardziej samotny niż ja. Na co dzień największym wsparciem dla mnie jest mój 16-letni kot. Mam nadzieję, że nie umrze do czasu wynalezienia szczepionki na koronawirusa. Nie mam komputera, więc oprócz kota moim całym życiem jest teraz komórka. Często dzwonię do znajomych i krewnych. Oglądam dużo newsów w telewizji i briefingi gubernatora stanu Nowy Jork. Niektórzy znajomi słuchają też codziennych konferencji z udziałem Donalda Trumpa, ale ja nie mam na to siły. Ten człowiek nie może zdobyć reelekcji! – krzyczy.

Spóźniona reakcja

Mary Ellen krytykuje działania prezydenta dotyczące walki z epidemią.

– Bo jak to jest, że Trump wciąż zarzucał władzom stanu Nowy Jork powolną reakcję, a sam nie powiedział złego słowa o gubernatorze Florydy? Przecież to on długo zwlekał z wprowadzeniem nakazu pozostania w domu, a na florydzkich plażach wygrzewali się turyści – oburza się. – Takie zachowanie doprowadzi do katastrofy! Już teraz Biały Dom alarmuje, że w wyniku epidemii może umrzeć nawet 200 tys. Amerykanów!

PABLO MONSALVE / VIEW PRESS / GETTY IMAGES

Wejście do izby przyjęć, gdzie dokonywana jest ocena stanu pacjentów z podejrzeniem zakażenia koronawirusem, Maimonides Medical Center, Nowy Jork, 7 kwietnia 2020 r.

81-latka mówi, że nie jest też w pełni zadowolona z działań nowojorskich władz. Tłumaczy, że kilka razy dzwoniła na miejską infolinię dla mieszkańców. Ostatnio interweniowała w sprawie zamknięcia nowojorskich parków.

– Boję się, że bez wprowadzenia większych restrykcji ta epidemia nigdy się nie skończy. Najbardziej boli mnie, że gdybym trafiła w ciężkim stanie do szpitala, nikt by mnie nawet nie próbował ratować. Już teraz mówią w telewizji, że respiratory są na wagę złota i nie będą marnowane na starszych ludzi. A ja nie chcę skończyć w ciężarówce chłodni. Boję się takiej śmierci – mówi Mary Ellen z płaczem.

Szóste piętro

Elise jest sąsiadką Mary Ellen – to ona robi dla niej zakupy.

To jedna z nielicznych okazji, gdy 37-latka wychodzi z mężem i trzyletnim synkiem z domu. Do sklepu jeżdżą tylko samochodem i to najczęściej na przedmieścia. Po swojej dzielnicy wolą nie chodzić, bo – jak mówią – na pewno krąży tutaj koronawirus.

– Nie ma dnia, żebym nie słyszała w okolicy sygnału karetki – mówi Elise. – Niedawno widziałam przez okno, jak ambulans zatrzymał się przy budynku po drugiej stronie ulicy. Ratownicy wynosili na noszach starszą panią. Nie wiem, czy zachorowała na COVID-19, ale przez takie sceny coraz częściej odczuwam strach. Ostatnio czytałam newsy o szpitalach polowych w Nowym Jorku i zastanawiałam się, do którego – w przypadku zakażenia – trafiłabym ja lub moja rodzina. Takie myślenie jest przerażające. Moją jedyną odskocznią w ciągu dnia jest wyjście na patio, które mieści się wewnątrz budynku. Mój synek bawi się wtedy zabawkami, a ja mam czas trochę poćwiczyć. Kiedyś dołączały do nas sąsiadki z dziećmi, ale teraz nikt czegoś takiego nie zaryzykuje. Chciałabym czasem wyjść z Henrym na spacer, ale trzylatkowi trudno wytłumaczyć, żeby niczego nie dotykał.

Elise siedzi z synem w domu od połowy marca. Chłopiec przestał chodzić do żłobka jeszcze przed oficjalnym zamknięciem nowojorskich placówek.

– Nie podoba mi się, że burmistrz Bill de Blasio tak długo zwlekał z podjęciem tej decyzji. Tłumaczył, że zamknięcie szkół i przedszkoli będzie dużym obciążeniem dla rodziców. A jakie to ma znaczenie, kiedy zagrożone jest życie? Ameryka powinna wprowadzić podobne restrykcje jak w Chinach. Tylko dzięki zupełnej izolacji szybko zwalczymy epidemię – przekonuje Elise, która boi się nie tylko wirusa, ale też wywołanego przez niego kryzysu.

A ten się pogłębia: tylko w drugiej połowie marca ponad 10 mln Amerykanów złożyło wniosek o zasiłek dla bezrobotnych.

Wirus bez polisy

Elise i jej mąż boją się, że mogą być następni. Oboje pracują dla międzynarodowej firmy zajmującej się przewozem dzieł sztuki. Odkąd zamknięto nowojorskie galerie i muzea, ich branża straciła dużo zamówień. Elise nie ma stałego etatu i ostatnio jej pracowniczy grafik zredukowano do jednego dnia w tygodniu. Zmiany nie dotknęły jeszcze jej męża.

– On nie może stracić tej pracy – mówi z płaczem Elise. – Dzięki jego etatowi mamy ubezpieczenie zdrowotne. Bez stałych dochodów nie będzie nas stać na dobrą polisę. A co, jeśli zachorujemy na COVID-19? Jak zapłacimy za leczenie? Ten system jest chory! – krzyczy kobieta, która podobnie jak wielu Amerykanów boi się gigantycznych rachunków medycznych.

Magazyn „Time" opisywał w marcu historię Amerykanki, która nie miała ubezpieczenia i za leczenie powikłań związanych z COVID-19 dostała rachunek na prawie 35 tys. dolarów. Na początku kwietnia rząd federalny zapowiedział jednak, że w przypadku zakażenia nieubezpieczeni Amerykanie otrzymają darmowe leczenie.

Niespodziewane rachunki medyczne to niejedyne zmartwienie Elise. Razem z mężem ma też do spłacenia kredyt hipoteczny na mieszkanie. Boi się, że epidemia doprowadzi do powtórki z kryzysu gospodarczego w 2008 r.

– Obecna atmosfera niepewności coraz bardziej przypomina mi tamte czasy – mówi. Byłam wtedy świeżo po studiach i pracowałam w Midtown na Manhattanie. Nigdy nie zapomnę, gdy szłam obok banku Lehman Brothers [to jego upadek rozpoczął kryzys – red.] i widziałam, jak z budynku wychodzili zrozpaczeni pracownicy. Trzymali pudła z rzeczami, niektórzy płakali. Wtedy kryzys zaczął się w Nowym Jorku i rozlał się na całe Stany.

Ojciec i syn

Bill, 61-latek z manhattańskiej dzielnicy Lower East Side, kryzysu wywołanego pandemią jeszcze nie odczuł. Jest nauczycielem plastyki w liceum i odkąd w stanie Nowy Jork zamknięto szkoły, prowadzi zajęcia *online*.

Bill nie myśli zresztą za dużo o pracy, bo niedługo przed wybuchem epidemii się zakochał. Każdą wolną chwilę wykorzystuje, by odwiedzić swoją dziewczynę, która mieszka w dzielnicy Harlem.

– Nie zrezygnujemy z randek, jesteśmy na początku związku i nie chcemy tego zepsuć – tłumaczy Bill. – Na szczęście mam samochód, więc nie muszę dojeżdżać do Harlemu metrem. Niektórzy mówią, że jestem nieodpowiedzialny. Trochę rozumiem ich strach, bo coraz częściej słyszy się o zakażeniach. Niedawno znajomy pięćdziesięciolatek miał powikłania z powodu COVID-19 i trafił do szpitala. To wszystko jest dołujące. Najbardziej martwi mnie jednak sytuacja, w jakiej znalazł się mój 26-letni syn Leo. W wyniku epidemii stracił wszystkie zlecenia. ↦

Bill tłumaczy, że jego syn udzielał korepetycji z muzyki i przygotowywał licealistów do egzaminów na studia. To był dochodowy biznes, bo chłopak uczył dzieci z bogatych rodzin. Zarabiał nawet 100–200 dolarów za godzinę. Dziś prowadzi tylko dwie lekcje *online* w tygodniu. Ze skromnych zarobków nie stać go na opłacenie czynszu za pokój, który wynosi 900 dolarów miesięcznie.

Leo znalazł się w podobnej sytuacji co – jak donosi „New York Times" – nawet 40 proc. nowojorskich najemców. Paraliż miasta wywołany epidemią najsilniej uderzył we freelancerów, artystów i pracowników gastronomii. Na razie chroni ich wprowadzony przez władze stanowe zakaz eksmisji na trzy miesiące.

– Syn zrobił się ostatnio bardzo nerwowy – mówi Bill. – Gdy dziś do niego dzwoniłem, krzyczał na mnie przez 20 minut. Martwię się o jego zdrowie psychiczne. Sytuacji nie ułatwia fakt, że Leo nie do końca wierzy w tę epidemię. Wciąż powtarza, że reakcja władz jest przesadzona i życie powinno wrócić do normalności. Codziennie dzwonię i dopytuję, czy siedzi w domu. Boję się, że zacznie chodzić ze znajomymi po mieście. Gdy jeżdżę do dziewczyny do Harlemu, często widzę na ulicach grupki młodych chłopaków. Cały świat śledzi tragedię w Nowym Jorku, a oni zachowują się tak, jakby nic się nie działo.

Dziesięć dni

Kontakt do Josego, portorykańskiego portiera pracującego na Uniwersytecie Columbia, dostaję od Joanny i Mariusza. Polskie małżeństwo mieszka w Nowym Jorku od siedmiu lat. On wykłada teorię muzyki na Uniwersytecie Columbia, ona – historyczka sztuki – projektuje stroje dla dzieci. Mówią, że mają szczęście, bo w dobie epidemii mogą pracować z domu, a ich największe wyzwanie to społeczna izolacja.

Zupełnie inaczej jest w przypadku Josego pilnującego kamienicy, w której mieszkają.

Już od pierwszej minuty rozmowy mężczyzna dzieli się ze mną swoją frustracją. – Nie czuję się w tej pracy bezpiecznie! – krzyczy przez telefon. – Choć w Nowym Jorku jest już kilkadziesiąt tysięcy zakażeń, dopiero w tym tygodniu uniwersytet zapewnił nam maski ochronne! Dostaliśmy je tylko dlatego, że ja i inni portierzy prosiliśmy o to nasz związek zawodowy. Dziś rozmawiałem z szefem związku. Odebrał telefon i spytał głupio, co u mnie słychać. A co ma być u mnie?! Mam 58 lat, a wciąż siedzę na tej portierni i narażam życie.

– Czy kogoś obchodzi, że moja żona jest astmatyczką, i że mogę tego wirusa przynieść do domu? – ciągnie Jose. – Pytałem przełożonych, co się stanie, jeśli zachoruję. Powiedzieli, że będę mógł pójść na 10 dni płatnego chorobowego. A przecież obowiązuje 14-dniowa kwarantanna! Jeśli będę potrzebował dłuższego leczenia, mogę wykorzystać płatny urlop. To na szczęście nie problem, bo dla uniwersytetu pracuję od 23 lat i uzbierało mi się dużo zaległych dni. Ale to nie tak powinno wyglądać! Wciąż słyszę, że jestem *essential worker* i muszę chodzić do pracy. Nawet mieszkańcy kamienicy pytają, co tu jeszcze robię. Bo komu w tych czasach potrzebny jest portier? Ale przychodzę codziennie, inaczej nie dostanę wypłaty. I tak ledwo starcza nam na opłacenie rachunków – dodaje.

Jose tłumaczy, że ze względu na epidemię zamknięto gabinet stomatologiczny, w którym jego żona pracuje jako recepcjonistka. Pracodawca płaci jej tylko 60 proc. pensji. Żeby spiąć miesięczny budżet, małżeństwo musi sięgać do oszczędności.

– Dziękuję Bogu, że w tym całym nieszczęściu mogę przynajmniej jeździć do pracy rowerem – mówi Jose. – Mieszkamy na Bronksie, niedaleko Stadionu Jankesów, więc na północny Manhattan dojadę w pół godziny. Z transportu publicznego nie korzystam, bo to najlepszy sposób na złapanie wirusa. Bardzo dbam teraz o higienę. Gdy wracam po całym dniu do domu, od razu biorę prysznic, a firmowy mundur wkładam do foliowej torby. Cała rodzina zostawia buty na zewnątrz mieszkania.

– To nie są żarty – dodaje Jose. – Kilka dni temu nasz dawny sąsiad z Bronksu zmarł na COVID-19. To był zdrowy 35-latek. Od jego matki wiem tylko tyle, że nagle dostał silnej gorączki i zaczął mieć problemy z oddychaniem. Zabrali go do szpitala i już z niego nie wrócił. Jego matka nawet nie mogła się z nim pożegnać. Umierał w samotności.

Nikt nie wie, ile będzie jeszcze takich dramatów. Tylko we wtorek, 7 kwietnia, w stanie Nowy Jork zmarło 731 osób. W całych Stanach – prawie dwa tysiące.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ARCHIWUM PRYWATNE x3

JOANNA I MARIUSZ KOZAKOWIE
z synkiem Tymkiem. Mieszkają w Nowym Jorku od siedmiu lat. Mówią, że w dobie epidemii najbardziej dojmująca jest cisza i pustki na ulicach.

ELISE Z SYNEM HENRYM
Aby odpocząć od izolacji, Elise pojechała z rodziną na wycieczkę do Harriman State Park w stanie Nowy Jork. To był ostatni moment, bo na początku kwietnia większość parków narodowych została zamknięta.

BILL
W dobie epidemii chodzi na zakupy do pobliskiego supermarketu w manhattańskiej dzielnicy Lower East Side. Aby wejść do środka, musi czekać w co najmniej 15-minutowej kolejce.

ERIK SIMANDER / EPA / PAP

Siłownia na świeżym powietrzu w Sztokholmie, 6 kwietnia 2020 r.

Szwedzka ruletka

PATRYCJA BUKALSKA

Szwecja najdłużej w Europie starała się unikać restrykcji związanych z epidemią. Czy to przejaw dojrzałości społeczeństwa, czy raczej wielki eksperyment?

Gdy Finlandia zamykała cały najludniejszy region Uusimaa, łącznie z Helsinkami, a Dania dawno już zamknęła szkoły i zabroniła spotkań w grupach większych niż dziesięć osób, w Szwecji wciąż otwarte były restauracje i kina, a nawet ośrodki narciarskie. Nietypowe szwedzkie podejście do epidemii podzieliło Europejczyków: na tych, co zazdrośnie spoglądali na zdjęcia pełnych parków, i na tych, którzy uważali to za przejaw nieodpowiedzialności.

W pierwszych dniach kwietnia coś się jednak w Szwecji zmieniło: krzywa infekcji zaczęła się piąć, a powściągliwy zwykle premier Stefan Löfven udzielił dziennikowi „Dagens Nyheter" wywiadu, w którym mówił: „Będziemy liczyć zmarłych w tysiącach. Lepiej bądźmy na to przygotowani". Dodał, że kryzys potrwa raczej miesiące. W porównaniu z wcześniejszymi spokojnymi zapewnieniami to zmiana dramatyczna.

Można nam zaufać

Kiedyś, gdy Szwecja wnioskowała o członkostwo w Unii, krążył taki żart: oto Szwedzi mieli sądzić, że to Unia do nich dołącza, a nie na odwrót. Odwoływał się on do przekonania Szwedów, iż są wzorcowymi Europejczykami. Dziś można by dodać, że również wzorcowymi obywatelami: odpowiedzialni, ufający państwu, przestrzegający prawa.

Wedle takiej interpretacji Szwedzi wybrali inną strategię na walkę z epidemią niż reszta Skandynawii nie dlatego, że są nieodpowiedzialni, lecz przeciwnie: gdyż uważają, że są superodpowiedzialni. Dlatego władze mogą im zaufać, że zachowają się, jak trzeba, i nie trzeba będzie wlepiać mandatów, jak w innych „nieodpowiedzialnych" krajach. „Nie można zakazać wszystkiego – argumentował premier. – To kwestia zdrowego rozsądku".

Kraj wprowadzał więc ograniczenia, ale niewielkie i powoli: zalecano pracę zdalną i samoizolację osób powyżej 70. roku życia oraz zamknięto uczelnie, ale przedszkola i podstawówki działały nadal. Zakazano zgromadzeń powyżej 500 osób, aby dopiero po jakimś czasie ustalić limit na 50 osób. Na ulicach i w parkach życie toczyło się jak zawsze – przynajmniej do pierwszych dni kwietnia.

Nie bądźmy wyjątkiem

Twarzą tej strategii jest główny epidemiolog Anders Tegnell. W licznych wywiadach wyjaśniał, że chodzi o spowolnienie rozprzestrzeniania się infekcji, by nie obciążać służby zdrowia, i zaprzeczał, by celem była „odporność stadna", tak niemiło rezonująca w mediach (o czym przekonali się Brytyjczycy, którzy początkowo zmierzali w jej stronę). Tegnell przyznał jednak, że osiągnięcie owej zbiorowej odporności nie jest sprzeczne z celem władz.

I zwykli Szwedzi, i politycy zazwyczaj ufają ekspertom, do czego przyczynia się słynna niezależność tutejszych instytucji państwowych. Jednak opinii Tegnella nie podzielało od początku wielu kolegów po fachu. Pod koniec marca ponad 2 tys. lekarzy i naukowców podpisało apel do rządu o zmianę strategii – na tę zgodną ze wskazówkami WHO. „Wciąż mamy trochę czasu, by zareagować i stłumić wirus. Nasz naród nie powinien być wyjątkiem w Europie. Domagamy się, by rząd zaczął działać teraz" – pisali.

Niektórzy sygnatariusze nie przebierają w słowach: w mediach mówią o społeczeństwie prowadzonym ku katastrofie, rosyjskiej ruletce, „szalonym eksperymencie" i „cholernie poważnej" sytuacji. Obywatele jednak wciąż wierzą rządowi: na początku kwietnia 44 proc. pytanych deklarowało duże zaufanie do premiera, podczas gdy w lutym było to 26 proc.

Gorzej niż u sąsiadów

Wielka Brytania, która też chciała uniknąć „zamykania kraju", zmieniła podejście; powodem były prognozy liczby zgonów. Szwedzkie władze również są pod presją. Tym bardziej że widać już kontrast z sąsiednimi krajami: na początku kwietnia w Szwecji było prawie 600 zmarłych – więcej niż w Danii, Norwegii i Finlandii razem wziętych. Kontrast jest jeszcze większy, gdy uwzględni się liczbę zgonów na milion mieszkańców. Możliwe więc, że Szwedzi będą musieli wprowadzić dalsze ograniczenia. Wprawdzie premier uważa, że wcześniejsze decyzje były słuszne, ale nie kryje, iż trzeba dostosowywać się do sytuacji.

Ale restrykcje wprowadzone zbyt późno mogą nie przynieść oczekiwanych efektów. Szwedzka strategia jest ryzykowna. Jak bardzo? Odpowiedź poznamy być może wkrótce. ©℗

Tekst ukończono 7 kwietnia.

Kiedyś pójdę na drugą stronę

MAREK RABIJ

Pandemia odcięła od zleceń największą szwalnię świata, jaką stał się Bangladesz. Widmo kryzysu straszy teraz polityków przesunięciem nastrojów w kierunku islamskiego radykalizmu.

Po wyjściu z domu od razu w prawo, ok. 600 metrów wzdłuż niedawno zbudowanych chatek z blachy falistej, która nie pokryła się jeszcze brudem, i o świcie, gdy odbija się w niej słońce, cuci zaspane zmysły kolorowymi refleksami. Następnie skok nad wykopem, którym kiedyś podobno dotrze na osiedle kanalizacja, a w którym na razie stoi cuchnąca nieczystościami woda. Teraz skręt w lewo, wzdłuż szpaleru handlarzy rozkładających towary. I kolejny etap: oczekiwanie na przejściu kolejowym, w tłumie jednakowo zaspanych kobiet, aż biegnącymi przez slums torami przemknie poranny ekspres. Pociąg nigdy nie zwalnia i w twarze za szlabanem uderza chmura żółtego pyłu, zmieszanego z papierami i kawałkami plastiku, które walają się po całej Dhace, stolicy Bangladeszu.

Shakira Akter zna na pamięć każdy metr tej trasy. Od ponad pięciu lat przemierza ją co najmniej dwukrotnie, sześć dni w tygodniu: rano i późnym popołudniem, gdy skończy nadgodziny w szwalni. Odcinek od domu do przejścia kolejowego pokonuje w osiem minut. Kwadrans zajmuje oczekiwanie na pociąg, jeśli nie uda się przemknąć przed jego przejazdem. A za torami do pokonania ma jeszcze półtora kilometra wyboistego traktu z resztkami ceglanej nawierzchni, pamiętającej chyba czasy brytyjskie, w tłumie tysięcy kobiet i mężczyzn zmierzających w tym samym kierunku – do sześciu wielkich szwalni.

Gdy Shakira szła tędy po raz pierwszy – dwa tygodnie po tym, jak w poszukiwaniu pracy opuściła rodzinną wieś przy granicy z indyjskim stanem Meghalaya – przejście przez dwupasmówkę pełną aut i riksz prowadzonych przez facetów zachowujących się jak drogowi harcownicy wydawało jej się kuszeniem losu.

– Teraz jest tam tak pusto, że aż dziwnie się człowiekowi robi – wyjaśnia. – Od kilku dni pod wieczór chodzę sobie do asfaltowej drogi dla zabicia czasu, bo policja nie zabrania nam poruszać się po osiedlu. Ścigają jedynie tych, którzy próbują je opuścić. Patrzę na fabryki po drugiej stronie i modlę się, żeby Bóg, który zesłał tego koronawirusa, pozwolił nam szybko wrócić do pracy.

Drżący głos Shakiry stojącej obok tłumacza, który przekazuje mi jej słowa przez internetowy komunikator, wydaje się najdokładniejszym miernikiem siły tej modlitwy.

Ryż na cztery dni

Pierwszy przypadek COVID-19 potwierdzono w Bangladeszu 8 marca. Dwa tygodnie później, gdy rząd ogłosił, że od 26 marca w całym kraju zacznie obowiązywać kwarantanna, oficjalny licznik zachorowań wskazywał 39 przypadków i pięć zgonów.

W realiach tego przeludnionego państwa, gdzie na powierzchni zbliżonej do Bułgarii mieszka populacja równa blisko połowie mieszkańców Unii Europejskiej, rzeczywista skala epidemii musiała być oczywiście wyższa. Rządowe statystyki oddawały najwyżej dostępność testów, na które stać garstkę najbogatszych. W osiedlu Shakiry, położonym w północno-wschodniej części Dhaki, zagrożenia koronawirusem długo nie traktowano poważnie. A raczej, jak zastrzega dziewczyna, długo nie wydawało się ono realne.

– Tu co jakiś czas mamy jak nie grypę, to różne biegunki – ciągnie Shakira, robiąc przerwy dla tłumacza. – Lekarze mówią, że to od złej wody, w której się myjemy i pierzemy, bo do picia się nie nadaje. Co rusz ktoś gorączkuje, wszyscy kaszlą od zanieczyszczonego powietrza. Nowa choroba po prostu nie wydawała się nam niebezpieczna.

Wirus zrobił się groźny dopiero, gdy rząd wprowadził kwarantannę. Wstrzymano kursy popularnych na prowincji autobusów. Na rogatkach miast ustawiono punkty kontrolne mające wyłapywać tych, którzy ośmielą się złamać zakaz i ruszą w podróż własnym środkiem transportu czy choćby pieszo. W swoistym geście solidaryzmu elit z biedotą władze uziemiły nawet większość krajowych lotów.

Niestety, stanęły także stołeczne szwalnie, przędzalnie i garbarnie, dające utrzymanie setkom tysięcy ludzi, którzy – jak Shakira – przeprowadzili się do Dhaki w poszukiwaniu lepszych zarobków.

Wiele fabryk w Bangladeszu nadal płaci robotnikom w systemie tygodniowym. Po podwyżce pensji minimalnej, wywalczonej przez strajkujące szwaczki przed wyborami w 2018 r., przeciętne zarobki szeregowych pracownic sektora odzieżowego wzrosły z ok. 90 do 130 dolarów miesięcznie. Niestety, w ślad za wzrostem zarobków wzrosły też czynsze i ceny żywności.

PACIFIC PRESS AGENCY / FORUM

Właściciele ogłaszają zamknięcie szwalni ze względu na zagrożenie koronawirusem, Dhaka, 5 kwietnia 2020 r.

– Nadal żyjemy od wypłaty do wypłaty – mówi Shakira. – Nie da się nic odłożyć, nie mamy żadnych oszczędności ani większych zapasów. Ryż skończy mi się za cztery dni. Zachodni wirus mnie pewnie nie zabije, jestem młoda i silna. Bez jedzenia nie przeżyję.

Skok cywilizacyjny

Pracownice szwalni nazywają go „wirusem zachodnim", choć znają jego prawdziwe pochodzenie. Do Bangladeszu ściągnęły go przecież te same sieci globalnych powiązań biznesowych, które tutejszym fabrykom odzieżowym dostarczają zlecenia od zachodnich firm.

Pięć tysięcy bangladeskich szwalni zatrudnia blisko 3,8 mln osób i rocznie wypracowuje 34 mld dolarów, tj. blisko 12 proc. PKB. Produkcja odzieży na eksport już kilkanaście lat temu stała się motorem napędowym gospodarki rolniczego do niedawna kraju. Dlatego podporządkowano jej edukację (w szkołach uczy się obsługi maszyn do szycia), inwestycje w infrastrukturę, a nawet politykę społeczną, która od lat sprowadza się do utrzymywania kosztów pracy na możliwie jak najniższym poziomie. „Konkurencyjność" rynku pracy, którą chwali się rząd premier Sheikh Hasiny, ma zwracać się obywatelom dzięki rosnącym wpływom budżetowym z podatków, które z kolei pozwalają finansować modernizację kraju, uważanego do niedawna za jeden z najbiedniejszych zakątków globu.

Od początku XXI wieku Bangladesz dokonał wielkiego modernizacyjnego wysiłku, finansowanego z eksportu. PKB kraju wzrosło z niespełna 53,4 mld dolarów w roku 2000 do ponad 288 mld dolarów na koniec 2018 r.

Jednak teraz do tego równania wielką niewiadomą dopisał nieoczekiwanie koronawirus. Zagraniczni kontrahenci, spodziewając się zahamowania sprzedaży, z dnia na dzień ścięli zamówienia w bangladeskich fabrykach aż o 1,4 mld euro. – To oznacza, że w szwalniach nagle zabrakło pracy dla ok. 1,2 mln osób – uzupełnia rachunek Rubana Huq, szefowa Bangladeskiego Stowarzyszenia Eksporterów i Producentów BGMEA.

Bez powrotu

Rubana, pierwsza kobieta na tym stanowisku – a prywatnie znana poetka i żona jednego z byłych burmistrzów Dhaki – nie ma dobrych wiadomości dla stołecznych szwaczek.

W samej Dhace i okolicznych miejscowościach działa blisko 65–70 proc. bangladeskich szwalni. Można więc z grubsza założyć, że w tej ponad 20-milionowej aglomeracji w ciągu tygodnia bez pracy znalazło się ok. 700–800 tys. osób, głównie młodych kobiet. Co prawda właściciele fabryk zapewniają, że zrobią, co w ich mocy, żeby nie zwalniać ludzi, ale przy okazji zaznaczają, że w istocie mogą niewiele.

Biznes modowy od lat trzyma się reguły *fast fashion*, czyli dużej liczby niewielkich kolekcji, które można, zależnie od okoliczności, wprowadzić szybko do sklepów lub równie szybko wycofać z produkcji. Obecnie nikt nie składa nowych zamówień, a wcześniejsze anulowano lub zmniejszono. W rezultacie już prawie jedna piąta fabryk w Dhace nie ma w tej chwili nic do roboty – i żadnych zleceń na kolejne trzy-cztery miesiące.

Shakira: – Rząd wydłużył kwarantannę do 11 kwietnia. Nie wiem, co usłyszę w fabryce, kiedy w końcu pozwolą nam przejść na drugą stronę ulicy. Wracać do rodzinnej wsi nie mam po co. Nikt mi tam ryżu nie da za darmo, a pracy nie ma.

Na dobre i na złe

W Dhace, gdzie w centrum gęstość zaludnienia sięga 7 tys. osób na kilometr kwadratowy, wybuch epidemii wydaje się pewny. Kwarantanna ma dać rządowi czas, aby przygotować się na apogeum zachorowań. Możliwe jednak, że przyniesie skutek odwrotny, bo tysiące pozbawionych środków do życia szwaczek i robotników po cofnięciu zakazów ruszą zapewne w rodzinne strony. Skalę desperacji władz, próbujących zatrzymać ludzi w dotychczasowych miejscach zamieszkania, najlepiej ilustruje chyba rządowy program wsparcia dla ok. 100 tys. stołecznych prostytutek (wcześniej rząd uparcie zaniżał dane dotyczące liczby tych kobiet, do ok. 12 tys.).

„Jesteśmy silni. Nasza gospodarka jest silna i wyjdzie z tego bez szwanku" – zapewniała kilka dni temu czytelników stołeczna „Dhaka Tribune". Gazeta znana jest z publikacji zbiorowego poematu na cześć prorozwojowej polityki premier Hasiny, który napisało wspólnie kilkudziesięciu czołowych poetów kraju.

Rząd twierdzi, że pandemia grozi najwyżej chwilowym wahnięciem koniunktury, i na razie nie rewiduje optymistycznych tegorocznych prognoz, mówiących o ponad siedmioprocentowym wzroście PKB. Niemal pewna recesja w krajach zachodnich musi jednak uderzyć mocno w bangladeskie fabryki, ich pracowników i wreszcie w państwo.

Stąd już blisko do scenariusza, którego prozachodni rząd Sheikh Hasiny boi się najbardziej: wolty w stronę radykalnego islamu.

Rashedul Islam, 30-letni właściciel szkoły języka angielskiego w nadmorskim Cox's Bazar, mówi wręcz o zdradzie: – Uwierzyliśmy, że kraje zachodnie związały się z nami na dobre i na złe, że jedziemy na jednym wózku wolnego rynku. Nagle przychodzi kryzys i zostawiacie nas z dnia na dzień bez dochodów, bez szans na rozwój. Dotąd śmiałem się z ludzi, którzy uważali, że Bangladesz nie powinien robić interesów z niewiernymi. Tłumaczyłem, że pieniądze nie mają wyznania. Teraz mogę się śmiać z siebie samego. ©℗

Współpraca: ALI AHSAN, Bangladesz

SALTO MORTALE EPISKOPATU

70 lat temu Kościół w Polsce podpisał z komunistycznym państwem umowę, która w teorii gwarantowała mu przetrwanie. Zaskoczyła ona Polaków w kraju i na emigracji.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

W trzecim roku istnienia pojałtańskiej Polski klamka zapada. W styczniu 1947 r. komuniści fałszują wybory do Sejmu i przejmują pełnię władzy, stopniowo niszcząc legalną opozycję (Polskie Stronnictwo Ludowe) i zbrojne podziemie. Pozostaje ostatnia niezależna siła: Kościół katolicki. Celem komunistów jest jego ubezwłasnowolnienie i wykorzystanie.

Aparat władzy używa do tego narzędzi jawnych i ukrytych. W tych ostatnich specjalizuje się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Zgodnie ze strategią Stalina – stosowaną z sukcesem w Związku Sowieckim – władze próbują rozbić Kościół od środka i we wrześniu 1949 r. animują ruch „księży patriotów". W sukurs idzie im tzw. postępowy laikat z grupy Dziś i Jutro (późniejszego Stowarzyszenia PAX).

Państwo wkracza na wojenną ścieżkę z Kościołem, znaczoną aresztowaniami duchownych, laicyzacją życia społecznego, presją cenzury, zmuszeniem biskupów do zawieszenia działalności stowarzyszeń katolickich (listopad 1949 r.), zawłaszczeniem charytatywnej instytucji Caritas (styczeń 1950 r.), internowaniem bp. Kazimierza Kowalskiego (luty-marzec 1950 r.), przejęciem kościelnych dóbr tzw. martwej ręki (marzec 1950 r.).

W tej sytuacji Episkopat szuka ratunku – w dialogu.

„Zatrzymaliśmy walec"

Stefan Wyszyński – od 1948 r. metropolita warszawski oraz gnieźnieński, i w tej roli także prymas Polski – dąży do utworzenia gremium porozumiewawczego między biskupami a ludźmi władzy. Ci ostatni proponują, by zajęła się tym komisja, nazwana później Komisją Mieszaną. Episkopat wyznacza do niej otwartych na dialog hierarchów Zygmunta Choromańskiego, Michała Klepacza i Tadeusza Zakrzewskiego. Władze reprezentują zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR Franciszek Mazur, wiceminister obrony Edward Ochab i minister administracji Władysław Wolski.

Rozmowy zaczynają się w Warszawie 5 sierpnia 1949 r. Utrudnia je różnica ideologiczna między komunizmem a nauką Kościoła i brak zaufania z obu stron. Prymas uważa jednak, że podczas II wojny światowej Polska straciła zbyt wiele krwi i nie może sobie pozwolić na jej dalszy upływ. Że trzeba zyskać czas i wzmocnić siły do, jak mówi, „obrony Bożych pozycji". Z kolei władze chcą umowy, bo w ich zamyśle ma ona pogłębić podziały w Kościele i stworzyć iluzję jego współistnienia z komunistycznym państwem. Dzięki niej ma powstać precedens zawierania porozumień z władzami przez Kościoły z krajów za żelazną kurtyną przy pominięciu Watykanu. Widać w tym rękę Kremla.

Rozmowy budzą wątpliwości hierarchów. Nie chce się w nie wikłać krakowski kardynał Adam Sapieha. Podczas konferencji Episkopatu w marcu 1950 r. Wyszyński przekonuje, że porozumienie trzeba zawrzeć. Argumentuje, że wypełni ono lukę prawną w relacjach państwa z Kościołem, jaka powstała po zerwaniu przez komunistów konkordatu we wrześniu 1945 r. Prymas łudzi się, że nowa umowa zwiąże władzom ręce i zahamuje niszczenie Kościoła.

Ostatecznie biskupi opowiadają się za porozumieniem, które zostaje podpisane 14 kwietnia 1950 r. w Warszawie. Konfident UB zanotuje wypowiedź prymasa: „Zatrzymaliśmy walec, który miał nas zmiażdżyć".

Szok dla uwięzionych

W umowie biskupi deklarują poszanowanie dla władzy i stanowionych przez nią praw, wzywają do odbudowy kraju,

PAP

Ingres do katedry warszawskiej nowego prymasa Polski arcybiskupa Stefana Wyszyńskiego (w środku pod baldachimem), Warszawa, 6 lutego 1949 r.

potwierdzają przynależność ziem poniemieckich do Polski i wolę utworzenia tam stałej administracji kościelnej. Uznając autorytet papieża w sprawach wiary, inne problemy chcą rozstrzygać zgodnie z racją stanu państwa. Zobowiązują się nie nadużywać uczuć religijnych przeciw państwu. A także odżegnują od niepodległościowego podziemia.

Zwłaszcza to ostatnie – w tym fakt, że w umowie użyto zwrotu „bandy podziemia" – wywołuje u wielu jego działaczy szok i gorycz. Szczególnie wśród tych, którzy odsiadują kary więzienia. Jak Mieczysław Pszon, ostatni delegat rządu RP w Małopolsce: skazany na karę śmierci, zamienioną na dożywocie, siedzi w Rawiczu i we Wronkach z perspektywą, że spędzi tam resztę życia. Po latach będzie wspominać, że dla niego i jego towarzyszy z celi wieść o tej umowie była wstrząsem.

Jezuicki prowincjał ojciec Edward Bulanda, aresztowany w styczniu 1950 r. i więziony na Mokotowie, wspominał potem, że „Trybunę Ludu" – organ prasowy władz – z informacją o umowie czytali w celi wszyscy, nie chcąc w nią wierzyć. Zakonnik musiał wyjaśniać współwięźniom, w większości młodym żołnierzom AK, przyczyny decyzji Episkopatu.

Dla uwięzionych kiepską pociechą był zapewne argument, że władze dały Kościołowi wiele gwarancji, m.in. nauczania religii w szkołach i istnienia szkół katolickich. Katolicki Uniwersytet Lubelski mógł istnieć, a duchowni prowadzić działalność charytatywną. Prasie i wydawnictwom kościelnym gwarantowano wolność słowa. Komuniści deklarowali, że nie będą przeszkadzać w kulcie publicznym, przyznali swobodę działania zakonom. Po długich debatach uznali, że papież jest najwyższym autorytetem Kościoła w sprawach wiary, moralności i jurysdykcji kościelnej.

„Walka w nowych formach"

Umowa wywołuje żywe dyskusje nie tylko w więzieniach, lecz także w całym kraju.

Wśród ludzi z partii rządzącej panuje przekonanie, że władze jej nie dotrzymają. I trafnie: już w maju 1950 r. prezydent Bolesław Bierut tłumaczy Stalinowi, że na bazie tego korzystnego dla władz kompromisu komuniści w Polsce będą rozwijać „dalsze natarcie" na Kościół. Bierut wymienia profity – jak osłabienie autorytetu Watykanu, odżegnanie się przez Kościół od podziemia i udział duchownych w „walce o pokój" (to hasło wykorzystywane chętnie przez komunistów także wobec Europy Zachodniej).

Aparat władzy instruuje kadry partyjne, że umowa to kontynuacja „walki ↦

↦ w nowych formach". „Porozumienie jest zwycięstwem władzy ludowej i wyrazem jej rosnącej siły" – głosi instrukcja Biura Politycznego dla pierwszych sekretarzy komitetów wojewódzkich z 15 kwietnia. Podczas narady redaktorów prasy partyjnej 18 kwietnia Ochab uznaje umowę za sukces, który zaskakuje „reakcję krajową i zagraniczną". Zaleca jej wykorzystanie propagandowe – zwłaszcza sprawę administracji kościelnej na ziemiach poniemieckich – do pogłębienia różnic między Episkopatem i Watykanem. Precyzuje, że jest to „kompromis z siłą klasową obcą i nieprzejednanie wrogą".

Różowo nie jest

Umowa wywołuje duże poruszenie wśród duchownych. Opinie są podzielone. Sapieha ocenia, że władze jej nie dotrzymają i że jest ona trikiem mającym pokazać, iż komunizm da się pogodzić z katolicyzmem. Tarnowski biskup Jan Stepa podczas zebrania księży dziekanów odczytuje punkty umowy zapewniające prawa Kościołowi – i dodaje ze sceptycznym uśmiechem: „Co daj Boże". W rozmowie z „zaufaną osobą" Choromański oznajmia, że umowa nie jest kapitulacją Kościoła, lecz aktem jedynym możliwym: „Otrzymaliśmy maksimum tego, co można było otrzymać". Biskup mówi też, że Wyszyński lojalnie wykona umowę. W innej rozmowie ocenia, że spodziewa się sprzeciwu księży, którzy uważają (wedle niego: „ulegają propagandzie"), iż Episkopat ich zdradził i stracił zaufanie Watykanu. W ocenie hierarchy po umowie wzrosło zaufanie wiernych do Sapiehy, a zmalało do Wyszyńskiego.

Niektórzy księża w Warszawie uważają, że porozumienie to efekt słabości Episkopatu. Urząd Bezpieczeństwa odnotowuje niechętne wypowiedzi na ten temat. I tak, wikariusz parafii św. Michała w kazaniu 16 kwietnia mówi, że prawie wszyscy apostołowie wyparli się Chrystusa, więc „nie ma się czemu dziwić, jeżeli i dzisiaj są wysocy dostojnicy, którzy robią to samo".

Ale są też zwolennicy umowy. Ksiądz Jan Zieja widzi w niej ratunek Kościoła przed schizmą – podziałem w Kościele na tle stosunku do władz. Księża w województwie katowickim są niepewni, czy Watykan zaaprobuje ten akt. Na ogół niższe duchowieństwo jest z niego zadowolone: uważa, że przyniesie pożytki dla państwa i Kościoła. Ale panuje też opinia, że zgoda nie potrwa długo, bo władze zaczną nową walkę z Kościołem. Duchowni na Kielecczyźnie i w Łodzi obawiają się rozłamu w Episkopacie. Wielu kapłanów ocenia, że biskupi dokonali niezrozumiałego salto mortale.

Natomiast „księża patrioci" przyjmują porozumienie z zadowoleniem. Choć są wśród nich malkontenci: duchowni z Sopotu uznają, że nie będą już potrzebni władzom, a Episkopat będzie ich szykanował.

Umowę komentują też środowiska zakonne. Według Urzędu Bezpieczeństwa np. siostry pasterki są zadowolone, bo uważają, że będą mogły dalej prowadzić zakłady opiekuńcze. Sakramentki sądzą, że warunki porozumienia „nie są różowe", a biskupi poszli na duże ustępstwa. Siostry miłosierdzia oceniają, że umowa jest koniecznością. Paulini są zdania, że „lepszy taki pokój niż wojna". Augustianie są zadowoleni, że mają zapewnioną egzystencję dla swoich klasztorów. Niektóre zakony mają za złe biskupom, że nie dopilnowali ich interesów.

Jednak podczas kazań wygłaszanych w niedzielę 23 kwietnia sprawa porozumienia jest na ogół przemilczana. W ocenie bezpieki większość z nich nie zawiera „ciekawszych momentów". Tylko niektóre są – w zawoalowany sposób – krytyczne wobec umowy.

„Czerwony kardynał"

Także świeccy katolicy są podzieleni. Nie brakuje głosów krytyki wymierzonych w prymasa, któremu zarzuca się naiwność. Umowa zostaje źle odebrana przez mieszkańców Górnego Śląska, którzy nazywają Wyszyńskiego „czerwonym kardynałem". Większość Polaków chyba nie wierzy, że obietnice komunistów są szczere i trwałe. Panuje przekonanie, że umowę zawarto pod presją. Padają pytania, dlaczego nie podpisał jej Sapieha – i zastrzeżenia, że biskupi zawarli ją bez zgody papieża Piusa XII.

Ale niektórzy świeccy wiążą z porozumieniem nadzieje – widzą w nim krok do złagodzenia relacji państwo–Kościół. Oceniają, że to wydarzenie ważne dla odbudowy państwa. Tajna policja odnotowuje głos, że władze dobrze zrobiły zawierając umowę, lecz Kościół jej nie dotrzyma, bo jest silnie związany z tradycją. Co ciekawe, z materiałów bezpieki wynika, że członkowie PZPR i robotnicy w województwie gdańskim oceniają, iż odtąd będzie można swobodnie chodzić do kościoła. Wśród tamtejszego laikatu panuje zadowolenie, że „nareszcie zniknie stan niepewności i oczekiwania".

W grupie Dziś i Jutro dominuje radość z sukcesu własnej polityki i przekonanie o historycznym znaczeniu porozumienia. Środowisko to uważa, że akt ten jest dla Zachodu dowodem, iż ułożenie stosunków katolików z komunistami jest możliwe.

Akcja wyjaśniająca

Biskupi widzą, jak różne reakcje wywołało to, co zrobili – i podejmują działania, by uzasadnić sens umowy. Na zjeździe duszpasterzy szkolnych w Łodzi bp Klepacz mówi, że jest ona „płodem niedonoszonym" (sic!), bo jej podpisanie nastąpiło pod presją władz, a zwłoka Episkopatu przyniosłaby nowe uderzenia w Kościół. Choć umowie nie wróży „długiego żywota", to podkreśla, że księża muszą wykazać maksimum dobrej woli. Klepacz nie dopuszcza do żadnej dyskusji na temat dokumentu.

Z kolei podczas zebrania księży z Warszawy Choromański oznajmia, że umowa uderza w „rewizjonistów niemieckich, londyńskich i emigracyjnych" (sic!). Twierdzi, że względnie dobrze komentuje ją Ameryka: z jednej strony jako chęć władz do „nieprzeciągania struny", a z drugiej jako pragnienie uniknięcia przez Episkopat dalszych klęsk i ocalenia tego, co można ocalić. Według biskupa Watykan był informowany o mającym nastąpić porozumieniu i nie wyrażał dezaprobaty.

Zgodnie z instrukcją Choromańskiego, przedstawiając wiernym sens umowy, księża mają akcentować, że Episkopat chciał skierować wszystkie siły duchowieństwa do jak najbardziej pozytywnej pracy religijnej, moralnej i dobroczynnej, zgodnie z potrzebami katolickiego narodu. W sukurs biskupom idzie prasa katolicka, która wyjaśnia sens porozumienia. W podobnym tonie wypowiadają się pisma „postępowych" katolików.

Punktem kulminacyjnym akcji wyjaśniającej jest komunikat, przygotowany podczas Konferencji Plenarnej Episkopatu w Gnieźnie (21-22 kwietnia) i przeznaczony do odczytania w kościołach w niedzielę 30 kwietnia. Nad jego treścią toczy się wśród biskupów żywa dyskusja. W komunikacie mowa jest o trud-

nych okolicznościach powstania porozumienia oraz o tym, że zabezpiecza ono sprawy najważniejsze dla Kościoła. Podkreśla się sprawę pokoju, którego „tak potrzeba polskiej ziemi”.

Według UB w większości kościołów księża odczytują słowa biskupów „poprawnie i bez komentarzy”, choć jest kilka incydentów. Na przykład w kościele bernardynów w Krakowie ksiądz oświadcza: „To, co odczytałem, jest mało ważne, natomiast ważne jest, aby wiara katolicka się wzmacniała i aby katolicy nie dali się mamić”. W kościele Wszystkich Świętych w Warszawie ksiądz wzywa, by katolicy „nie uginali się w walce”.

Resort ocenia, że odczytanie komunikatu „podziałało na masy pozytywnie, gdyż zadało kłam wrogiej propagandzie, że tekst porozumienia jest w prasie podany fałszywie bez zgody biskupów i prymasa”.

„Mnie starego wystawiliście”

Już 15 kwietnia Wyszyński informuje Watykan o umowie, co wywołuje tam zaskoczenie. Nerwowe reakcje za Spiżową Bramą wzmaga plotka, że Kościół w Polsce zawarł wręcz konkordat.

Kard. Sapieha, który jeszcze w kwietniu 1950 r. jest w Rzymie, w rozmowach z Piusem XII i urzędnikami watykańskimi wyjaśnia jej sens i broni prymasa. Przekonuje, że porozumienie jest zwycięstwem Kościoła w Polsce, który jako jedyny w krajach za żelazną kurtyną zyskał gwarancję dalszej pracy. Ale kardynałowi nie udaje się do końca przekonać środowiska watykańskiego. Ma podobno żal do innych polskich biskupów, że musiał sam jechać do Rzymu: „Mnie starego wystawiliście, bym zaznał tyle goryczy”.

Watykan nie wydaje oficjalnego komunikatu po zawarciu porozumienia. Wie, że mógłby on mieć niekorzystne skutki dla Kościoła w Polsce. Ale zadra tkwi. Podczas obrad Komisji Głównej Episkopatu 20 maja 1950 r. Sapieha odczytuje list, podpisany przez podsekretarza Sekretariatu Stanu Domenica Tardiniego, który zawiera zastrzeżenia do rangi podpisanego dokumentu, niektórych jego punktów i języka tekstu (jest oczywiste, że Tardini nie zrobił tego na własną rękę, i że za tym listem stoi Pius XII).

W czerwcu Wyszyński odpowiada: broniąc umowy, ocenia, że była konieczną, której nie dało się uniknąć – Kościołowi w Polsce nie pozostało nic innego, jak bronić tego, co się jeszcze dało bronić. Także podczas swojej wizyty w Rzymie, w kwietniu 1951 r., Wyszyński musi się tłumaczyć. Ostatecznie uzyskuje akceptację Piusa XII dla swojej polityki. Ale w ocenie pracownika Sekretariatu Stanu Giovanniego Montiniego (późniejszego papieża Pawła VI) Watykan nigdy formalnie nie zatwierdza tej umowy.

ARCHIWUM KS. ANDRZEJA MISTATA

Kard. Adam Sapieha witany na rzymskim dworcu Termini. Z prawej widoczny kard. Angelo Roncalli, późniejszy papież Jan XXIII. Kwiecień 1950 r.

Podczas wizyty w Watykanie kardynał Sapieha musi się tłumaczyć z umowy z komunistami. Ma podobno żal do innych polskich biskupów, że musiał sam jechać do Rzymu: **„Mnie starego wystawiliście, bym zaznał tyle goryczy”** – powie potem.

„Zawieszenie broni”

Dokument wywołuje również rezonans międzynarodowy. Na przykład sowiecki tygodnik „Nowoje Wriemia” stwierdza, że porozumienie wywołało zadowolenie katolików w Polsce, a dla Watykanu jest ciosem, bo „demaskuje” jego „oszczerstwa o rzekomych prześladowaniach Kościoła w Polsce”.

Z kolei brytyjski konserwatywny dziennik „The Daily Telegraph” ocenia, że komunistom nie zależy na sekularyzacji Kościoła, lecz zinfiltrowaniu duchowieństwa i przekształceniu Kościoła w instytucję podległą państwu. Dziennik orzeka, że władze doprowadziły do umowy za pomocą nacisków i nacjonalistycznych frazesów.

Natomiast zachodnioniemiecka „Die Neue Zeitung” uważa, że część umowy dotycząca budowy administracji kościelnej na ziemiach poniemieckich jest iluzją, podobnie jak zobowiązanie Kościoła do zwalczania podziemia; umowa ma być tylko „zawieszeniem broni”.

Wydawana w Szwajcarii „Gazette de Lausanne” donosi, że zdaniem Watykanu ugoda nie mogła być zawarta w brzmieniu podanym przez Warszawę. Władze komunistyczne zarzucają Watykanowi, że odmawia uznania ziem poniemieckich za polskie, lecz on może to zrobić dopiero po zawarciu traktatu pokojowego z Niemcami. Według gazety rządzący muszą się liczyć z przywiązaniem Polaków do katolicyzmu, Watykan zaś musi uważać w swej polityce, by wierni w Polsce nie zostali narażeni na represje.

Ciąg dalszy nastąpił

Ludzie polskiego Kościoła szybko zdają sobie sprawę, że porozumienie, które podpisali, jest iluzoryczne – komuniści systematycznie łamią jego postanowienia i zaostrzają politykę wyznaniową. Złudzenie co do możliwości ułożenia stosunków z komunistami szybko traci też prymas Wyszyński. Już w czerwcu 1950 r. mówi w rozmowie z „zaufaną osobą”: „Dość już pertraktacji, nigdy nie pójdę na rozmowy, gdyż one do niczego nie doprowadzają. Lepsza jest pozycja Kościoła, kiedy wojuje, wówczas władze bardziej się liczą, chociaż są ataki w prasie i represje”.

Kolejne lata przyniosą praktyczne rozwinięcie tych słów, a porozumienie stanie się nic nieznaczącą kartą papieru. Gdy we wrześniu 1953 r. Wyszyński zostanie aresztowany, nikt w Polsce nie będzie nazywać go już „czerwonym kardynałem”. © BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest historykiem, pracuje w IPN w Warszawie. Wkrótce ukaże się jego nowa książka o działalności zakonu jezuitów w stolicy w latach 1945-56.

NAUKA

NIEDOSZŁA KATASTROFA

Pięćdziesiąt lat temu swoją sześciodniową odyseję przeżyła załoga Apolla 13. Co się właściwie stało? I dlaczego o tym ciągle pamiętamy?

PIOTR STANKIEWICZ

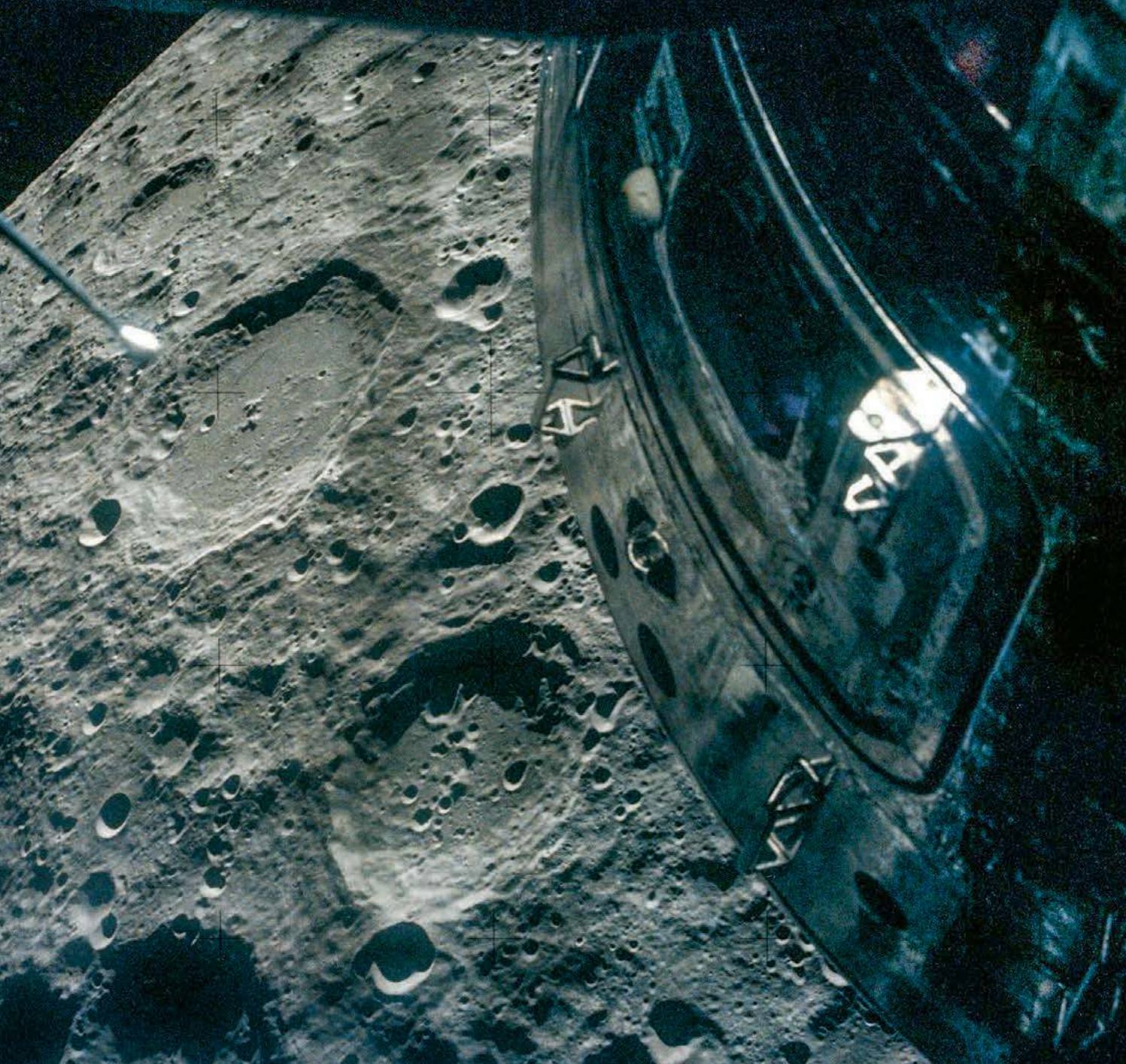

W programie Apollo odbyło się sześć lądowań na Księżycu, ale najbardziej znane są dwa loty: Apollo 11 i Apollo 13, czyli pierwsze udane lądowanie oraz to jedno, które się nie powiodło.

Apollo 13 zapisał się w kulturze w dużej mierze dzięki głośnemu filmowi z Tomem Hanksem. Był to pierwszy – i do dziś jeden z niewielu – film kręcony w stanie nieważkości. Film dał Apollu 13 drugie życie, przekręcając zarazem na wieki jedną z kluczowych fraz. Oryginalny dialog brzmiał bowiem tak: *„Houston... we've had a problem here". „This is Houston. Say again, please". „Houston, we've had a problem"*. („Houston... mieliśmy tu problem". „Tu Houston. Powtórz, proszę". „Houston, mieliśmy problem"). Scenarzyści uznali jednak, że bardziej dramatyczny będzie prosty czas teraźniejszy, a filmowy Jim Lovell, czyli Tom Hanks, mówi: „Houston, mamy problem".

Powrót w lądowniku

Co właściwie wydarzyło się w czasie tej misji? 14 kwietnia 1970 r. o godzinie 3.07 czasu UTC, gdy statek znajdował się w odległości ok. 330 tys. km od Ziemi (czyli przebył już 85 proc. drogi do Księżyca), w module serwisowym Apolla eksplodował zbiornik z tlenem. Wybuch nie spowodował dehermetyzacji statku, ale pozbawił go większej części zapasu tlenu i zasilania. Szczęście w nieszczęściu, że stało się to w najlepszym momencie lotu. Gdyby wypadek zdarzył się później, np. po lądowaniu albo w drodze powrotnej, załoga nie miałaby szans na przeżycie. Nie byłoby wtedy pod ręką lądownika, który na Ziemię z Księżyca nie wracał. Na szczęście w chwili eksplozji był – i posłużył astronautom jako szalupa ratunkowa. Zrobili jedyną możliwą rzecz w tej sytuacji. Wyłączyli moduł załogowy i schronili się w lądowniku, korzystając z jego nienaruszonych zapasów tlenu. Cel misji szybko się zmienił. Z ambitnego lądowania na Księżycu w rejonie krateru Fra Mauro zredukował się do powrotu na Ziemię bez strat w ludziach.

Choć przejście załogi do lądownika odsunęło bezpośrednie zagrożenie życia, to pozostawała cała seria krytycznych pytań do rozstrzygnięcia. Przede wszystkim: jak właściwie wracać na Ziemię? Do wyboru było albo zawrócenie statku w miejscu, albo przelot wokół Księżyca i zawrócenie „po ósemce". Natychmiastowe zawrócenie statku sprowadziłoby astronautów na Ziemię najszybciej, ale wymagałoby użycia potężnego silnika członu głównego. Nikt nie wiedział, czy ten silnik nie został uszkodzony w czasie eksplozji. Druga opcja nie wymagała używania go i to na nią zdecydowało się kierownictwo NASA. Niosła po prostu mniej znaków zapytania.

Znikające zapasy

Powrót wokół Księżyca trwał jednak dłużej, co otwierało inną palącą kwestię. Lądownik miał zapas tlenu, wody i energii obliczony dla dwóch osób na dwa dni, ale nie dla trzech na trzy i pół dnia. Wszystkie więc systemy lądownika, poza niezbędnym minimum, wyłączono. Lot powrotny odbywał się w mało komfortowych warunkach. Kabina miała wielkość dwóch budek telefonicznych. Zamieszkały w niej nagle aż trzy osoby, temperatura zaś spadła do zaledwie kilku stopni powyżej zera. Co więcej, na liczącej setki tysięcy kilometrów trasie nawet wyrzut moczu za burtę mógł spowodować zmianę trajektorii. To była standardowa procedura w tamtych czasach, ale Apollo 13 musiał radykalnie oszczędzać na wszystkim, a więc także na paliwie, które trzeba by zużyć, żeby korygować kurs zaburzony przez fizjologię. Astronautom polecono zatem przechowywać cały mocz na pokładzie w torebkach foliowych. Możemy się domyślać, że nie było ich szczególnie dużo, bo racje wody pitnej drastycznie obcięto. Trzeba było chłodzić systemy statku, a woda pitna i chłodząca pochodziły z tego samego obiegu.

Kolejną trudnością było umieszczenie statku na właściwym kursie. Wszystkich manewrów trzeba było dokonywać przy użyciu silnika lądownika. Był to jednak silnik zaprojektowany do jednorazowego lądowania na Księżycu, a nie do wielokrotnego użytku w głębokiej przestrzeni. Był to nieoczywisty manewr, przeprowadzony pierwszy i jedyny raz w historii. Ale powiódł się dzięki doskonałej pracy (i współpracy) samej załogi, kontroli lotu i zespołów wsparcia.

Problemem była też nawigacja, czyli właściwe zorientowanie statku. Wyrzucone przez eksplozję fragmenty statku, otaczające go w postaci migotliwej chmury, utrudniały nawigację według gwiazd. Jeden z kluczowych manewrów astronauci musieli więc wykonywać orientując się na Słońce, jedyną gwiazdę nie do pomylenia z żadną inną. Systemy nawigacyjne lądownika też trzeba było później wyłączyć, punktem odniesienia dla jeszcze innego manewru stał się wobec tego tzw. ziemski terminator, czyli linia oddzielająca dzienną i nocną część naszej planety. I z tym również poradzono sobie doskonale, znów dzięki doskonałej pracy, współpracy i wsparciu z Ziemi.

W czasie zaledwie trzech dób trzeba było także wymyślić, przetestować i przeprowadzić procedurę uruchomienia modułu załogowego Apolla, który należało zreaktywować przed wejściem w atmosferę. Nigdy wcześniej nie robiono tego w locie. Dramatyczną walkę trzeba było też stoczyć ze stężeniem dwutlenku węgla w powietrzu, który mógł udusić astronautów. W końcu inżynierowie NASA przedyktowali astronautom przepis na improwizowane urządzenie oczyszczające powietrze, wykonane m.in. z okładek instrukcji obsługi pojazdu i taśmy klejącej. Zadziałało. Osobną kwestią było pytanie, czy osłona termiczna nie została uszkodzona w czasie eksplozji. Gdyby tak się stało, statek spłonąłby w ziemskiej atmosferze (jak Columbia w 2003 r.). Z tym akurat nic się nie dało zrobić – pozostało trzymać kciuki. Ostatecznie, po 5 dniach, 22 godzinach i 54 minutach lotu Apollo 13 wodował na południowym Pacyfiku w odległości 3,5 mili morskiej od okrętu odbiorczego USS Iwo Jima.

Chciałoby się dodać, że astronauci żyli później długo i szczęśliwe. Niestety nie wszyscy. Jack Swigert zmarł na raka w wieku zaledwie 51 lat (zdążył zostać wybrany do Kongresu w 1982 r., ale zmarł na tydzień przed objęciem urzędu). Fred Haise, niedoszły szósty człowiek na Księżycu, skończył w listopadzie zeszłego roku 86 lat, Jim Lovell zaś, niedoszły piąty, w wieku 92 lat jest dziś drugim najstarszym amerykańskim astronautą.

Spalony termostat

Wiemy już, co zaszło na pokładzie. Dlaczego jednak w ogóle doszło do awarii? Śledztwo wykazało, że była to spirala ↦

Księżyc z pokładu Apolla 13, kwiecień, 1970 r.

NASA

drobnych błędów i nieszczęśliwych okoliczności.

Po pierwsze, na skutek zamieszania w specyfikacji termostaty, stanowiące część oprzyrządowania feralnego zbiornika z tlenem, były przystosowane do napięcia 28 woltów, co zgadzało się z napięciem podawanym przez ogniwa Apolla, ale nie zgadzało się z napięciem, którym zasilano statek przed startem. To wynosiło 65 woltów.

Po drugie, kiedy 21 października 1968 r. przeinstalowywano ten zbiornik z Apolla 10 (gdzie był oryginalnie umieszczony) do Apolla 13, wydarzył się mały wypadek – nie odkręcono jednej ze śrub mocujących i kiedy dźwig podnosił panel ze zbiornikiem, ów wyślizgnął się i opadł z powrotem na miejsce. Niedużo, zaledwie kilka centymetrów. Oczywiście wszystko sprawdzono i wydawało się, że nie ma uszkodzeń... ale były. Rozkalibrował się system przewodów do próbnego opróżniania zbiornika. Wyszło to na jaw dopiero na kilka tygodni przed startem, gdy okazało się, że testowo napełniony zbiornik nie chce się opróżnić. Awaria nie wydawała się krytyczna, bo najważniejsze przewody, a więc te, które w trakcie lotu miały dostarczać tlen do ogniw paliwowych i płuc załogi, działały bez zarzutu. Problem dotyczył tylko dokończenia samej próby i spuszczenia ze zbiornika tego tlenu, który był używany do testu.

Inżynierowie wpadli na pomysł: uruchomiono podgrzewanie zbiornika, tak by odparować z niego cały tlen. Niestety, wspomniany termostat otrzymał zbyt wysokie napięcie (65 woltów, zamiast 28), zapiekł się i nie wyłączył grzania wtedy, kiedy powinien. Zamiast do maksimum 27 stopni Celsjusza zbiornik nagrzał się do kilkuset stopni... o czym nikt nie wiedział, bo – kolejny błąd – czujniki temperatury były wyskalowane tylko do tych 27 stopni. Był to wszak zbiornik z ciekłym tlenem i projektanci czujników spodziewali się, że będą one rejestrować odpowiednie temperatury. Wysoka temperatura zniszczyła wewnętrzną izolację zbiornika, odsłaniając przewody elektryczne. Nikt o tym nie wiedział. Przygotowując Apollo 13 do startu napełniono zbiornik ponownie ciekłym tlenem – i bomba była gotowa. Wystarczyło później, że przeskoczyła iskra i zbiornik eksplodował.

Szczęśliwe powroty

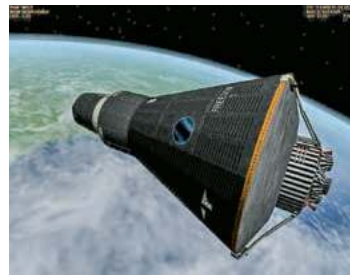

NASA

MERCURY 4 Suborbitalny lot Gusa Grissoma na pokładzie statku Mercury (21 sierpnia 1961 r.) trwał – zgodnie z planem – piętnaście i pół minuty. Kłopoty zaczęły się po wodowaniu. Mercury kołysał się już na powierzchni Atlantyku, a Grissom przygotowywał do ewakuacji, gdy nagle otworzył się właz. Do środka zaczęła się wlewać woda i statek tonął. Grissom wskoczył do wody i pływał w oczekiwaniu na helikopter ratunkowy. Mimo rozmaitych komplikacji astronautę udało się uratować. Statek wydobyto z dna oceanu w 1999 r., do dziś nie rozstrzygnięto, co właściwie spowodowało awarię włazu.

NASA

SOJUZ 18A 5 kwietnia 1975 r. z kosmodromu Bajkonur wystartował statek kosmiczny Sojuz z Wasilijem Łazariewem i Olegiem Makarowem na pokładzie. Celem misji było połączenie ze stacją Salut-4 i dwumiesięczny na niej pobyt. Lot potrwał jednak tylko dwadzieścia jeden i pół minuty. W piątej minucie po starcie doszło do awarii silników. Statek Sojuz oddzielił się od rakiety i powrócił na Ziemię po stromej trajektorii balistycznej. Kosmonauci doświadczyli potężnego przeciążenia 21G. Na szczęście przeżyli, choć nie bez uszczerbków na zdrowiu. Statek wylądował w śniegu w górach Ałtaju, w pobliżu granicy ZSRR z Chinami. Potoczył się ku przepaści, ale zatrzymał się nad nią, bo – szczęśliwie nieodstrzelone – spadochrony ugrzęzły w roślinności. © PST

Świat doskonały

Analiza przyczyn tego wypadku prowadzi do pierwszej z refleksji wykraczającej już poza dział astronautyki i technologii. Katastrofy nie zdarzają się na skutek jednej przyczyny. To zawsze kumulacja małych błędów. Nie dotyczy to tylko lotów w ziemskiej atmosferze i ponad nią – to ogólna prawda o wszelkich działaniach człowieka. Branża astronautyczno-lotnicza jest szczególna o tyle, że tutaj tę prawdę dobrze widać, bo wypadki są analizowane bardziej drobiazgowo niż gdzie indziej.

Nasza powszechna fascynacja astronautyką nie bierze się, rzecz jasna, tylko z analizowania kosmicznych katastrof. Kilka powodów tej fascynacji jest oczywistych – to w końcu nowe horyzonty ludzkości i śniegi odległych planet. Przed tysiącleciami podziwialiśmy śmiałków, którzy pierwsi podnieśli ludzki żagiel na ziemskim morzu, nic więc dziwnego, że dzisiaj wszyscy pamiętamy o Gagarinie i Armstrongu. Apollo jest opowieścią o wytrwałości i niezłomności ludzkiego ducha, który nie daje się złamać przeciwnościom. Oto przesłanie zawsze w cenie, wiara w sens wspólnej pracy, solidarności i solidności, optymizm, że jeśli my, ludzie, zabierzemy się za coś, to pokonamy problemy, jakkolwiek straszne by one nie były. Lekcja, chciałoby się powiedzieć, szczególnie aktualna dla nas dzisiaj.

Sięgając zaś jeszcze głębiej, można powiedzieć, że astronautyka, ze swoimi ultraprecyzyjnymi nazwami na każdy przedmiot i procedurę, z drobiazgowością planowania, z poczuciem, że za każdym ruchem astronauty czy manewrem statku stoi sztab ludzi, gotowy wesprzeć na zawołanie, to przecież ucieleśniona fantazja o świecie doskonale racjonalnym, zorganizowanym i sproceduralizowanym.

W doświadczeniu człowieka te towary są zawsze deficytowe – i właśnie dlatego fascynacja sterylną racjonalnością lotów kosmicznych nie będzie słabła w przewidywalnej przyszłości. Zakończymy więc z metafizycznym rozmachem. Apollo fascynuje, bo jest zarazem jednym ze szczytów ludzkiego ducha – przecież to wieczny sen o lataniu i kamień podniesiony z powierzchni Księżyca – jak i dokładną odwrotnością zwykłego ludzkiego doświadczenia, pełnego chaosu, nieprzewidywalności i głębokiej irracjonalności. © PIOTR STANKIEWICZ

ANDRZEJ

Stasiuk:
Przyroda

Przyszła przyroda i nas zagoniła do ciemnego kąta. Jak kiedyś. W półmrok ciasnego życia. Do jaskiń, gdzie kryliśmy się przed obcym, nieznanym i dzikim. Od zmierzchu do świtu. Złe się czaiło w mroku zaraz za progiem. Wtuleni w siebie dla ciepła i ze strachu, zanim wynaleźliśmy ogień. Jak niespodziewanie następują nieoczekiwane powroty. Kto by się spodziewał? I jakie nieepickie. Żadnej apokalipsy, żadnego wysychania wód. Żadnych pustynnych piasków zawiewających ślady cywilizacji. Ani barbarzyńskich hord na horyzoncie. Żadnego spektaklu. Po prostu siedzimy w domach i boimy się wyjść. Boimy się niewidzialnego, które przyjdzie i nas zabije. Żeby chociaż wyglądało jak potwór. Żeby dało się przynajmniej zrobić zdjęcie. Ale możemy fotografować jedynie swój strach. Opustoszałe miasta. Wiatr na ulicach. Postacie jak duchy.

Przyszła przyroda i nie możemy zrobić jej zdjęcia. Do tej pory było to proste. Wychodziliśmy, wyjeżdżaliśmy i wracaliśmy z fotografiami i filmami: oto my i ona w tle. Zachód słońca, brzeg morza, druga półkula, świt nad wodą, skały, wspinaczka, przechylona w szkwale łódź, ognisko o zmierzchu, piękno dalekiego świata, czasem tubylcy, egzotyczne zwierzęta, natura. Potem czas się kończył i wracaliśmy syci wrażeń i z pełnymi kartami pamięci.

A teraz przyszła i nie można jej zrobić zdjęcia. Chyba że pod mikroskopem. Albo gdy już w nas wejdzie, będziemy mogli sobie z nią pstryknąć *selfie*. Tylko że będzie na nim widać jedynie nasz strach. A przecież tak bardzo pragnęliśmy powrócić do natury. Ratować ją przed nami samymi. Nadawać prawa zwierzętom. Żeby przyjemnie i z czystym sumieniem w niej żyć. Teraz przyszła i jest wśród nas. Przyszła i staliśmy się jej częścią. Tak jak marzyliśmy. Jest z nami na co dzień. Bez wyjazdów, bez wydawania pieniędzy, bez egzotycznych eskapad, bez weekendowych wypadów za miasto. Przyszła i mówi: „Hej, jestem z wami. Na co dzień. Ze wszystkimi. Tak bardzo pragnęliście, więc teraz nie zapomnicie o mnie nawet na chwilę”.

No bo pragnęliśmy. Być z nią, ale na naszych zasadach. Być z nią, ale żeby taktownie trzymała się z boku i ewentualnie przychodziła na skinienie. Jak, powiedzmy, pies. Żeby stanowiła tło niczym nagranie puszczane z głośników w sklepie albo windzie. Gdyby naszła nas ochota, moglibyśmy ewentualnie podkręcić głośność. Ewentualnie wyłączyć. Ewentualnie zatroszczyć się o nią, przyrodę, gdy robi się zbyt gorąco. Dosłownie i w przenośni.

Teraz na nią patrzę. Jest słoneczne popołudnie, kładą się cienie, a za parę godzin ma być piękna pełnia. Rude jeszcze modrzewie, bezlistny jesion, w oddali białe brzozy, których korony wyglądają jak żyłkowania niewidocznych liści. Dalej jest bezchmurne niebo i lesiste grzbiety. Patrzę na krajobraz, z którego na co dzień czerpię siłę i spokój. I trochę się uśmiecham, i nieco truchleję na myśl, że z jego wnętrza nadchodzą strach i śmierć. Że stamtąd wynijdzie „koń blady”. Bo od zawsze stał tam w stajni w starym zielonym lesie, w pradawnej grocie. Od początku czasu. Wyjdzie i będę mógł w ostatniej chwili zrobić zdjęcie. Gdy zobaczę go, jak spieniony spina się do skoku nad grzbietem Uherca.

Nic z tego. Żadnej fajnej apokalipsy. Za mała jest śmierć, by ją sfotografować. Bez śladu mieści się w nas. Jest naszą częścią. Kto wie, czy nie mocniej łączy nas ze światem niż życie. Łączy nas na całą wieczność. To jednak pocieszające, że do czegoś przynależymy. Że nie jesteśmy jednak tak samotni, jak nam się wydaje. Że nasze sieroctwo nie jest ostateczne. Amen. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 55/20, rozpoznawany jest wniosek Ryszarda Lenarta o stwierdzenie, że przez zasiedzenie nabył on własność działek gruntowych położonych w Sanoku, obręb Posada, oznaczonych w ewidencji gruntów numerami 949/2, 949/3 i 949/5, dla których prowadzona jest Księga Wieczysta KS1S/00045756/1, oraz własność zabudowanej działki o numerze ewidencyjnym 1541, dla której Księga Wieczysta nie jest prowadzona.

Sąd wzywa w szczególności spadkobierców Zofii Drwięga, c. Andrzeja i Marii, aby w terminie do 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoją własność do ww. nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Aliny Barbachowskiej, pod sygnaturą I Ns 400/19, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia własności nieruchomości o powierzchni 1,6800 ha, położonej w miejscowości Grębiszew, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami 35 i 36, dla której Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim prowadzi księgę wieczystą SI1M/00018166/5 zapisaną na Józefa Woźnicę.

Sąd wzywa zainteresowanych, w szczególności spadkobierców Józefa Woźnicy, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

KULTURA

BYŁAM PRZY POCZĄTKU I KOŃCU

MAŁGORZATA LEBDA, POETKA:

Kiedyś tata wrócił z pasieki i powiedział,
że nie ma pszczół.
W domu zapanowała żałoba.
Nie mówiło się „zwierzę zdechło”,
tylko „zmarło” albo „odeszło”.

BARTEK DOBROCH: Gdy będziemy znowu mogli żyć bez granic, to gdzie chciałabyś pobiec?

MAŁGORZATA LEBDA: Pierwsze kroki skieruję w Beskid Sądecki. Mam tam trasę, która pozwala mi na pięć, sześć godzin biegu w potężnym lesie. Bez ludzi.

Bez ludzi? Natura jest dla Ciebie taka ważna?

Teraz wydaje się szczególnie ważna. Jakimś ukojeniem w tym przymusowym zamknięciu staje się dla mnie praca przy roślinach doniczkowych, których mam w mieszkaniu około setki. Obserwowanie ich wzrostu, delikatnych poruszeń. Tego, w jaki sposób układa się ze światłem maranta czy co ile dni *monstera adansonii* wypuszcza nowy liść. Gdybym była w akademickim, towarzyskim i literackim biegu, te rzeczy by mi umykały. Izolacja pozwala być uważniejszym, choć bardzo chcę już wyjść. Ten domowy ogród botaniczny zastępuje mi doświadczanie lasu. I nawet tu muszę wrócić do mojego domu rodzinnego, gdzie żyliśmy też przesądami. Jeden z nich mówił, że jeśli w domu zaczynają marnieć rośliny, to idzie choroba. Przed diagnozą mamy nawet kilkunastoletnie okazy zaczęły chorować. Moja obecna troska o rośliny jest też jakąś próbą odczarowania tamtego doświadczenia.

„odwracałem waszą uwagę na sprawy ziemi / tak skutecznie że myśląc o mnie będziecie / mówić językiem roślin” – czytam w Twoim „Mateczniku”.

Odpowiem Tomasem Tranströmerem: „Pozostawimy na ziemi jeszcze większą ciszę / i spokojne kroki drzewa, spokojne kroki drzewa”.

A ja na to: „a jeśli to wszystko dopiero się rozpoczyna? jeśli przyniesie ciemniejsze historie i dłuższe wiersze? uzdrowienie?”. Tak się kończy Twój tom „Granica lasu” sprzed siedmiu lat.

Zaskakująco brzmi dla mnie teraz ten wiersz. Po kolejnych dwóch książkach wiem, gdzie mnie zaprowadziło – to była intensywna praca wokół utraty. Nato-

SZYMON MAKUCH

miast tamte pytania mogłyby być zadane w kontekście obecnej pandemii. Czy wymusi na nas zmianę języka?

Przychodzi mi na myśl książka Japonki Hiromi Kawakami „Niedźwiedzi bóg". Autorka debiutowała w 1994 r. opowiadaniem, które mówi o życiu w naturze. Do najbliższego sąsiedztwa wprowadza się niedźwiedź i zabiera na spacer sąsiadkę. W polskim wydaniu czytamy oryginalne opowiadanie, ale i drugie, pisane już po katastrofie w Fukushimie. To piękna i dotkliwa lektura. Kawakami w drugim tekście zmienia tylko niektóre słowa oryginału, malując obraz świata po kataklizmie. W pierwotnym utworze ryba złowiona przez niedźwiedzia i kobietę jest jedzona – w wersji napisanej po 11 marca 2011 r. z uwagi na skażenie nie jest to możliwe. I tu rodzi się pytanie, czy tak jak w Japonii dzielimy literaturę na tę sprzed katastrofy i tę po? Czy koronawirus nie będzie podobnym wyznacznikiem? Trudno rozmyślać o tym tylko w kontekście literatury. Myślę o tym w kontekście życia w ogóle.

Jak wpłynął ten stan na Ciebie? Jak utrzymujesz kondycję? Jesteś poetką i biegaczką.

Do momentu kiedy bieganie było dozwolone, wykorzystywałam je do bycia w naturze. Teraz funkcjonuję w trybie domowym. Trening siłowy i joga są momentami, w których mogę fizycznie zbalansować to, co dzieje się w głowie. A dzieje się dużo, szczególnie że moją pracę na uniwersytecie realizuję zdalnie.

Słyszałaś głosy, że ten pochodzący od zjadanych zwierząt wirus to kara za cierpienie, które im zadajemy?

Interesujące, jak różne są na ten temat narracje. Czytamy, że winne są zwierzęta. Te głosy są obojętne na fakt, że to my, ludzie, zaburzyliśmy ekosystemy, sprawiając, że zwierzęta są słabe, przerażone, że nie potrafią poradzić sobie z patogenami, które mogą przechodzić na nas. Są też głosy bardziej stygmatyzujące, jak ten Trumpa, który w jednej z wypowiedzi obarczył winą konkretny kraj – Chiny. ↦

MAŁGORZATA LEBDA (ur. 1985) jest poetką, fotograficzką i biegaczką. Laureatka Nagrody Literackiej Gdynia (2018) za tom „Sny uckermärkerów". Wydała właśnie zbiór „Sprawy ziemi".

↦ Boję się, że ta sytuacja może mocniej spolaryzować świat.

Nie potrafię patrzeć na trwającą pandemię w oderwaniu od kryzysu klimatycznego. To, co się dzieje, z pewnością wybudza nas ze spokojnego snu. Trudno już oddalać od siebie myśl, że katastrofalne konsekwencje naszej chciwości wobec Ziemi, wobec natury, mogą przyjść tu i teraz, z niedzieli na poniedziałek, a nie za pięćdziesiąt czy sto lat. Pierwsze słowa książki „Ziemia nie do życia" Davida Wallace'a-Wellsa brzmią: „Jest gorzej, o wiele gorzej, niż wam się zdaje". A teraz, w kilka lat po sformułowaniu tego zdania, jest jeszcze gorzej.

Ukształtowało Cię dorastanie w beskidzkiej wiosce, Żeleźnikowej Wielkiej.

Do momentu, kiedy razem z siostrą bliźniaczką poszłyśmy do liceum w oddalonym o kilkanaście kilometrów Nowym Sączu, właściwie jej nie opuszczałam. To miejsce, o którym nie potrafię myśleć bez czułości pomieszanej z czymś ciemnym. Malownicze, pagórkowate tereny, poprzedzielane miedzami, brzezinami, gdzie wszyscy się znają i wiedzą o sobie wszystko. Ważnymi punktami na mapie mojej rodzinnej wsi były kościół i ubojnia. Wokół nich kręciło się życie społeczności. Ubojnia była w naszym najbliższym sąsiedztwie, to na jej stronę wychodziły okna pokoju, który dzieliłam z siostrą. Byłyśmy świadkami tego, jak pracowała. Rodzice zajmowali się ziemią, ojciec miał pasiekę. Całe moje dzieciństwo było blisko ziemi, lasu, pszczół.

Czym dla Ciebie jest ziemia?

Ta ziemia? Definiuje mnie. Kiedy dorastasz w domu, który utrzymuje się niemal wyłącznie z tego, co daje ziemia i pasieka, to masz poczucie zależności od tego, jak funkcjonuje ekosystem. A to, jakie są zimy, lata, determinuje twoje życie. Po kilkunastu latach w Krakowie mam poczucie, że koło się zamyka i moje ostatnie wybory życiowe prowadzą mnie ponownie na wieś. Jadąc na studia, miałam pewność, że wrócę. Potrzebuję być blisko ziemi, pracować z nią.

„Sprawy ziemi" – tak brzmi tytuł wydanego właśnie zbioru. Ten tytuł określa Twoją ekopoetykę?

Julia Fiedorczuk, poetka i pisarka żywo zaangażowana w sprawy ekopoetyki, cytuje Lawrence'a Buella, który twierdzi, że kryzys ekologiczny jest wynikiem kryzysu wyobraźni. Często nie potrafimy wyobrazić sobie, że druga istota, zwierzę, może czuć tak, jak my. Wiele kryzysów wydaje się być efektem braku wyobraźni. Co może pomóc? Mimo wszystko wierzę w moc literatury, empatię, uważność, umiar.

Cierpienie ludzkie łączy się w Twoich wierszach ze zwierzęcym. Czasem dosłownie: w jednym z utworów z „Matecznika" krew Twojej siostry miesza się z krwią zwierzęcia.

Pamiętam tamten moment. Moja siostra dostała krwotoku z nosa, w tej samej chwili zjawił się ojciec z pokrwawionym zwierzęciem. Śmierć zwierzęcia i choroba siostry nałożyły się na siebie. Być może wtedy otrząsnęłam się z dzieciństwa, zaczęłam dopuszczać myśl o śmierci. Pamiętam też dzień, gdy tata wrócił z pasieki, w której miał 40 uli, i powiedział, że nie ma pszczół. Owady padły nie tylko u nas – wszystko z powodu użytych na sąsiednich polach pestycydów. W domu panowała po tym atmosfera żałoby.

Nie mówiło się „zwierzę zdechło". „Zmarło", „odeszło" – tak mawiano. Długo zastanawiałam się nad kwestią jedzenia zwierząt. Jeśli jesteś z rolniczego domu, w którym istotnym pożywieniem jest mięso, a przed większymi świętami zabija się świnię, to przejście na wegetarianizm czy weganizm wymaga sporego samozaparcia.

Celebrujemy ludzkie święta – chrzciny, komunie, śluby – cierpieniem zwierząt.

To część kultury, rytuału. Ale od najmłodszych lat była we mnie niezgoda na to. Naszym zwierzętom – koniom, krowom, psom – nadawaliśmy najczęściej ludzkie imiona. To było przejmujące, kiedy uświadomiłam sobie, że moja siostra ma na imię tak samo jak koń wujka, na którego wołał Baśka. Uderzyło mnie, jak różnie traktuje się istoty noszące to samo imię. Patrzyłam na te śmierci, również w domu, kiedy wujek będący masarzem zabierał mnie, małą dziewczynkę, do świniobicia. Patrzyłam też na cielenie się krów. Byłam przy początku, jak i przy końcu życia. Gdy na pierwszym roku studiów zadeklarowałam, że nie będę jeść mięsa, rodzice byli mocno zatrwożeni. Ale po rozmowie, wyłożeniu im moich racji, dbali o moją roślinną dietę.

Powieść Mai Lunde „Historia pszczół" przynosi wizję życia bez tych owadów. Zastępują je pracujący za garść yuanów zapylacze. Ta wizja w Chinach już się realizuje.

Wyposażonych w kije – z umieszczonymi na końcu szczoteczkami – ludzi, którzy zapylają kwitnące drzewa w słynącym z upraw grusz rejonie prowincji Syczuan w Chinach, wspaniale fotografował Kevin Frayer. Owady giną. Kiedy wyobrazimy sobie, że co trzeci kęs jedzenia, który bierzemy do ust, jest zależny od pszczelego zapylania, może lepiej poczujemy skalę problemu. Zaskakuje, że w takim czasie rządzący wydają pozwolenie na używanie pestycydów z grupy neonikotynoidów, zabójczych dla pszczół, ale groźnych też dla ludzi, tak jak zrobił to minister rolnictwa w 2018 r. Na świecie wzrasta liczba upraw roślin zależnych od zapylaczy, ale nie dbamy o owady zapylające. I znowu powraca temat kryzysu klimatycznego. Choć wielu naukowców mówi, że już jest za późno, ja bardzo wierzę w drobne gesty, które też dają mi poczucie sprawczości. Dla mnie takim gestem byłoby zajęcie się pszczołami po powrocie na wieś. Moje dzieciństwo, bycie córką pszczelarza, jakoś mnie naznaczyło. Obecnie jestem na kursie pszczelarskim, bo kilkanaście lat w mieście, bez praktyki, uzmysłowiło mi, że powinnam zadbać o zaplecze.

Pszczoły są metaforą wiejskiego etosu pracy. Brakowało Ci go przez te lata w mieście?

Praca ciała jest u mnie powiązana z pracą myśli. Brak tej fizycznej, tu w mieście, skłonił mnie do intensywniejszego biegania. Ale rzeczywiście bardzo brakuje mi pracy w ziemi. Myślę o sobie jak o rolniczce, która wyjechała do wielkiego miasta, żeby postudiować, dowiedzieć się czegoś o świecie, o sobie i z tą wiedzą wrócić. Ale dom, ten niematerialny, który zostawiłam wyjeżdżając, jest nie do odzyskania. Moi rodzice zmarli. Buduję swój.

Przywodzi mi to na myśl wiersz „maj: warroza": „ukrywałem przed tobą / chorobę pszczół (...) / to przecież na ich przykładzie / miałem cię uczyć życia / nie śmierci".

Ojciec mitologizował pszczelarstwo. Kiedy zaczął zabierać mnie do pasieki, czułam się wyjątkowa, wpuszczana do królestwa, do którego niewielu ma wstęp. Dalej mam poczucie, że to praca, z którą wiąże się coś metafizycznego. W dawnych czasach pszczelarze nie musieli nawet składać przysięgi w sądzie na prawdomówność, bo sąd z góry uznawał, że pszczelarz mówi prawdę. Myślę o pszczelarstwie jako o zawodzie zaufania publicznego i zarazem działalności społecznej.

Skąd w Twojej twórczości te powracające choroby, zwierzęce i ludzkie: warroza, wścieklizna, ospa, odra?

Byłam dzieckiem szalenie chorowitym, a choroby zwierząt – pszczół, psów – odciskały mocne piętno na moim domu.

Ale najboleśniejszym stopniem wtajemniczenia była choroba mojej mamy. Po diagnozie zostawiłam Kraków i wróciłam na wieś, żeby być przy niej. Wyobraź sobie: jesteś królową życia, młodą doktorantką, która wyobraża sobie, że może wszystko. Z dnia na dzień musisz to zostawić i wrócić do miejsca, do którego jeszcze nie chciałaś wracać, jeszcze nie teraz. Jednak nie miałam wątpliwości, że muszę i chcę to zrobić. To było doświadczenie utraty rozpisane na dwa lata.

Ale nie koniec na tym – dokładnie pół roku po śmierci mamy niespodziewanie zmarł mój tata. I o ile asystując przy chorobie wydawało mi się, że mogę się do utraty przygotować, to okazało się, że oba odejścia w równym stopniu mną wstrząsnęły. Musiało upłynąć dziesięć lat, żeby te doświadczenia uruchomiły we mnie inny język, którym próbuję nadać kształt temu, co wtedy przeżyłam. Język prozy daje mi przestrzeń, żeby to intensywnie wyrazić.

Z każdym tomem minimalizm, oszczędność zbliżały wiersze do innej Twojej pasji – fotografii. W „Snach uckermärkerów" towarzyszy im nawet przedtytuł: „zbliżenie".

Każdy tom ogniskuje się wokół konkretnych doświadczeń. Minimalizm, który jest dostrzegalny coraz wyraźniej z tomu na tom, był mi potrzebny, aby zostawić w przestrzeni wiersza miejsce dla czytelnika. Poza tym szczególnie „Sny..." wymagały formy surowej, ale obrazowej. W moim domu rodzinnym nie mieliśmy aparatu fotograficznego. Nie mam z dzieciństwa właściwie żadnych fotografii. Może dzięki temu zaczęłam pisać. Uświadomiłam sobie bowiem, że jeśli czegoś nie opiszę, to nie mam na to dowodu.

MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA GAZETA

Żeby poczuć własną sprawczość, **planuję pokonać dystans około 1100 km.** Od źródeł Wisły do jej ujścia.

Wiersze kontrastują z Twoim bieganiem: długim, wyczerpującym, ultra, czyli ponad długość maratonu.

W ostatnich latach brałam udział w górskich ultramaratonach. To były dobre doświadczenia, ale po ukończonym biegu Lavaredo Ultra Trail we włoskich Dolomitach, którego dystans to 120 km, a suma przewyższeń wynosi 5800 metrów, uzmysłowiłam sobie, że nie tak chcę biegać. Nie chcę, aby moje bieganie miało granice, żeby było objęte obostrzeniami, żeby było rywalizacją. Zrozumiałam, że chcę, by było sprawcze, by stanowiło inspirację dla innych. To przejmujące, kiedy czytelnicy obok pytania, gdzie można kupić moją książkę, pytają, jakie białko roślinne sprawdzi się przy treningach biegowych. Albo kiedy umawiam się na trening z kimś, dla kogo to będzie pierwsze w życiu przebiegnięte pięć kilometrów.

Masz jakieś praktyczne cele?

Myślę też, że moje bieganie może być dobrym sposobem zwrócenia uwagi na kryzys klimatyczny. Mocno poruszył mnie pomysł rządu na budowę drogi wodnej E40, która ma połączyć Bałtyk z Morzem Czarnym. Skutki dla polskich rzek, dla środowiska, będą katastrofalne. Żeby poczuć własną sprawczość, planuję pokonać dystans około 1100 km. To będzie bieg od źródeł Wisły do jej ujścia. Od początku roku organizowałam logistykę tego biegu, tak aby ruszyć w lipcu, jednak zaczynam godzić się z tym, że sytuacja z pandemią odsunie to na przyszły rok.

A niepraktyczne?

W pierwszych tygodniach po śmierci mamy moje bieganie organizowałam tak, by kończyć przy jej grobie. Dopiero po latach zaczęłam myśleć, że to było przedziwne, ta fizyczna potrzeba przepracowywania utraty. Może nadal biegam też po to, by przepracowywać swoje doświadczenia. Tak, bieganie wiele we mnie uruchamia.

I prowadzi do opowieści o utracie świata, jakim był. Nie ma ucieczki od myślenia o utracie?

Ostatniego lata brat przesłał mi plik dźwiękowy nagrany przy moim rodzinnym domu. Z komentarzem: „Małgosia, posłuchaj, jak pracuje wieś przed burzą". Słychać gwałtowny wiatr w konarach, nerwowe odgłosy ptaków. Odsłuchując ten plik po raz pierwszy, poczułam zachwyt. Kolejne odtwarzania przyniosły nowe odkrycie: zaczęłam słyszeć odgłosy krów z ubojni. To uzmysłowiło mi, że nie ma ucieczki od wielu rzeczy. Od myślenia o utracie również – wraca pod różnymi postaciami.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

Kulturowe kontrrewolucje

PIOTR KOSIEWSKI

Prawicowi artyści też uważają się za wyklętych, niepokornych i wykluczonych. No i są na pierwszym froncie.

Decyzją ministra Glińskiego szefem jednej z najważniejszych polskich instytucji kultury – Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim – został na początku roku Piotr Bernatowicz. Ten wybór, bezskutecznie oprotestowany przez czołowych polskich twórców, krytyków i historyków sztuki, wyróżnia się jednak na tle innych kontrowersyjnych decyzji personalnych ministra.

W odróżnieniu od Karola Nawrockiego, mianowanego dyrektorem gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej, czy Jerzego Miziołka, który nieudolnie szefował stołecznemu Muzeum Narodowemu, Bernatowicz posiada istotne kompetencje. Obronił dobrze oceniany doktorat poświęcony recepcji Pabla Picassa w Europie Środkowo-Wschodniej (promotorem był zmarły przed pięciu laty Piotr Piotrowski, który do polskiego myślenia o sztuce XX wieku wprowadził nowe, ożywcze spojrzenie i bywał oskarżany o „lewactwo"). W latach 2006-20, a następnie od 2012 do początku 2014 r. Bernatowicz redagował „Arteon", miesięcznik poświęcony sztuce; znajdowało się tam miejsce na wielość stanowisk, a nagrodę „Arteonu" otrzymali wtedy m.in. Rafał Jakubowicz i Oskar Dawicki, ale też grupa The Krasnals. Do 2017 r. był

LESZEK FIDUSIEWICZ / REPORTER

ANATOL CHOMICZ / FORUM

Ada Karczmarczyk na swojej wystawie „Tylko mnie kochaj". Galeria Arsenał, Białystok, 15 lutego 2014 r.

Po lewej: Jerzy Kalina „Nie wierzę łzom Berlina i Moskwy" na wystawie „Historiofilia. Sztuka i polska pamięć" w Starej Drukarni Naukowo-Technicznej w Warszawie, 1 sierpnia 2017 r.

dyrektorem Galerii Arsenał w Poznaniu. Wreszcie od października 2018 r. do czasu powołania na szefa Zamku Ujazdowskiego prezesował Radiu Poznań, jednej z czołowych prorządowych rozgłośni.

Bernatowicz został mianowany bez wcześniejszego konkursu na najdłuższą z możliwych, bo aż siedmioletnią kadencję. Minister miał do tego prawo, chociaż konkurs wydawałby się właściwszym standardem – ale stosunek do tej formy wyłaniania dyrektorów to odrębny problem. W 2017 r. Bernatowicz ponownie wygrał konkurs na dyrektora Arsenału, jednak prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak nie zaakceptował tego wyboru i dyrektorem został Marek Wasilewski. Złamanie zasad nie spotkało się wówczas z powszechnym sprzeciwem środowiska artystycznego.

Poglądy i oglądy

Brak konkursu na dyrektora Zamku to tylko jeden z problemów. Protestujący wskazywali, że Bernatowicz nie posiada doświadczenia w kierowaniu tak dużą instytucją, ani we współpracy z instytucjami zagranicznymi czy w pozyskiwaniu funduszy. Nie są to zarzuty bez znaczenia. Również nowa wicedyrektor Krystyna Różańska-Gorgolewska, mająca odpowiadać za sprawy administracyjno-techniczne, była jedynie zastępcą dyrektora Arsenału za czasów Bernatowicza (inna sprawa to jej osobliwe wypowiedzi na temat sztuki). Największym zaś osiągnięciem Marcela Skierskiego, wicedyrektora odpowiedzialnego za sprawy merytoryczne, jest wydanie kilku numerów magazynu „LUKA", w tym tylko dwóch w papierze.

Można oczywiście powiedzieć, że w Polsce niewiele jest osób – zwłaszcza w młodszych pokoleniach – które mają wystarczające doświadczenie w kierowaniu takimi instytucjami. Najważniejszym problemem jest jednak brak realnego doświadczenia międzynarodowego (udział w kilku konferencjach nie wystarczy). Siłą Zamku Ujazdowskiego była bowiem obecność w istotnym obiegu artystycznym wykraczającym poza polskie granice. Można było tu zobaczyć prace wielu ważnych twórców, więcej – tu mieli wystawy artyści, którzy dopiero później silnie zaistnieli w międzynarodowym obiegu, jak Albańczyk Anri Sala czy Bułgar Nedko Solakow. I to m.in. Zamek Ujazdowski przyczynił się do tak znaczącej w ostatnich dekadach obecności sztuki z Polski za granicą.

Bernatowicz uważa jednak, że powody protestu przeciwko jego nominacji były inne. Jak mówił w Polskim Radiu 24: „Utarło się, że dyrektorzy tych instytucji artystycznych mają mieć lewicowe poglądy". Podobnie oceniali sygnatariusze listu otwartego w obronie jego nominacji. „Wyrażamy sprzeciw wobec dyskryminowania osób o prawicowych i konserwatywnych poglądach przy obejmowaniu stanowisk publicznych. Brane pod uwagę powinny być tylko kwalifikacje merytoryczne oraz doświadczenie wymagane do sprawowania danego stanowiska" – pisali m.in. ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Dorota Kania, Jacek Karnowski, Paweł Lisicki i Tomasz Sakiewicz.

Rzeczywiście, spór o Piotra Bernatowicza w najbardziej istotnej części dotyczy wizji sztuki i roli instytucji publicznych. Sam nominowany nie krył, że jego celem jest przeprowadzenie kontrkulturowej rewolucji, ustanowienie nowego modelu polityki kulturalnej i nowych hierarchii w polskiej kulturze. Kierowanie Zamkiem daje mu do tego poważne narzędzie. Projekt zmiany przedstawił obszernie w dokumencie „Centrum refleksji ↦

LESZEK FIDUSIEWICZ / REPORTER

Jacek Adamas „Stół okrągły, stół trójkątny" z wystawy „Historiofilia. Sztuka i polska pamięć".

↦ nad sztuką współczesną. Program organizacyjny i merytoryczny Zamku Ujazdowskiego 2020–2026", który stanowi podstawę – zaakceptowaną przez ministra Glińskiego – do działań instytucji w jego kadencji. Jest to propozycja przemyślana, spójna i na pewno zasługująca na poważne potraktowanie. Na dyskusję, do której jednak nie doszło.

Awangarda dla prawicy

Kierując Arsenałem Bernatowicz starał się połączyć prezentację artystów dotąd mniej dostrzeganych, jak Zenona Cyplik-Olejniczak, z poszukiwaniem nowych twórców (pokazał m.in. prace Ady Karczmarczyk łączące popkulturę z duchowością). Zapamiętana została wystawa „Strategie buntu" (2015), ważna, bo pokazująca twórców sięgających po język sztuki współczesnej i korzystających ze współczesnych strategii artystycznych, ale przekazujących inne treści, często utożsamiane z konserwatyzmem czy prawicą. Więcej, Bernatowicz nawiązał do tradycji sztuki krytycznej, najczęściej kojarzonej z postawami lewicowymi, progresywnymi czy emancypacyjnymi. Jak tłumaczył w poznańskim dodatku do „Gazety Wyborczej", celem pokazanej przez niego sztuki „nie jest afirmacja, ale właśnie krytyka, podważanie utartych schematów myślenia, obnażanie ideologicznych dyskursów władzy, także władzy mediów. Krytyka prowadzona jest różnymi środkami, są to czasem środki drastyczne, prowokacyjne, wykorzystujące obrazy obsceniczne czy manipulacje symbolami różnych grup społecznych".

Dokonany przez niego wybór zaskakiwał, ale był konsekwentny. Nie odwoływał się do twórczości zazwyczaj utożsamianej z prawicą, celebrującej dawno minione formy. „Strategie buntu" uznano nawet za próbę „zhakowania" sztuki współczesnej, choć chyba trafniejszy jest przywołany przez Karolinę Stasiak, następczynię Bernatowicza w „Arteonie", termin „inkulturacja", czyli – jak głosi stanowisko Nadzwyczajnego Synodu Biskupów – „wewnętrzne przekształcenie autentycznych wartości kulturowych przez ich integrację w chrześcijaństwie i zakorzenienie chrześcijaństwa w innych kulturach". Bernatowicz postanowił bronić zagrożonych według prawicy wartości, artykułując je aktualnym, zrozumiałym dla współczesnych językiem.

Podobną strategię zastosował, przygotowując „Historiofilię" zorganizowaną w Warszawie w 2017 r. „To urzekająca, nieoczekiwana zmiana ról: artyści, których prace wystawiło Narodowe Centrum Kultury, posługują się ironią, cudzysłowem i prowokacją, do jakich od dawna przyzwyczaiła nas »sztuka krytyczna«" – pisał Wojciech Stanisławski na łamach „wSieci".

I dodawał: „Przez lata wydawało się, że obóz lewicy ma monopol na błyskotliwe, złośliwe i przerysowane komentowanie historii najnowszej przy pomocy artystycznych środków wyrazu. Instalacje Grzegorza Klamana, Zbigniewa Libery, happeningi Piotra Uklańskiego drażniły swoją jednostronnością, zaczepnością, przewidywalnością – ale były celne i nie dawało się o nich zapomnieć".

„Strategie buntu" i „Historiofilia" wpisywały się w trwający od pewnego czasu w prawicowych środowiskach ciekawy spór między „konserwatyzmem treści" a „konserwatyzmem formy". Wystawa poznańska (w odróżnieniu od warszawskiej) wywołała też medialną burzę. Znalazły się na niej prace klasyków współczesności, takich jak Zbigniew Warpechowski czy Jerzy „Jurry" Zieliński, jednak uwagę przykuły przede wszystkim prace Jacka Adamasa i Wojciecha Korkucia, zdolnego plakacisty, niestroniącego od skandalizujących treści. Bernatowicza oskarżono o homofobię i poniżanie kobiet. Te zarzuty są do tej pory powtarzane.

On sam w „Gazecie Wyborczej" tłumaczył: „Jeżeli nie zgadzasz się z postulatami środowisk gejowskich (...) – jesteś homofobem. Jeśli uważasz, że postulaty feministek są (...) absurdalne i niesprawiedliwe (np. postulat parytetów) – stajesz się wrogiem kobiet, seksistą. Te stereotypowe pojęcia stygmatyzują i wykluczają z dyskusji w przestrzeni publicznej". I uznał, że rzeczą oczywistą jest prezentowanie plakatów: „Jesteś homo? OK. Ale nie spedalaj nieletnich", z dodatkowym dopiskiem „[zwłaszcza za pieniądze]" czy „Feministko, użyj mózgu przed stosunkiem. Nie pieprz bez sensu!". Więcej, żądanie ich usunięcia potraktował jako ograniczenie wolności twórczej.

Wystawy Bernatowicza – czego nie dostrzeżono – okazały się dobrym wskaźnikiem zmian zachodzących w polskiej prawicy. Pokazywały, że konstytutywne dla jej tożsamości stały się: antykomunizm, stosunek do aborcji, do praw kobiet i mniejszości seksualnych. W tym imaginarium kluczowe postacie to artyści „niepokorni", wykluczeni i niedocenieni (chociaż wielu z nich od dawna jest obecnych w mainstreamowych instytucjach). I oczywiście sam Bernatowicz – jedyny dyrektor instytucji publicznej, który z takim zaangażowaniem komentuje w mediach społecznościowych każdy artykuł na swój temat.

Bernatowicz pokazywał też ewolucję kanonu pamięci polskiej prawicy, w której kluczowe miejsce zajmują niemieckie i sowieckie zbrodnie na Polakach oraz żołnierze wyklęci, a tradycja Polskiego Państwa Podziemnego i powstania warszawskiego schodzą na dalszy plan. Opozycja doby PRL-u jest w niej traktowana jednostronnie i wybiórczo, Solidarność – istotna tylko w antywałęsowskim wy-

daniu, a kluczowe wydarzenie ostatnich dekad stanowi katastrofa smoleńska.

W tym prawicowym świecie wyobraźni pojawiają się coraz to nowe demony. Ostatnim, jak pisał Bernatowicz na łamach magazynu „LUKA", jest „ideologia zmian klimatycznych wywołanych przez człowieka". Jego zdaniem nie ma „przekonujących naukowych podstaw do twierdzenia, że to człowiek przyczynia się do zmiany klimatu".

Galeria sztuki nieistotnej?

Przedstawiony przez Bernatowicza program działania Zamku Ujazdowskiego jest znacznie szerszy. Podstawowym zadaniem ma być „stawianie pytań o stan i formę sztuki współczesnej, rangę dzieła sztuki, kryteriów jego oceny, pozycję i status artysty, wreszcie pytanie o publiczność sztuki współczesnej". Lista zagadnień jest długa i dość kompletna, od granic sztuki współczesnej, statusu dzieła sztuki po tożsamość artysty.

Głównym jednak celem ma być „pluralizacja sceny sztuki współczesnej" i otwarcie na artystów do tej pory niedocenionych, marginalizowanych i z powodów ideologicznych wykluczanych. Jednym tchem zostają wymienieni: Jarosław Modzelewski, Jerzy Kalina, Jacek Adamas i oczywiście Wojciech Korkuć. Zamek ma też nadawać ton w obszarze międzynarodowym, a nie „bezrefleksyjnie rezonować mody i trendy przychodzące z zewnątrz". Służyć temu wszystkiemu mają wystawy, konferencje, rozbudowany program edukacyjny oraz wydawniczy.

Bernatowicz zapowiada współpracę z zagranicznymi pismami, w tym z założonym przez brytyjskiego krytyka sztuki Davida Lee „The Jackdaw", specjalizującym się w kpinie, ale też z wydawanym przez Rogera Kimballa w Nowym Jorku „The New Criterion", jednym z najciekawszych magazynów o profilu konserwatywnym. W niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" mówił również o zagranicznych artystach i kuratorach zainteresowanych współpracą z Zamkiem Ujazdowskim, bo „mają dosyć monotematyczności wyznaczanej przez lewicową poprawność polityczną instytucji na Zachodzie" („poprawność polityczna" to kolejne słowo wytrych, chętnie używane przez prawicę).

Czy rzeczywiście uda się pokazać istotną twórczość? Zobaczymy. Ważniejsze jest co innego: czy pluralizm będzie

JAN BIELECKI / EAST NEWS

Piotr Bernatowicz, w tle fragmenty instalacji Jerzego Kaliny „Szlaban. Przejścia graniczne" na dziedzińcu Zamku Królewskiego w Warszawie, 17 września 2019 r.

Bernatowicz to jedyny dyrektor instytucji publicznej, który z takim zaangażowaniem **komentuje w mediach społecznościowych** każdy artykuł na swój temat.

zasadą działania Zamku Ujazdowskiego? Czy znajdzie się w nim miejsce na zderzenie poglądów i opinii? Wielu artystów już zapowiedziało, że nie widzi możliwości współpracy z Bernatowiczem. Czy jednak bojkot będzie jedynym powodem nieobecności innych, także lewicowych postaw? Jeśli pluralizm będzie rozumiany wyłącznie jako oddanie pola dotąd „wykluczonym", to Zamek Ujazdowski wzmocni ich prestiż, ale w ramach pluralizacji zapanuje nudna monokultura.

Podobnych paradoksów może być więcej. Sztuka współczesna często posługuje się narzędziem społecznej zmiany – podkreśla Bernatowicz. I dodaje: „Odmiennie od tych działań niniejszy program koncentruje się na sztuce, a nie na jej ideologizacji". Z kolei w wywiadzie dla „Gazety Polskiej" w 2016 r. przekonywał, że „sztuka w istocie nie jest ani lewicowa, ani prawicowa". Za chwilę jednak uzupełniał: „Prawdziwa sztuka jest konserwatywna w tym sensie, że próbuje zatrzymać czas, przechować coś ważnego a ulotnego, nadać temu formę". Sztuka przez Bernatowicza dotąd wystawiana ma na celu głównie promocję ściśle zdefiniowanych postaw, tożsamości i pamięci historycznej. „*On the front lines of the battle for culture*" („Na pierwszej linii bitwy o kulturę") – można przeczytać na stronie „The New Criterion". To hasło mogłoby się teraz znaleźć na stronie Zamku Ujazdowskiego.

„Kiedy przejmujesz muzeum, możesz oczywiście przedstawić swoją wizję" – podkreśla na łamach „The Art Newspaper" Joanna Warsza, jedna z najciekawszych polskich kuratorek. Po czym dodaje istotne zastrzeżenie: „Jednak muzeum nie jest twoim salonem; nie jest to miejsce, w którym można po prostu napisać na nowo historię sztuki". Obecne spory o kształt Zamku Ujazdowskiego pokazują głębszy problem – granic wolności osób obejmujących funkcje w instytucjach kultury. Na ile wiąże ich tradycja, misja, dotychczasowy dorobek miejsca? Czy też są to jedynie gmachy/skorupy, które za każdym razem można na nowo urządzać?

Dobrym przykładem jest poznański Arsenał. Obejmując jego kierownictwo Piotr Bernatowicz całkowicie zmienił profil galerii. Przyciągnął nową publiczność – z niecałych 17 tys. w 2013 r. dobił do niemalże 40 tys. Kolejny dyrektor, Marek Wasilewski, ponownie radykalnie zmienił profil Arsenału i znów zwiększył frekwencję, do ponad 85 tys. Tylko czy pracownicy (a i zwiedzający) są meblami, które można dowolnie wymieniać? Pytanie, lecz w znacznie większej skali, dotyczy też Zamku Ujazdowskiego. Czy w programie zaproponowanym przez Piotra Bernatowicza jest miejsce dla dotychczasowych pracowników i niemałej, bo ponad 200 tys. osób liczącej publiczności (dane z ubiegłego roku)? O nich nowy dyrektor milczy.

© PIOTR KOSIEWSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Nowa fala disco

MONIKA OCHĘDOWSKA

Franek Kimono po wódzie sprawdzał się w dżudzie. Nowi królowie disco niespiesznie sączą ciociosan. Kuba Karaś i Piotr Rogucki nagrali album słodki jak bułgarski wermut, ale bezwzględny niczym ciosy mistrza karate.

Płyty przywozili marynarze. Ona do sopockiego Grand Hotelu przyleciała pewnego lipcowego wieczoru prosto z Holandii. Niedostępna, efemeryczna, pożądana. „Buty i kolczyki – bajer z Ameryki", zaśpiewa później Franek Kimono. Ciuchy – obłęd! Pierwsza w Polsce dyskoteka Musicorama była co prawda gwiazdą jednego sezonu, ale jej gwałtowny rozbłysk wystarczył na odpalenie stroboskopów całej dekady. Zanim zabawa przeniosła się do gdyńskiej kawiarni Panorama, nie było w Polsce gorętszego miejsca.

Przeboje Fleetwood Mac, The Who oraz – obowiązkowo! – „Venus" holenderskiego zespołu Shocking Blue (latem 1970 r. numer jeden amerykańskich list przebojów) prezentował Franciszek Walicki, jeden z ojców rodzimego rocka i bigbitu. Podczas wyjazdu do Amsterdamu zachwycił się tamtejszymi klubami, a ponieważ, jak uczy taneczny klasyk, dyskoteka roznosi się jak bakteria – holenderską gorączką szybko zaraziła się także polska publiczność. Zanim pierwszy stół mikserski dojechał do stolicy, w sopockiej Musicoramie tańczyła już cała Warszawa.

Nadciągająca z wybrzeża dyskotekowa fala błyskawicznie zalała kraj spragniony zachodniej kultury. Ciekawość szła jednak w parze z nieśmiałością. Na pierwszej imprezie w stołecznym Bristolu publiczność nie bardzo wiedziała, jak się zachować – wspominał po latach Krzysztof Szewczyk, dziennikarz radiowy, jeden z pierwszych muzycznych „prezenterów" – tak się wtedy mówiło o DJ-ach. „Puszczam płyty, coś opowiadam, a publiczność w garniturach i złotych lamach ani drgnie.

Byli przyzwyczajeni, że tańczy się na dansingu, gdzie gra orkiestra. A tu facet zmienia płyty i coś gada, myśleli, że to może jakaś muzyczna prelekcja. Sporo czasu zajęło, zanim zrozumieli, że na parkiecie się nie stoi. Trzeba tańczyć".

Na jednej z pierwszych polskich płyt z muzyką napisaną z myślą o dyskotekach (fenomenalna sekcja dęta!) pobrzmiewa szkoleniowy instruktaż Haliny Żytkowiak: „Gdy masz świata dość, chodź do disco ze mną, chodź. Nie obejmuj mnie, lecz na dystans trzymaj się. Zamknij oczy, jakbyś śnił. Spróbuj, jak chwila chwilę trwa".

Śmierć dyskotece

I rzeczywiście – po krótkiej chwili frajdy świat został niemile wytrącony z tanecznego letargu. Podczas zorganizowanej w Chicago Disco Demolition Night fani rocka zniszczyli stadion pełen płyt z muzyką dyskotekową. Pomysłodawcą akcji był rozgoryczony dziennikarz Steve Dahl, kilka miesięcy wcześniej zwolniony ze stacji radiowej WDAI, która – ze względu na rosnącą popularność gatunku – zmieniła swój profil muzyczny z progresywnego rocka na brzmienia klubowe. Gdy ekstremistyczne obrazki z płonącego stadionu Comiskey Park obiegły świat, tym, którzy chcieli pozostać *cool*, nie bardzo wypadało wyznawać namiętne przywiązanie do gorączki sobotnich nocy.

Sam Walicki zresztą nie mógł pogodzić się z tym, że muzykę, którą chciał prezentować polskiej publiczności rozkręcając Musicoramę, zaczęła zastępować tanizna przygrywana w lokalach gastronomicznych jako tło do kotleta. Ale nie dało się tego uniknąć w sytuacji, gdy sama sieć Społem miała sześćset dyskotek, a tzw. zweryfikowanych didżejów (zatwierdzonych przez Krajową Radę Prezenterów Dyskotek) było mniej niż stu. Poirytowany Walicki nagrał odgłosy maszyny do szycia i – gdy tylko w jakimś utworze wchodziła perkusyjna solówka – złośliwie włączał swoją taśmę. Rozgrzana sala bawiła się w najlepsze.

W polskiej muzyce nastrój początku lat 80. świetnie oddaje tytuł pierwszej płyty Lombardu: „Śmierć dyskotece" (400 tys. sprzedanych egzemplarzy!). Dramatyczne wezwanie „Przerwać tę ponurą bzdurę, przerwać tę niechętną hecę. Śmierć, śmierć, śmierć, śmierć dyskotece!" ma oczywiście znaczenie symboliczne – „dyskotekami" nazywano w tamtym czasie milicyjne nyski z ich dźwiękowymi i świetlnymi sygnałami dającymi efekty stroboskopowe. Ale okres stanu wojennego zwrócił nas tak czy owak w stronę ostrzejszego grania – narodziła się chwała grup Cytrus, Krzak, Maanam, Perfect, TSA czy Turbo. I właśnie wtedy na muzyczną scenę wśliznął się tylnymi drzwiami także on – King Bruce Lee Karate Mistrz.

Pan Kleks i Franek Kimono byli jak Dr Jekyll i Mr Hyde. Andrzej Korzyński, autor ścieżki dźwiękowej do adaptacji baśniowej opowieści Brzechwy o ekscentrycznym nauczycielu, długo namawiał odtwórcę głównej roli, Piotra Fronczewskiego, by

Duet Piotr Rogucki i Kuba Karaś

ten zgodził się wykonać niektóre z piosenek. Uważający się za „aktora nieśpiewającego” i z początku dość sceptyczny Fronczewski z każdym kolejnym nagraniem nabierał śmiałości. Zachwycony tembrem jego głosu i zmysłowością melorecytacji Korzyński szybko wyciągnął z szuflady inny projekt, jak na owe czasy nowatorski – płytę-koncept, żart ze środowiska dyskdżokejów, show-biznesu i jego nieznośnego branżowego języka.

Czy aktorowi dramatycznemu wypada wykonywać takie piosenki? O zdanie na temat Franka Kimono Fronczewski spytał Gustawa Holoubka. Zmęczony „ciężką pracą w dyskotece”, melancholijny amator wódy „wyciągający małolaty spod opieki taty” szczęśliwie przypadł Holoubkowi do gustu. A płyta, która miała być kpiną z klubowego teatrum i jego protagonistów (ale nie tylko – wystarczy przypomnieć kawałek „Sound Ciężkie Brzmienie”, w którym pojawia się basista kapeli „hard karate rocka”), przyniosła dyskotece nieoczekiwane odrodzenie. Funkowa pulsacja muzyki Korzyńskiego przeplatająca się z modnym, synthpopowym pogłosem, osiąganym wówczas chałupniczymi metodami, sprawiła, że w 1984 r. żaden polski wykonawca nie brzmiał tak świeżo.

PRZEMEK DZIENIS / KAYAX

Nikt nie był także równie bezkompromisowym krytykiem stereotypowych wzorców męskości – bo przecież wszystkie, także erotyczne, supermoce, którymi chwali się Franek Kimono, są genialnie rozpracowane w ironicznej autorefleksji. Jak na wczesnych płytach Taco Hemingwaya (skądinąd Fronczewskiego uważa się za pierwszego polskiego rapera), dostaliśmy od Korzyńskiego nie tylko pocztówkę z najlepszych imprez w mieście, ale też przekrój gierkowskiej dekady, zapis jej aspiracji i tęsknot.

Tamta „dyskoteka” to dżungla, dzika strefa. Kraina nocnych zwierząt, z której wszyscy wychodzą „podrapani i zziajani”. Poza Frankiem przewija się tu niewąskie grono charakterystycznych, jaskrawo odzianych i umalowanych postaci: Ruda Jolka, Czarna Elka, Blada Mery, pan „menago – stonsa robię nago” oraz wspomniany basista z hardrockowego zespołu, który podrywa małolaty na „japońskie graty”.

Synowie dancingu

Po włączeniu wydanego niedawno „Ostatniego bastionu romantyzmu” duetu Karaś/Rogucki, a następnie zamknięciu oczu, jak radziła Żytkowiak, rzeczywiście doświadczymy, że „chwila chwilę trwa” – przestrzeń wokół wiruje, świat przyspiesza, a planety szaleją. „To tylko kilka westchnień – śpiewa Piotr Rogucki – deszcz meteorów unicestwia ziemię. Za chwilę niczego nie będzie”. Ten apokaliptyczny „alarm Doliny Krzemowej”, „ostateczny kataklizm” i „koniec wszystkiego”, który uderza w nas z całą mocą już w pierwszej piosence, jest niezwykle kokieteryjny.

„Chcemy, żeby publiczność nie mogła złapać dystansu” – zapowiadali autorzy. Skojarzenie z wodzącym na pokuszenie i wiodącym do nieuniknionej katastrofy syrenim śpiewem jest o tyle adekwatne, że aranżacje Kuby Karasia, oparte na eksperymentalnym brzmieniu gitar i syntezatorów, doprawione wschodnim instrumentarium, natychmiast odsyłają do kolorowej scenografii „Córek dancingu” Agnieszki Smoczyńskiej. Nasączona koktajlem gatunków muzycznych z lat 80. płyta to drapieżny karnawał u Meluzyny. Ale przecież „dyskoteki to nie tylko bijatyki i śmiech” – jak przypominał dwa lata temu na płycie „Zawody” inny świetny, choć nie tak prowokacyjny męski duet Wczasy. Dyskoteka „to także smutek”, a produkowana na jej użytek muzyka syci się dziś nie tylko damsko-męskimi stereotypami, ale i obawami przed katastrofą klimatyczną czy zawłaszczeniem prywatności przez państwa i korporacje.

Ale po kolei, przedstawmy się. Piotra Roguckiego z powodzeniem scharakteryzować można tekstem Korzyńskiego o zadufanym rockmanie, który zawsze „jedzie na strasznym czadzie”. To wykształcony aktor (grał m.in. u Grzegorza Jarzyny) oraz wieloletni lider łódzkiego zespołu rockowego Coma, znany z niezwykle patetycznych (ma słabość do poezji śpiewanej), nieprzystających do ostrego brzmienia tekstów. Z kolei Kuba Karaś jest cudownym chłopcem (rocznik 1996) electropopu oraz połówką popularnego śląskiego duetu The Dumplings, który przez ostatnią dekadę mocno inspirował młodą polską scenę muzyczną. Razem z Justyną Święs nagrali dotąd trzy ciekawe albumy, objechali wszystkie letnie festiwale, zdobyli aplauz krytyki oraz wszystkie nagrody, które należało zdobyć. Nie pozostało im więc nic innego, jak zawiesić współpracę i spróbować nowych rzeczy – słusznie.

Międzypokoleniowe i międzygatunkowe spotkanie Karasia z Roguckim było zaskoczeniem. Ale szybko okazało się, że ciężki, melodramatyczny Rogucki świetnie odnajduje się w klubowej formule. Jego skłonność do przesady może mieć atrakcyjny, a nawet autoironiczny pazur. Płyta „Ostatni bastion romantyzmu” to – jak mówią sami panowie – erotyki motoryzacyjno-katastroficzne. Scenografią do tanecznego bitu są katastrofy drogowe i klęski żywiołowe (huragan Katrina i fale upałów), ciasnota i zaduch miasta (zatrute powietrze albo wręcz jego brak to jeden z najważniejszych tematów płyty), strach przed skutkami międzynarodowej polityki (wojny i „masowe migracje z Południa”) oraz zagładą cywilizacji, a w tle – nasza codzienna samotność. Czy w takich warunkach możliwa jest romantyczna miłość? A może utopijna wiara w jej moc jest jedynym sposobem na przetrwanie?

Duszna, mroczna, lepka wręcz piosenka „Ciociosan” jest szczególnie ↦

↦ wymowna. Inspirowana pewnym autentycznym nagraniem sprzed dekady dostępnym na YouTubie (szukaj: ciociosan), odwołująca się do typowej dyskotekowej sytuacji, w której dojrzały mężczyzna próbuje poderwać nieletnią dziewczynę. Balansujemy tu na granicy momentu, w którym niewinne zaproszenie na „małą śmierć" (*la petite mort*), ludowy romans, przechodzi w zbrodnię z użyciem ostrych narzędzi. Pani zabija pana, a wszystko wzięte jest znów w ironiczny nawias.

Ale bywa lżej, jak w piosence „Witaminy": mimo że „wrogie głosy głupców szumią w tle", to bliskość, jak witaminy, uzdrawia nasz układ immunologiczny – „dopóki jesteś, nie boję się, co będzie". Brzmi jak „Spowiedź dziecięcia wieku" albo *love song* na czas kwarantanny, szczególnie gdy „okna otwarte na pustkę i nie woła nas nic". Dość mimo wszystko optymistyczny *song*, szczególnie gdy posłuchamy wydanej w tym samym czasie dystopijnej płyty kanadyjskiej artystki Grimes „Miss Anthropocene" – już czytany głośno tytuł brzmi po prostu jak „mizantropia".

O ile Grimes, by opowiedzieć o klimatycznej katastrofie, wciela się w złowrogą boginię antropocenu, Karaś z Roguckim pozostają w śmiertelnych, podatnych na zranienia duchowe i fizyczne ludzkich ciałach („jestem poszatkowany, wszystko do wymiany"), które uparcie są jednak „centralą dobrych uczuć". Ale korzystają z tego samego zabiegu, co Pani Mizantropia – używają słodkich jak wermut brzmień muzyki pop do krytyki nienasyconych apetytów symbolizowanej przez nią kultury masowej. Wniwecz obracają oświeceniową koncepcję postępu. Nie pozostawiają nadziei na możliwość harmonijnego rozwoju świata, a jednocześnie – ocalają ludzkość jako żyjącą i czującą całość, łańcuch współzależnych bytów.

Brzmi poważnie jak na muzykę rozrywkową, ale „Ostatni bastion romantyzmu" tylko potwierdza, że obchodząca właśnie 50. urodziny polska dyskoteka wciąż czerpie pełnymi garściami z ironii romantycznego dramatu. Trafnie wyraża tęsknoty i choroby wieku, ujawnia pasje i namiętności, nie stroniąc od ćwiczenia się „w dżudzie" z codziennością. Ale przede wszystkim – skutecznie pozwala uciec przed weltschmerzem w iluzję wiecznotrwałej chwili.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Pożegnanie z wczoraj

ANITA PIOTROWSKA

To jeden z tych filmów, które lada chwila miały wejść na ekrany kin. A fakt, że został nakręcony w Chinach, dodatkowo wzmacnia jego wymowę.

Z PERSPEKTYWY DŁUGIEGO TRWANIA opowiada historię dwóch rodzin, ich życia na przekór śmierci i nieszczęściu, wbrew prywatnym kłamstwom i polityce tłamszącej prywatną wolność. Na dodatek wątki żałobne, widok pielęgniarki w maseczce czy matka pouczająca syna słowami: „Nie żałuj mydła!", przypominają, że Chiny są dziś bliżej niż kiedykolwiek. Epicki dramat, rozciągnięty na ostatnich 30 lat, podczas których dla mieszkańców Państwa Środka zmieniło się wszystko i nic, staje się uniwersalną opowieścią o poczuciu krzywdy czy brzemieniu winy. I o tym, co determinuje, a co jednak może być zależne od nas.

„Żegnaj, mój synu" obsesyjnie krąży wokół tematu utraty, rozumianej na różne sposoby. Mały Xinjian podczas zabawy z kolegami topi się w zbiorniku wodnym. Jego miejsce zajmuje po latach adoptowany chłopiec o tym samym imieniu, który nie może się odnaleźć w nowej rodzinie i znika nagle bez śladu. Wreszcie – choć to wydarzenie należałoby umieścić zaraz na początku tragicznej osi czasu – główna bohaterka Liyun na skutek komunistycznej polityki jednego dziecka musi dokonać aborcji, przez co ona i jej mąż Yaojun zostają potrójnie „osieroceni". Czy syna można zastąpić innym synem? Co czuje ten, który jest zamiast kogoś? Film Wanga składa się w dużej mierze z pytań, co może dezorientować, podobnie jak zmieniające się epoki – od rewolucji kulturalnej aż po drapieżny kapitalizm ostatnich lat. Raz jesteśmy w hotelu robotniczym i wielkiej fabryce, a za chwilę przeskakujemy do prywatnego mieszkania i warsztatu naprawczego gdzieś w małym nadmorskim mieście na południu kraju, dokąd bohaterowie przenieśli się zaraz po śmierci syna, pod prąd masowym tendencjom migracyjnym.

Podczas tego błądzenia w przestrzeni i czasie busolą stają się gadżety: magnetofon kasetowy, pierwsze komórki, komputer z szybkim internetem. Pną się do góry gigantyczne wie-

AURORA FILMS

Kadr z filmu „Żegnaj, mój synu”

żowce, tłem dla dawnych pomników coraz częściej są krzykliwe reklamy. Totalitarny komunizm po cichu wyradza się w nową, czasami nie mniej brutalną utopię. Tymczasem rodzina Yaojuna i Liyun oraz zaprzyjaźnione z nimi małżeństwo nadal niosą swój bagaż przeszłości, a w nim trudne do udźwignięcia tajemnice. Od wypadku Xinjiana czas dla pary głównych bohaterów jak gdyby się zatrzymał. Nie stali się beneficjentami cudu gospodarczego, nie snują dalekosiężnych planów. Czy znajdą w sobie miejsce na starą dobrą przyjaźń? Zwłaszcza że dawni przyjaciele fizycznie się oddalili, a zarazem poszli z duchem przemian. Symbolem tych skomplikowanych więzi jest powracająca w filmie tęskna melodia, znana na całym świecie jako „Pieśń pożegnalna”, z którą koresponduje także oryginalny tytuł filmu.

Jak przystało na film o czasie, „Żegnaj, mój synu” trwa aż trzy godziny, jego odbiór zaś przypomina lekturę powieści – rozlewnej i zarazem dygresyjnej, gwarnej i kontemplacyjnej, niespiesznie zmierzającej do finałowego oczyszczenia. Dlatego wymaga od widza skupienia i cierpliwości, co w warunkach domowych może być trudne. Wang lubuje się w zamaszystych, to znów detalicznych „opisach” – np. tego, jak mieszkał, pracował tudzież nielegalnie bawił się robotniczy kolektyw Chińskiej Republiki Ludowej. Wszechwiedzący narrator po aptekarsku dawkuje nam informacje, co tak naprawdę wydarzyło się w kręgu przyjaciół i krewnych: kto kogo zdradził, kto co wiedział, a co tylko przeczuwał, kto zawinił w kluczowym momencie... Zgiełkliwa przeszłość miesza się z melancholijną teraźniejszością, czego wyrazem są twarze głównych aktorów, zmieniające się na przestrzeni kilku dekad. Wang Jingchun w roli Yaojuna i Yong Mei w roli Liyun nagrodzeni zostali za te kreacje na ubiegłorocznym festiwalu w Berlinie.

Współscenarzysta i reżyser, należący do tzw. szóstej generacji chińskich filmowców, znany m.in. jako twórca „Roweru z Pekinu” (2001), kreśli swój fresk szerokim i finezyjnym gestem, lecz równocześnie potrafi zastosować bardziej intymne oświetlenie i współodczuwać ze swoimi bohaterami. Robi to jednak, z wyjątkiem łzawego finału, w sposób mało sentymentalny, co przy nielinearnej narracji i nagromadzeniu postaci trzyma widza na dystans. Mimo to „Żegnaj, mój synu” działa wzmacniająco niczym nalewka z żeń-szenia. Pokazuje ludzi, którzy są w stanie przetrwać wszystko to, co niesie ze sobą świat zewnętrzny: polityczny reżym, społeczny darwinizm i osobiste ciosy, ocalając w sobie bezcenne umiejętności – wyznawania win oraz ich przebaczania. Przynajmniej wobec tych, których się kocha.

Bo ludzie mogą tutaj liczyć wyłącznie na innych ludzi – pod warunkiem, że pootwiera się wszystkie stare szafy i uwolni drzemiące w nich upiory. A do tego, by poradzić sobie z ich realną obecnością, trzeba nie lada wewnętrznej krzepy. W tym sensie „Żegnaj, mój synu” to film jak najbardziej na dziś – jako wyraz postawy, która nie pozwala pogrążyć się w rozpaczy. Ktoś nazwie to pokorą, ktoś inny odpornością na ciosy, jeszcze inny skojarzy z filozofią stoicką, buddyjską, konfucjańską czy chrześcijańską. Jednakże Wang poszukuje tego nie w słownych deklaracjach i wielkich gestach, ale raczej w rzeczach drobnych. W pojedynczych spojrzeniach, bolesnych przemilczeniach i tych wszystkich ulotnych chwilach, które znacząco spowalniają film, a jednocześnie współtworzą jego emocjonalną tkankę. Choćby dlatego warto podjąć próbę rozsupłania tej misternej struktury. ©

ŻEGNAJ, MÓJ SYNU *(Di Jiu Tian Chang) – reż. Wang Xiaoshuai. Prod. Chiny 2019. Dystryb. Aurora Films. Dostępny na VOD.pl.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV

1. Oficer i szpieg

Dramat, reż. Roman Polański, Francja 2019, VOD.pl

Ekranowy powrót do sprawy Dreyfusa odbył się w cieniu zarzutów ciążących na twórcy tego filmu. Reżyser „Pianisty” odtwarza tu okoliczności, w których francuski oficer żydowskiego pochodzenia został niesłusznie oskarżony o zdradę, lecz jednocześnie bada uniwersalne mechanizmy inwigilacji i zaszczucia. Występują m.in. Louis Garrel, Jean Dujardin i Emmanuelle Seigner.

2. In Touch

Dokumentalny, reż. Paweł Ziemilski, Polska 2018, Ninateka

W czasach przymusowej izolacji ten dokument nabiera szczególnej siły. Na przykładzie mazurskiej wsi Stare Juchy, której połowa mieszkańców wyemigrowała za pracą na Islandię, pokazuje możliwości komunikowania się na odległość. Społeczno-filmowy eksperyment z udziałem Skype’a zamienia się w emocjonujący poemat na temat bliskości i jej braku.

3. Obóz godności

Dokumentalny, reż. Nicole Newnham, James LeBrecht, USA 2020, Netflix

„Rewolucja w życiu niepełnosprawnych” – tak mówi się o ruchu, który zaczął rozkwitać na początku lat 70., niedaleko Woodstock. Obóz młodzieżowy Jened stał się miejscem, gdzie wykluczana grupa zyskała nową świadomość swoich praw. Współtwórca dokumentu urodził się z rozszczepieniem kręgosłupa i był uczestnikiem tego obozu. Film otrzymał nagrodę publiczności festiwalu Sundance.

4. Co robimy w ukryciu 2

Serial, reż. Taika Waititi i inni, USA 2020, HBO GO, sezon 2, odc. 1, 2, 16 IV, kolejne odcinki co czwartek

Twórca „Jojo Rabbit” powraca do filmu pod tym samym tytułem i do serialu, w których główną rolę odgrywały mocno odczarowane wampiry. W konwencji fałszywego dokumentu opowiada o perypetiach zagubionych w czasie zębatych ekscentryków rezydujących na nowojorskiej Staten Island. Coś dla wielbicieli czarnego humoru.

JAN

Klata:
Tradycje walki

Pomiędzy pandemią, suszą a nawrotem pandemii, w Wielkim Tygodniu 2020, wyrabiamy sobie nowe umiejętności: posługiwanie się łokciami zamiast dłońmi oraz wyrażanie emocji w maseczkach. Znaczenie łokcia wkroczyło niespodzianie, ale nie dla rodaków przygotowanych historycznie, czyli nieznających dziejów, a w dziejach potomków Polan działo się, oj, działo!

Mamy bowiem w ojczyźnie Polanek i Polan tradycję walki z koronawirusami, zanim stało się to modne. Podręczniki historii, które niebawem będzie można nabyć w kramikach na poczcie, z pewnością zwrócą uwagę, że pierwszym na polu walki z epidemią był nie kto inny jak Władysław Łokietek. On pierwszy zauważył, że dłonie są zdradliwe i niebezpieczne, zwłaszcza dłonie chwytne. Od niego właśnie Europa czerpała wzorce nieprzenoszenia bakterii na twarz, cała Europa z potomkami Pepina Krótkiego oraz Karola Łysego na czele uczyła się nieużywania dłoni. Przecież byle zachodni Karol Młot nigdy by nie wpadł na to, że można łokciem wrzucić głos do skrzynki, nieprawdaż?

A teraz mimika. Kto pierwszy na świecie posiadł umiejętność wyrażania emocji w maseczce? Sejm niemy? Nie, bynajmniej! Słyszę Waszą odpowiedź... Tak: Bolesław Krzywousty! Krzywousty był pionierem w tej dziedzinie, wyprzedzał swój czas, bezpiecznie wyrażając emocje, nawet te najbardziej gwałtowne. Obecnie musimy tylko powrócić do sprawdzonych historycznych przykładów, a Europa znów będzie się od nas uczyć, zamiast ciągle się testować.

Skonstatowawszy naszą genetyczną wyższość cywilizacyjną, teraz możemy sobie w rękawiczkach przyszyć do maseczki zuchową Sprawność Historyka Postpandemika. Na następnej lekcji zajmiemy się kolejnym rozdziałem staropolskiej tradycji unikania zakażenia i minimalizacji przenoszenia wirusa na twarz na przykładzie Władysława Laskonogiego!

PS. Dla tych, którzy posiadają balkony: opalony mięsień wygląda na większy. To tak *à propos* Łokietka, bez żadnego trybu. ©

Lektor:
Historia dzielenia

▪ *Eliot Weinberger*
WODOSPADY
Przełożyli Søren Gauger i Stefan Klemczak
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2020, ss. 78.

Mimo skromnej objętości nie jest to lektura lekka: opowiada, jak przez tysiąclecia szukano uzasadnienia, najpierw religijnego, potem naukowego, dla dzielenia ludów na lepsze i gorsze (włącznie z odmawianiem niektórym człowieczeństwa), na rasy wyższe i niższe. Pokazuje, jak głęboko zakorzenione jest myślenie w kategoriach wyższości rasowej bądź narodowej, jak mocno wniknęło ono w politykę i kulturę, i jak bardzo do jego utwierdzenia przyczynili się uczeni z rozmaitych dziedzin.
To właściwie lapidarny przegląd historycznych przypadków i światopoglądowych stanowisk, niemal bez odautorskiego komentarza. Zaczyna się od biblijnej Księgi Rodzaju i rozmaitych interpretacji historii synów Noego, Sema, Chama i Jafeta, a kończy streszczeniem nowożytnych dziejów Rwandy, pokazującym źródła ludobójczego konfliktu.
Lista cytowanych autorów jest długa, znajdziemy na niej oczywiście teoretyków rasizmu, jak Arthur de Gobineau i Houston Stewart Chamberlain, ale są też sanskrytolodzy, indyjscy nacjonaliści, Marks polecający Engelsowi książkę francuskiego podróżnika, wedle którego geologiczna struktura danego obszaru determinuje cechy zamieszkujących go ludzi, specjaliści od badania czaszek i nosów, teozofka Helena Bławatska i tak dalej, i dalej...
Urodzony w 1949 r. w Nowym Jorku Eliot Weinberger jest eseistą, tłumaczem z hiszpańskiego (Octavio Paz, Jorge Luis Borges) i chińskiego (Bei Dao), a także publicystą – znanym zwłaszcza ze swojej krytyki interwencji w Iraku. Søren Gauger, współtłumacz „Wodospadów", to Kanadyjczyk osiadły w Krakowie, przekładający na angielski m.in. Witkacego, Brunona Jasieńskiego i Jerzego Ficowskiego, autor dwóch wydanych po polsku tomów prozy – drugi, „Rzeczy niewysłowione", właśnie się ukazał nakładem Niszy. Jak pisze w posłowiu do „Wodospadów", Weinberger przekazał mu, że ten esej powstał w 1999 r. jako „pożegnanie XX wieku". „Być może to pożegnanie wygląda na przedwczesne – komentuje Gauger. – Wydaje się, że w naszym wieku niewiele trzeba, by wzbudzić te same zabobony i lęki, które od stuleci okazują się przewidywalnie skuteczne. Wystarczy (...) wyciągnąć z lamusa te same wysłużone metafory i mity, zakurzone, acz zdumiewająco nietracące nic na żywotności". Dodałbym, że takie niebezpieczeństwo nasila się w momentach kryzysów. Więc uważajmy. I czytajmy. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pierwsza potrzeba

Pięćdziesiąt trzy procent. O tyle mniej szampana kupowali w połowie marca Włosi – w porównaniu z analogicznym momentem rok temu. Można zachichotać, że dobrze im tak, odechciało się patrycjuszom ostentacji bogactwa. Bo jak tu epatować Krugiem rocznik 2004, kiedy potencjalna publiczność tego teatru została w domach? Chyba że pokazać się na Instagramie... Ale tu trzeba roztropnie stąpać po cienkim lodzie resentymentu: jeden z moich ulubionych hasztagów wymyślonych w ostatnich dniach to *#guillotine*. Zaczęto go dopisywać w komentarzach pod zdjęciami ikon masowej wyobraźni pchających ludziom przed oczy widoczki dziewiczych plaż pod palmami czy malachitowych łąk, wśród których przyszło im cierpieć trudy odosobnienia.

Żeby w głowie niejednego mieszczucha zaskrzypiała gilotyna, wystarczą zdjęcia znajomych, którzy mają ów normalny atrybut klasy średniej, jakim jest wiejski dom, dwa hektary lasu, zarosły zielskiem nieużytek. Tam można puścić luzem wariujące w zamknięciu dzieci, samemu poczytać na trawie albo rozpalić ognisko bez obaw, że capnie nas karząca ręka państwa, które – tak to już w Polsce musi być – swoją wątpliwą siłę musi okrasić dozą czystego absurdu i nadgorliwości gorszej niż sabotaż.

Takie czasy, że wyróżnikiem przywileju staje się nawet plastikowa piaskownica z Castoramy rozstawiona na klepisku za garażem, dokąd nie sięgają oczy kapusiów z sąsiedztwa ani czujnych służb. Co prawda, w sytuacji krańcowej zaraza jest ślepa na status, ale przed krańcem dzieje się wiele rozmaitych rzeczy, które z równością nie mają nic wspólnego. Nawet w rozrzedzonej atmosferze społeczeństwa wirtualnego obowiązuje wyznaczone przez francuskich matematyków w XVIII w. tzw. równanie Marii Antoniny, opisujące współzależność między narcyzmem, interpersonalną tępotą a torem lotu swobodnie poruszającej się głowy.

Szampan się kurzy na półkach, ale to nie znaczy, że Włosi kupują mniej wina. Studiuję ich teraz uważnie, bo – podobnie jak w przypadku kredytu kupieckiego w finansach, zapisu „winien/ma" w księgowości, perspektywy geometrycznej w malarstwie, klasycyzmu w architekturze, totalizmu w polityce i sosu pomidorowego w kuchni – znów są w awangardzie i przecierają szlak, chociaż tym razem woleliby zasiąść w ostatniej ławce. Widzę w tabelach znaczny spadek w kategorii produktów do depilacji – co tylko potwierdza intuicję, że to obszar, w którym kultura zadaje połowie ludzkości okropny gwałt. Ale wróćmy do wina: wzrosła u nich sprzedaż w segmencie produktów krajowych (czyli tańszych, bo do kraju będącego winiarską potęgą jest sens importować tylko te z najwyższej półki), podobnie jak innych niepsujących się artykułów spożywczych pierwszej potrzeby. Nasz mediolański korespondent pisał tydzień temu, że tamtejsza policja potrzeby posiadania wina nie uważa za pierwszą – i wlepia mandaty klientom wracającym ze sklepu z flaszką. Pomińmy już argument medyczny – że wino pite z rozsądnym umiarem raczej pomaga zachować zdrowie. Nie ma takiej ziemskiej władzy, która miałaby prawo orzec, że przyjemność nie jest pierwszą potrzebą człowieka.

Kiedy zaczynaliśmy się izolować, policzyłem butelki w spiżarni. Czterdzieści. Koledzy patrzyli z podziwem, ale to wcale nie jest dużo, szukałem więc alternatywy. Każdy w tych dniach dowiaduje się o sobie nowych rzeczy – ja od niedawna wiem, że lubię ciastka. Długo mijałem renomowaną ciastkarnię obok swej samotni na Kazimierzu. Staroświecką w wystroju i stylu wyrobów. Aż nagle, żeby nadać ograniczonym wyjściom po artykuły pierwszej potrzeby choćby zarys hedonizmu, zacząłem zaglądać, gawędzić z właścicielem (o ile za drzwiami nie było kolejki). I podjąłem się spróbowania wszystkiego po kolei.

Na pierwszy ogień poszły utwory bezowe – jako że nigdy nie udała mi się porządna beza, odczuwam w tej materii kompleksy. Potem torty. Mam jeszcze przed sobą rozdział ciast serowych. I kilka tart. Wątroba przed snem odzywa się gniewnie – jakby wolała zajmować się winem – ale dodaje ze zrozumieniem: nie mają wolności, niech jedzą ciastka. ©℗

AMIEL / EAST NEWS

Na trzy dni odcięty od ciastkarni, o swoją pierwszą potrzebę zadbam deserem o znakomitej relacji nikłego nakładu pracy do rozkoszy końcowego efektu. Banoffee pie wynaleźli Brytyjczycy dopiero w latach 70. i aż dziw, że ludzkość tak długo mogła bez niego żyć. Tłuczemy 150 g ciastek owsianych i do tak uzyskanych okruchów wlewamy ok. 50 g stopionego masła. Masą wylepiamy spód tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia. Powinno starczyć na 20-centymetrową – to nieco za dużo dla singla, a trochę za mało dla pary. Wylewamy warstwę ok. 1 cm kajmaku – na pewno zostanie po robieniu mazurków (ja przez 2 godziny gotuję zamkniętą puszkę mleka skondensowanego, ale można kupić gotowy). Na to plasterki bananów skropione uprzednio sokiem z cytryny, a potem warstwa kremu, który uzyskujemy ubijając na sztywno 200 ml śmietanki ze szczyptą soli i wkręcając na sam koniec, na małych obrotach miksera, ok. 150 g mascarpone. Ja kremu nie słodzę, bo to, co pod spodem, i tak jest potwornie słodkie. Musi to się odstać parę godzin w lodówce. Na wydaniu można wyłożyć plasterki banana i posypać gorzkim kakao.

Z LODU, POWIETRZA I OGNIA

Aby pokonać strach, jesteśmy gotowi na wiele. Aby osiągnąć przyjemność, gotowi jesteśmy pokonać strach.

JUSTYNA BARGIELSKA

Ósmy lutego, pełnia. Ogromny Śnieżny Księżyc, jak go nazywali rdzenni mieszkańcy Ameryki, daje się podziwiać z każdego miejsca w Polsce, ale tu, gdzie stoję, mam wrażenie, że gdybym trochę bardziej wyciągnęła rękę, mogłabym go dotknąć.

Musiałabym jednak wyjąć tę rękę z wody, co – znam swój organizm – stanowiłoby wstęp do wyjścia na brzeg, a ja chcę zostać jak najdłużej, więc nie, nie sięgam po księżyc. A jednak nie potrafię się powstrzymać, muszę jakoś uczcić tę wspaniałość, więc odłamuję kawałek cienkiego lodu, którym pokryte jest jezioro, i przyglądam się księżycowi przez tę taflę. „Jaki piękny" – mówię i podaję ten improwizowany okular kolegom zanurzonym obok mnie. Biorą, patrzą, ktoś zaczyna się trząść, w końcu jesteśmy tu już dobry kwadrans, wychodzimy.

Nasze jeziorko wylało, więc w błocie po kolana wędrujemy do stojącej kilkadziesiąt metrów dalej mobilnej sauny. Jesteśmy nadzy, ale ja zakładam klapki: mam fobię na każdą okoliczność, tutaj odzywa się mój strach przez szkłami. W młodości nosiłam figi z nazwami dni tygodnia, teraz mogłabym mieć na nich nadruki „agorafobia", „akrofobia", „klaustrofobia" czy właśnie „hielofobia", koniecznie w wesołych, pastelowych odcieniach. Po drodze utopię te klapki w błocie kilka razy i za każdym razem będę się z tego głośno a niemądrze śmiała. Nie kontroluję tego, mój mózg tonie w endorfinach. Gdy cykl morsowania i saunowania na pustej podwarszawskiej plaży powtórzę jeszcze kilka razy, nawet nie zauważę, że coś zgubiłam.

Co nas nie zabije

„Piękno lodu polega na tym, że zmusza cię do powrotu do tego, co stanowi twoją istotę" – mówi kalifornijski trener ultramaratończyków, Brian MacKenzie, dziennikarzowi Scottowi Carneyowi, którego najpierw doprowadził na skraj zapaści treningiem interwałowym na rowerze stacjonarnym, a potem kazał mu wskoczyć do beczki z lodem.

Ta autorska metoda zwiększenia wydolności organizmu trafia Carneyowi do przekonania od razu, jak tylko ustępuje przerażające wrażenie, że tym razem jego organizm nie wytrzyma fizjologicznego szoku. To zresztą zwrot akcji nadużywany nieco w książce, którą cytuję: „Co nas nie zabije" to próba zdemaskowania Wima Hofa, pochodzącego z Królestwa Niderlandów „Icemana", znanego głównie z tego, że siłą umysłu potrafi kontrolować temperaturę ciała. Do Hofa należy również rekord Guinnessa w długości kąpieli w lodzie: dwie godziny. Bez kilku minut.

Carney używa ogranego chwytu, który musi rozczulać w tak zatytułowanej pozycji: szarlatan z pierwszych stron nieuchronnie na ostatnich staje się guru, po drodze zaś demaskator kilka razy ociera się – przynajmniej w swojej ocenie – o śmierć, co oczywiście sprawia, że staje się silniejszy, odważniejszy, bardziej otwarty i, *last but not least*, piękny. A jednak kalifornijski trener ma rację, lód zmusza do powrotu do tego, co stanowi naszą istotę: jak każde gwałtowne i stanowcze zatrzymanie się, jak każde nagłe przejście z działania do trwania.

„Nasze przetrwanie zależy od dostępu do pożywienia, a nasze zmysły smaku i powonienia są podstawowymi częściami składowymi mózgowego układu nagrody – tego samego, który podsyca nasze zainteresowanie seksem lub narkotycznymi środkami pobudzającymi" – pisze szef działającej w Oksfordzie Grupy Badawczej „Hedonia", Morten L. Kringelbach, w książce „Ośrodek przyjemności". Pisze, choć nie musi: tę prawdę na podstawowym poziomie zinternalizowaliśmy wszyscy, asceci może z mniejszym entuzjazmem. Czy jednak w tej tezie nie warto się dla odmiany skupić na definicji przetrwania w czasach, które tak hojnie poszerzyły katalog możliwych zagrożeń, by wróciwszy następnie do definicji przyjemności, znaleźć ją równie szczodrze rozszerzoną?

Jest taki wiersz siedemnastowiecznego poety angielskiego Roberta Herricka, „Delight in disorder". Stanisław Barańczak przełożył ten tytuł na „Rozkosz w rozgardiaszu", ta przyjemna aliteracja pasuje, owszem, do błahej pochwały damskiego dezabilu, którą jest ten wiersz, ale dopiero wspaniały konflikt pomiędzy „l" a „r" w oryginalnym tytule sugeruje prawdziwe i pożądane źródło przyjemności współczesnego człowieka.

ANNA REIF / ARCHIWUM PRYWATNE JUSTYNY BARGIELSKIEJ

...odłamuję kawałek cienkiego lodu, którym pokryte jest jezioro, i przyglądam się księżycowi przez tę taflę.

Justyna Bargielska, Jezioro Kiepura, Jabłonna, 8 lutego 2020 r.

Bo odnoszę wrażenie, że tak wyraźne, tak zdecydowane przedefiniowanie przyjemności to zdobycz – lub przekleństwo – ostatnich dekad, choć oczywiście mogę się mylić, bo nie jestem badaczem, tylko użytkownikiem (i mówię o przedefiniowaniu przez użytkowników, nie przez filozofów czy psychoanalityków). Skłaniałabym się ku zdobyczy, bo tak właśnie lubię postrzegać ewolucyjne zmiany, dzięki którym gatunek, do którego należę, zwiększa swoje szanse na przetrwanie.

Twardziele, w tym kobiety i dzieci

Adrenaline junkies nie muszą czekać, aż ktoś ich wyśle w bombowcu nad południową Wielką Brytanię, ani nawet wdawać się w barowe bójki: mogą swój nałóg zaspokoić w Tough Guy, morderczym wyścigu organizowanym od lat 80. ubiegłego wieku w ostatnim tygodniu stycznia, który w środkowej Anglii sam w sobie jest wyzwaniem dla organizmu. Organizatorzy gwarantują zawieszone wysoko liny, rury ściekowe, druty kolczaste, ale przede wszystkim rozliczne rowy z lodowatą wodą „umiejscowione tak, żeby uczestnicy przemokli zaraz na początku i nie zdążyli się otrząsnąć z zimna aż do końca". Brać w nim udział mogą kobiety, jest też specjalna edycja Tough Kid.

„Nie ma drugiego takiego wyścigu. Na mecie jesteś rozbity i wykończony, trzęsiesz się i krwawisz, i obiecujesz sobie, że nigdy więcej. Ale pięć minut później, kiedy rozgrzewasz się ↦

GRAŻYNA MAKARA

↦ przy ogniu, zaczynają krążyć w tobie endorfiny i wszystko, co złe, mija. Tough Guy jest jak narkotyk. Wiadomo, że wrócisz po więcej" – mówi jeden z uczestników weteranów. Niektórzy porównują tę przygodę do porodu, „tak jak go sobie wyobrażają" (dodaje rozsądnie Carney), w którym efekt jest wart przecież każdego bólu. Niedyskutowalną konieczność ćwiczenia fundamentalnej dla przetrwania hormonalnej reakcji „walcz lub uciekaj" współcześnie możemy realizować w atakach paniki, co jest – wyjątkowo nieprzyjemnym, mówię z własnego doświadczenia – puszczaniem pary w gwizdek, lub w tego rodzaju, wbrew pozorom stosunkowo bezpiecznych, eventach.

ARCHIWUM PRYWATNE JUSTYNY BARGIELSKIEJ

...nic lub niewiele w tej sytuacji zależy od nas, kontrolę ma instruktor, przypięty do naszych pleców – możemy mu zaufać lub nie, ale ten akt zaufania również nie będzie miał większego wpływu na przebieg skoku. Aeroklub Strzelce Małe, 27 października 2019 r.

Dla ja

Tough Guy miał tylko jedną ofiarę śmiertelną. Georges Bataille powiedziałby, że to dlatego, iż „nasze zasoby wyczerpują się i pragnienie w nas zamiera, skoro tylko zaczyna zagrażać nam zbyt oczywiste niebezpieczeństwo". Z drugiej strony depresja, z jej anhedonią, w której toczy się heroiczne walki o odczuwanie przyjemności, będzie według WHO w tym roku drugą na świecie w kolejności przyczyną niepełnosprawności, a na tzw. dużą depresję choruje w każdym momencie 150 milionów ludzi.

Trudno się dziwić, że nie szukają ukojenia w slow joggingu czy pieleniu ogródka, zwłaszcza jeśli się pamięta, że zdolność do odczuwania przyjemności jest jedną z podstawowych oznak zdrowia. I trudno mieć im za złe, że walcząc o przyjemność, sięgają po aktywności niekiedy przerażające. Anhedonia upodabnia nas do robotów i to jeszcze tej starej generacji, tych Asimova, tych logiczno-etycznych: Kringelbach uważa, że jeśli chcielibyśmy obdarzyć sztuczną inteligencję cechami ludzkimi, w pierwszym rzędzie musiałaby otrzymać jakiś układ nagrody. Dla niego przyjemność warunkuje nie tylko zdrowie, *de facto* świadczy o człowieczeństwie; przyjemność, podkreślmy, cielesna: „sztuczne świadome istoty prawdopodobnie miałyby także ciała, gdyż nasza świadomość mieści się w, powiedzmy, fizyczności", dodaje.

Bataille jest piewcą trwogi, zwłaszcza w odniesieniu do przyjemności seksualnej. Bez trwogi „seksualność byłaby jedynie czymś zwierzęcym i nie miałaby charakteru erotycznego. Jeśli chcemy jasno przedstawić sobie ten zupełnie niezwykły efekt, musimy porównać go z chwilą oszołomienia, przy której strach nie paraliżuje, lecz wzmacnia mimowolne pragnienie upadku, albo z szaleńczym śmiechem, kiedy to dzieje się coś bardzo groźnego, a my pod wpływem nagłej trwogi zaczynamy się śmiać jeszcze głośniej, choć doprawdy za wszelką cenę powinniśmy się od śmiechu powstrzymać".

Mimowolne pragnienie upadku przywodzi na myśl słynną „Strategię numer pięć" z klasycznego a przystępnego poradnika „Pokonać lęki i fobie" Bemis i Barrady: czując narastającą panikę, spróbujmy świadomie utracić kontrolę nad sobą – im bardziej staramy się opanować, tym trudniej nam to przychodzi.

Pozwólmy sobie upaść: strach, jak pisze Frank Herbert w „Diunie", to „mała śmierć, a wielkie unicestwienie". Dalsza część litanii zakonu Bene Gesserit przeciwko strachowi jest przekładem żargonu porady psychologicznej na język poezji: „[strach] Niech przejdzie po mnie i przeze mnie. A kiedy przejdzie, odwrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja".

A „ja" to „ty", „my", „wy" i „oni" XXI wieku.

Żywioły

Aby pokonać strach, jesteśmy gotowi na wiele. Aby osiągnąć przyjemność, gotowi jesteśmy pokonać strach, także ten przed ośmieszeniem, jakie, sądzimy, czeka nas, kiedy pozwolimy sobie na utratę kontroli. „Upadek", utrata kontroli, jest przydatny, gdy celem jest przyjemność seksualna, zwłaszcza ta osiągana z drugim człowiekiem, ale to tylko jedna z wielu atrakcji, którymi możemy się cieszyć z kimś czy w grupie: w tandemie np. można również skoczyć ze spadochronem.

I jest to sport ekstremalny, na który pozwalają sobie osoby, których nigdy byśmy o ekstremalne ciągoty nie posądzili. Skaczą, a potem opowiadają, że na wysokości czterech tysięcy metrów ich akrofobia minęła jak ręką odjął. „To kwestia perspektywy", mówią, na tej wysokości, bo wysokość sama stała się nierzeczywista, absurdalna, niegroźna. Jednocześnie nic lub niewiele w tej sytuacji zależy od nas, kontrolę ma instruktor, przypięty do naszych pleców – możemy mu zaufać lub nie, ale ten akt zaufania również nie będzie miał większego wpływu na przebieg skoku. Osoby z fobią społeczną (samolot jest raczej szczelnie wypełniony skoczkami i instruktorami), chorobliwie lękające się utraty panowania nad sobą, kobiety, które na co dzień boją się obcych mężczyzn w mundurach, teraz pozwalają spiąć się z obcym mężczyzną dość siermiężnie wyglądającą uprzężą i doświadczają czystej *delight in disorder*.

Żywioł wody, żywioł powietrza, zimno i gorąco – jako gatunek dramatycznie osłabliśmy nie wystawiając się na ich działanie, wybierając komfort i termostat. I znowu Bataille: „teraz natury pragnie się już po jej odrzuceniu, to pragnienie nie polega już na uleganiu przymusowi".

Sądzę, że zgodziłaby się z nim moja koleżanka, znakomita naturopatka, która tuż przed pandemią próbowała zorganizować wspólne dla naszej grupy morsów chodzenie po rozżarzonych węglach. Próbuję zrozumieć, dlaczego to jest dobre, ciekawe, zdrowe, a przede wszystkim – dlaczego jest to przyjemne. Węgle mają temperaturę około siedmiuset stopni Celsjusza, czy jest to temperatura tak dla ludzkiego postrzegania absurdalna jak wysokość, z której skacze się ze spadochronem, a zatem niestanowiąca istotnej zmiennej w tym równaniu? Koleżanka wyprowadza mnie z błędu: całą przyjemność z chodzenia po węglach przeżyła w głowie, głównie dzięki tej ogromnej liczbie, dzięki świadomości, że bosą stopą przeszła przez pogorzelisko, w którym teoretycznie można by stopić aluminiowy widelec, gdyby ktoś się jeszcze takimi posługiwał. W głowie, ale i w reszcie ciała: wyrzut endorfin, wszystko jedno czym spowodowany, niesie ze sobą konkretne somatyczne efekty.

A endorfiny to m.in. odporność. Jeszcze nie tak dawno byliśmy przekonani, że z huśtawki ciągłego spadku i przyrostu odporności wyłączony jest mózg. W 2015 r. pismo „Nature" opublikowało wyniki badań neurobiologa Jonathana Kipnisa, z których wynika, że mózg ma bezpośrednie połączenie z układem odpornościowym poprzez naczynia, o których istnieniu wcześniej nie było wiadomo: „Obecność funkcjonalnego, klasycznego układu limfatycznego w ośrodkowym układzie nerwowym każe nam ponownie przyjrzeć się obowiązującym dogmatom, jeśli chodzi o odporność mózgu oraz jego immunologiczne uprzywilejowanie".

W wywiadach naukowiec cieszył się, że w świetle jego i jego zespołu odkrycia możliwe będzie zastąpienie ezoterycznych pytań o związki między układem nerwowym a odpornościowym – mechanistycznymi. Dla naukowca musiała to być wielka ulga, poetka natomiast nie byłaby poetką, gdyby nie zadała pytania o możliwość odwrotną: czy odkrycie to daje nam prawo mechanistyczne pytania o immunologiczne aspekty choroby Alzheimera zastąpić ezoterycznymi pytaniami o to, czy mózg może sterować naszą odpornością? Taką mniej więcej nowinę głosi światu niderlandzki Iceman, zwłaszcza ze strony środowiska farmaceutycznego napotykając znaczny opór, ale przyznam, że ten rodzaj myślenia kształtującego rzeczywistość jest znacznie bardziej fascynującą możliwością niż prosta zależność między długotrwałym stresem a zespołem jelita drażliwego.

Rozpad jaźni

„Przed każdą Grozą – jest prób seria" – pisze Emily Dickinson. Opisane przyjemności w większości można by zakwalifikować jako skutkujące euforią ocieranie się o śmierć, „prób serię", prób rozumianych zarówno jako przymiarki, jak i wyzwania, w których nagrodę stanowi fakt, że po raz kolejny była to tylko próba, w dodatku taka, z której wyszliśmy zwycięsko.

Retoryka wygrywania, pokonywania własnych ograniczeń jest zresztą nagminnie do opisywania tych przyjemności stosowana, prawdopodobnie dlatego, że gdy przyjdzie do próby ostatniej, do Grozy, sądzimy, że przegramy ją ostatecznie i bez możliwości rewanżu. A jednak dla badaczy nadal najbardziej tajemniczą przyjemnością jest ta, która nie wiąże się ani z przeczuciem nagrody, ani ze strachem przed śmiercią: czysta zabawa.

> Nie da się zaaranżować eksperymentów, w których można by było **skanować mózg w stanie zabawy.** Nie wiemy, które jego obszary są odpowiedzialne za jej kontrolę.

Kringelbach tłumaczy, że zwyczajnie nie da się zaaranżować eksperymentów, w których można by było skanować mózg w stanie zabawy i dzięki temu dowiedzieć się, które jego obszary są odpowiedzialne za jej kontrolę. Zabawa, w której zapominamy o bożym świecie, stan przepływu, czy inaczej – absorpcji, „rozpad jaźni, który następuje w trakcie podstawowych przyjemności, bez oczekiwania na nagrodę z zewnątrz".

Dorosłym niewiele pozostaje sposobów na osiągnięcie tego stanu, można zjeżdżać z góry na nartach albo uprawiać seks, ale uciążliwości dorosłości polegają m.in. na tym, że nie zawsze da się bezinteresownie zjeżdżać na nartach, już nie wspominając o seksie. O redefiniowaniu przyjemności, które opisuję, w kierunku, jaki nakreślam, myślę zatem jako o jedynej dla siebie drodze, która pozwoli mi nie popaść w robotyczne odrętwienie, stan zawieszenia między logiką a okrojoną etyką Asimovowskiego kodeksu, jako o drodze, na której możliwy jest rozwój. Z drugiej strony bardzo życzyłabym sobie zachować na tej drodze ów rodzaj czujności, który umożliwi mi, gdy znienacka dopadnie mnie zabawa, przepływ, absorpcja, radosny rozpad jaźni, poddać im się bez wymówek i bez reszty.

Bo, wracając do Emily Dickinson, myślę czasem, że „ów giętki Konkurent, / który zdobywa nas w końcu", po tych wszystkich „ukradkowych zalotach" epizodów prawie-że-hipotermii, „insynuacji mętnych" swobodnego spadania z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, zanim otworzy się spadochron, „niejasnych aluzji" chodzenia po rozżarzonych węglach o temperaturze tylko trochę niższej niż ta w krematoryjnym piecu, może mieć dla mnie na sam koniec czystą, bezinteresowną zabawę. Tak jest, sądzę, że śmierć może być ogromnie przyjemna.

© JUSTYNA BARGIELSKA

RDC POLSKIE RADIO **JUSTYNA BARGIELSKA** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 15 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
Życie na poczcie

Rzecz jasna wybory organizowane przez pocztę – zwłaszcza pocztę tutejszą – widzimy w świetle silnie różowym. Pomysł bardzo się nam podoba, jest to coś absolutnie na miarę sprawdzianu dla tej organizacji, znanej raczej z tego, że łatwiej w jej placówkach doznać nawrócenia bądź historycznego wyklęcia, niźli przykleić do koperty właściwy znaczek.

Serio mówiąc, póki w projekcie głosowania pocztowego była kara więzienia za nieoddanie karty – bodaj trzy lata – póty ta impreza nas interesowała. Wybór izolatki nas interesował, bo przecież nie wybór Andrzeja Dudy. Poza tym ta regulacja prawna ustanawiała, poprzez groźbę uwięzienia, wybory po prostu obowiązkowymi, co bodaj umknęło nie tylko specom od kodeksów, ale też elektoratowi, o którym wiemy tyle, że wyborami interesuje się raczej średnio. Wizja połowy społeczeństwa idącego czwórkami, zamiast na pocztę, do więzień, w których też nic nie działa, była powabna. Teraz, gdy chwilowo za niezagłosowanie nic nie grozi, nasze zainteresowanie tym wydarzeniem spadło do zera.

Choć nie. Ewidentna jawność wyborów zachęca nas do występu w tym cyrku, idzie nam o powiązanie głosu z danymi wrażliwymi. Chcecie, żeby Ziobro z Kamińskim wiedzieli, na kogo zagłosowaliście? Głosujcie korespondencyjnie. Wszędy słyszalne porównania tej sytuacji do Bawarii uważamy za celne, ale nieco w innym sensie i kontekście, niż robią to zatrudnieni w publicznych mediach funkcjonariusze partyjni.

Otóż, co zapewne też ważne – nie jesteśmy już ani dziećmi, ani członkami klubów „Gazety Polskiej" – by znajdować przyjemność w uczestniczeniu w nominacji Dudy na prezydenta. Bo te wybory nie będą wyborami, lecz partyjną nominacją i tejże celebrą. To już są naprawdę zabawy dla amatorów, dla działaczy powiatowych z marzeniami o zapachu centrali, dla pewnej określonej kasty o konkretnej umysłowości. I tyle, bo o gustach się przecież nie dyskutuje. Nawiasem: nie uczestniczyliśmy w podobnych imprezach organizowanych przez Jaruzelskiego z Kiszczakiem. Obaj – jak pamiętamy – świetnie sobie dawali radę bez nas, ogłaszając tu wybory czy referenda bez angażowania naszego cennego czasu ani naszej delikatnej wrażliwości, nie demolując nam planów na niedzielę. Każdy wtedy kombinował, jedni ratowali próchniejący system, inni lecieli do urn z obawy, że nie dostaną paszportu, a większość patrzyła obojętnie. Teraz Kaczyński i Duda będą się szarpać z wynikami tych wyborów zapewne już do końca swych karier politycznych, czy jak to coś, co uprawiają, nazwać.

Ale, ale. Jest jednak wydarzenie, które nas interesuje znacznie bardziej niż nominacja Dudy na strażnika pustki, i które zbiegało się swym terminem z tym świętem. Są to mianowicie matury. Jak słyszymy, matura odbędzie się najwcześniej w czerwcu, albo kiedy indziej, bo jednak różnie być może. W tej sprawie naszej propozycji nic nie przebije. Czemu w czerwcu? – pytamy. Skoro można iść do sklepu, to można też zdawać maturę. W maju. Na poczcie, w miejscu, które Kaczyński tak lubi i które wraz z Błaszczakiem uważają za ośrodek zdrowia. Oczywiście matury musiałyby się odbyć w obecności policji, wojska i grubasów z obrony terytorialnej. Wszyscy mogliby też pomóc te matury sprawdzać. To jest tu realne. W ogóle zresztą, zważywszy na wszystko, co się tu wyprawia, a nasza wyobraźnia jest zawsze krok przed innymi, jesteśmy przygotowani. Też na to, że oto resztę naszego życia spędzimy może nie w więzieniu za niegłosowanie na Dudę, może nie w szpitalu, bo tam miejsc już nie ma, nie w lesie, bo lasy są zamknięte, ale na poczcie właśnie, czytając z nudów dewocyjne pisemka, wersje historii świata i przepisy na zdrowie opracowane przez rzesze tutejszych znachorów na etatach państwowych bądź gwarząc z Gowinem czekającym na jakiejś poczcie, w okienku, na zmianę koniunktury. Do tego to zmierza i to jest jakoś przykre, bo naprawdę mieliśmy inne plany. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

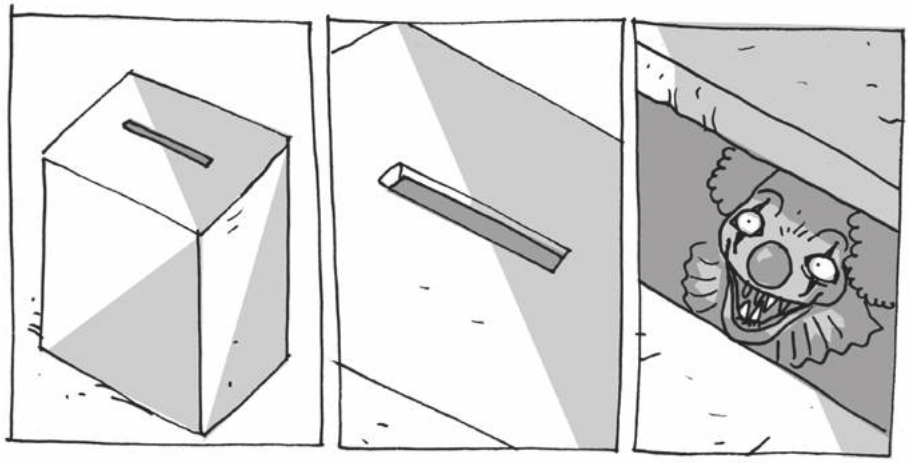

TYGODNIK POWSZECHNY

1%

Przyjaciele!

Bez Was i Waszego wsparcia nie moglibyśmy robić takiego pisma, jakie byśmy chcieli Wam dać i jakiego oczekujecie.

Szczególnie w tym roku, naszego 75-lecia, prosimy o przekazanie nam 1% w rozliczeniu rocznym, a także o darowizny – aby „Tygodnik” mógł trwać kolejne 75 lat, tak jak do tej pory, niezależnie od okoliczności.

ks. Adam Boniecki

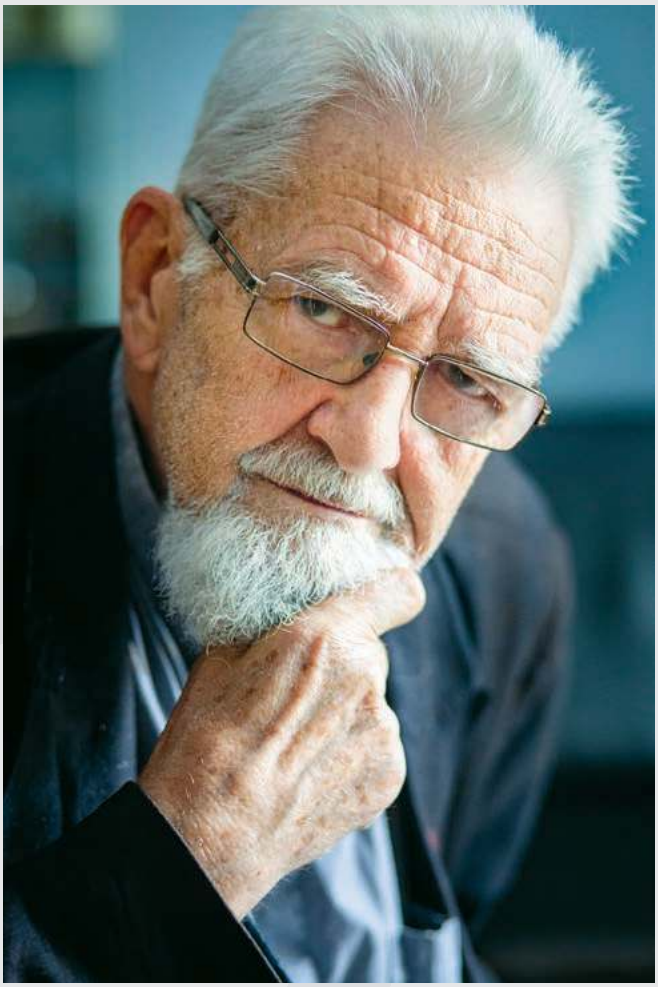

FOT. GRAŻYNA MAKARA

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

a w rubryce Cel szczegółowy 1%: TP75

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO 1%

OGŁOSZENIE OPP

REKLAMA
POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich
19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM
Pokaż, że
ŁĄCZY NAS PAMIĘĆ
Przypnij wirtualny żonkil
polin.pl
#ŁączyNasPamięć
Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy
Iceland Liechtenstein Norway grants
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Wsparcie:
Partnerzy:
SCREEN NETWORK
Partnerzy medialni:
zwierciadło
sens
Newsweek
wyborcza.pl WARSZAWA
ams
VOGUE
VIVA!
naszemiasto.
CINEMA CITY
onet